BIULETYN STOWARZYSZENIA

WSPÓLNOTA POLSKA

WRZESIEŃ 1999 9

ROCZNICA WRZEŚNIA

DOM POLSKI W ŻYTOMIERZU

RZESZÓW '99

SANKTUARIUM W BERDYCZOWIE

KARTKI Z PODRÓŻY

KRESY – POJĘCIE I REALIA

POLONIJNE IGRZYSKA ZIMOWE
BESKIDY 2000

W dniach od 26 lutego do 4 marca 2000 roku w Bielsku–Białej, Szczyrku i Wiśle odbędą się Polonijne Igrzyska Zimowe – Beskidy 2000, organizowane przez Oddział Stowarzyszenia "Wspólnota Polska" w Bielsku–Białej i Beskidzki Okręgowy Związek Narciarski pod patronatem marszałek Senatu RP prof. Alicji Grześkowiak i prezesa "Wspólnoty Polskiej" prof. Andrzeja Stelmachowskiego.

Zawody przeprowadzone zostaną w konkurencjach narciarskich, snowboardzie i saneczkarstwie w następujących kategoriach wiekowych: młodzik (ur. 1985 i młodsi), junior (ur. 1980 i młodsi), senior (ur. 1979 – 1965), master (ur. 1964 – 1950), old boy (ur. 1949 i starsi).

Obok klasyfikacji indywidualnej prowadzona będzie klasyfikacja drużynowa, do której wliczane będą punkty (wg systemu olimpijskiego) zdobyte za miejsca od 1–go do 6–go przez maksimum trzech zawodników z danej drużyny.

NARCIARSTWO
Konkurencje biegowe – trasy FIS – Kubalonka
1 marca – biegi indywidualne
2 marca – bieg sztafetowy

Konkurencje zjazdowe – trasy FIS – Skrzyczne
3 marca – slalom
4 marca – slalom gigant

SNOWBOARD
Stok Kaimówka – alternatywnie stok Beskidek w Szczyrku
1 marca – slalom gigant
2 marca – slalom równoległy

SANECZKARSTWO
Tor saneczkowy na stoku Skrzycznego w Szczyrku lub tor sztuczny naturalnie lodzony na stoku Koziej Góry – Błonie w Bielsku–Białej (zawody zostaną rozegrane w trzech ślizgach poprzedzonych pięcioma ślizgami treningowymi)
3 marca – trening
4 marca – zawody

Centralna recepcja, komisja lekarska i biuro prasowe mieścić się będzie w hotelu "Włókniarz" w Szczyrku.

Zgłoszenia przyjmuje:
Komitet Organizacyjny Polonijnych Igrzysk Zimowych – Beskidy 2000
ul. Plażowa 8, 43–370 Szczyrk
tel.: (0048 33) 822 06 56, (0048 33) 811 63 08
tel./fax: (0048 33) 812 45 34, (0048 33) 817 81 90

W NUMERZE m.in.:

9 (86)
WRZESIEŃ
1999

na okładce:

BERDYCZÓW – ODBUDOWA SANKTUARIUM MATKI BOŻEJ SZKAPLERZNEJ

fot. A. Panecka

Z KART HISTORII

Wrzesień 1939 roku – w sześćdziesiątą rocznicę — 2
prof. Piotr Łossowski
Wojna Hitlera, wojna Stalina, wojna Polski — 4
Piotr Golik
Ostatnie dni Września — 11
Andrzej Czyżowski

ZE ŚWIATA

◆ ARGENTYNA
Pomnik Jana Pawła II w Buenos Aires — 14

◆ AUSTRALIA
50 lat w służbie Polonii australijskiej — 16
Jerzy Grot-Kwaśniewski
Nowe władze Rady Naczelnej — 18

◆ FRANCJA
Akademia Lutecji — 19
Paulina Darska

◆ KAZACHSTAN
Kartki z podróży do Kazachstanu — 22
Andrzej Chodkiewicz

◆ MOŁDAWIA
250-lecie założenia kościoła św. Kajetana w Raszkowie — 26

◆ REPUBLIKA POŁUDNIOWEJ AFRYKI
Wybory w Kapsztadzie — 27

◆ ROSJA
Wizyta Prymasa Polski w Rosji — 28
Jan Gruszyński

◆ UKRAINA
Pierwszy na Ukrainie – Dom Polski w Żytomierzu — 29
Agnieszka Panecka
Twierdza Matki Boskiej Szkaplerznej w Berdyczowie — 31
O. Eugeniusz Morawski
Parafia Matki Bożej Dobrej Rady w Koziatyniu — 33
Krzysztof Czarnocki

Z PRAC STOWARZYSZENIA

List otwarty do Panów Jerzego Giedroyca i Jana Nowaka-Jeziorańskiego — 38
prof. Andrzej Stelmachowski
Oddział Koszaliński — 40
Zgodnym chórem czyli Koszalin '99
Iwona Borowska
Oddział Krakowski — 42
Oddział Kujawsko-Pomorski — 42
Oddział Opolski — 43
Oddział Rzeszowski — 43
Rzeszowskie polonijne lato
Lubomir Radłowski
Oddział Wielkopolski — 45

Z KRAJU

KRESY
Funkcjonowanie pojęcia i realiów we współczesnej Polsce — 45
Zdzisław J. Winnicki
V Festiwal Kultury Kresowej Mrągowo '99 — 48
Bogna Kaniewska

Wszystkich Czytelników zapraszamy na naszą stronę internetową:
www. wspolnota-polska. org.pl
na której zamieszczamy aktualne informacje, nadsyłane przez Państwa m.in. na nasz e-mail

Nowe numery centrali telefonicznej "Wspólnoty Polskiej":
(48.22) 827.04.40
(48.22) 826.20.41 do 44

WRZESIEŃ 1939 ROKU – W SZEŚĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ

60 lat to duży dystans czasowy. W tym okresie nasze spojrzenie na Wrzesień i jego oceny uległy gruntownej zmianie. Od stosunku pełnego emocji, od namiętnych polemik i oskarżeń, od bolesnego odczucia doznanej klęski – stosunek nasz do wojny 1939 roku stał się bardziej spokojny i obiektywny. Poznaliśmy dokładnie uwarunkowania i przebieg tej kampanii, mogliśmy porównać ją z innymi działaniami II wojny światowej, określić na tej podstawie jej miejsce i znaczenie dla ogólnego przebiegu wypadków.

Przede wszystkim bardzo ważne było, że to Polacy pierwsi zdecydowali się stawić stanowczy opór agresji Hitlera. Przedtem odnosił on bezkrwawe zwycięstwa, co go rozzuchwalało jeszcze bardziej. Łamał bezkarnie postanowienia Traktatu Wersalskiego, przyłączył Austrię, zagarnął ziemie Czechosłowacji. Myślał, iż łatwo mu pójdzie również z Polską, gdy w październiku 1938 roku wysunął wobec niej żądania wcielenia Gdańska do Rzeszy i budowy eksterytorialnej autostrady przez polskie Pomorze.

Tu jednak natrafił na niespodziewany i zdecydowany opór. Rząd polski przy udziale Prezydenta Rzeczypospolitej w styczniu 1939 roku podjął decyzję o przeciwstawieniu się niemieckiemu naciskowi. Stwierdził wyraźnie, iż wysuwane żądania to preteksty, zaś Hitlerowi chodzi o podporządkowanie Polski, pozbawienie jej swobody działania. Dlatego też, wnioskowano, należy stanowczo, nawet pod groźbą wojny, stawić mu czoła. To ważkie postanowienie podjęto samotnie, ale z pełną świadomością obrony suwerenności Polski, jako dobra najwyższego. Trzeba było niemałej odwagi i determinacji, ażeby przyjąć taką decyzję o historycznym wymiarze.

Dopiero nieco później, w końcu marca 1939 roku, uzyskano gwarancje brytyjskie. Anglia i Francja zadeklarowały gotowość bronienia Polski.

Polska zawierzyła swym sojusznikom. Konstruując plan wojenny postanowiła rzucić wszystkie siły do walki przeciwko Niemcom. Była to zasadnicza zmiana w porównaniu z wcześniejszymi planami. W latach poprzednich zakładano, w wypadku zagrożenia ze strony jednego z wielkich sąsiadów, że zawsze część sił, około dwóch armii, pozostawać będzie na wszelki wypadek w pobliżu granicy drugiego sąsiada. Teraz postanowiono inaczej. Wszystkie dywizje piechoty i brygady kawalerii z ziem wschodnich przerzucono na front przeciwniemiecki. Uszczuplono nawet Korpus Ochrony Pogranicza, strzegący bezpośrednio wschodniej granicy, chociaż po 23 sierpnia 1939 roku dwuznaczność postępowania Związku Sowieckiego stawała się coraz bardziej wyraźna.

Postawiono wszystko na jedną kartę, zawierzając sojusznikom, że z ich strony w ciągu paru tygodni nastąpi wyraźne odciążenie. Uczyniono więc wszystko, ażeby w tym czasie bronić się przed uderzeniami Wehrmachtu mimo jego olbrzymiej przewagi liczebnej, a zwłaszcza technicznej, szczególnie w lotnictwie i broni pancernej.

Hitlerowi niezmiernie zależało, ażeby pokonać Polskę jak najszybciej. Uważał, iż w ten sposób zniechęci mocarstwa zachodnie do dalszego prowadzenia wojny i skłoni je do nowej kapitulacji kosztem Polski. Z tego też względu powiedzieć można bez przesady, iż walki kampanii wrześniowej były w dużym stopniu zmaganiami o wygranie czasu.

Niemcy od pierwszej chwili spotkali się ze stanowczym oporem wojska polskiego. Polacy starali się zatrzymać nieprzyjaciela na przedpolu, na głównej linii obrony, w wybranych punktach oporu. Symbolicznego znaczenia nabrała obrona Westerplatte, Węgierskiej Górki, Mokrej, Borowej Góry, Wizny i wielu innych miejscowości. Żołnierze polscy walczyli zaciekle, opierając się na każdej bardziej dogodnej rubieży obronnej. Niemcom udało się jednak, wykorzystując zdecydowaną przewagę w powietrzu i stosując uderzenia zmasowanych formacji pancerno–motorowych, przełamać w kilku miejscach polską obronę.

Dążąc za wszelką cenę do osiągnięcia jak najszybszego zwycięstwa, dowództwo niemieckie pchało swe czołgi na Warszawę. 8 września wieczorem ogłoszono w Berlinie komunikat nadzwyczajny o wdarciu się niemieckich czołgów do stolicy Polski. Oprawa propagandowa tego meldunku była taka, iż wynikało, że wojna właściwie dobiega już końca, a Polska została pokonana.

Radość agresorów była jednak przedwczesna. Czołgi niemieckie zatrzymane zostały przed murami Warszawy. Zadano im poważne straty. Co więcej, następnego dnia ruszyło polskie przeciwnatarcie nad Bzurą i rozpoczęła się największa bitwa kampanii.

W odróżnieniu od innych walk tej wojny, żołnierz polski uzyskał nad Bzurą niepowtarzalną szansę zmierzenia się z Niemcami jak równy z równym. Dowództwo niemieckie upojone wizją bliskiego zwycięstwa zlekceważyło znajdującą się w odwrocie i dotychczas nie walczącą armię "Poznań". Dowódca tej armii, gen. Tadeusz Kutrzeba, postanowił zastosować znaną zasadę, iż najlepszą obroną jest atak. Rzucił też 9 września swoje dywizje piechoty i brygady kawalerii do natarcia, do zwrotu zaczepnego – jak to określił – uderzając w bok maszerujących na Warszawę wojsk niemieckich. Atak okazał się skuteczny.

Zaskoczeni Niemcy ponieśli duże straty – było wielu zabitych i rannych oraz wziętych do niewoli. Stracili duże ilości sprzętu wojennego, w tym kilkadziesiąt armat trafiło w ręce polskie. Co najważniejsze, żołnierz polski poczuł smak zwycięstwa nad wrogiem. Piechur polski przeważał odwagą i wyszkoleniem nad piechurem niemieckim, zaś artyleria polska siłą, szybkością i celnością ognia nie ustępowała liczniejszej artylerii niemieckiej. Zwłaszcza podczas walk nocnych ujawniła się przewaga polskiego żołnierza.

Niemcy, którzy początkowo zlekceważyli możliwość polskiego natarcia, wpadli w panikę. Zażądano gwałtownie posiłków i na pole bitwy nad Bzurą ze wszystkich stron zaczęto ściągać nowe dywizje, w tej liczbie i oddziały pancerne, które znajdowały się u wrót Warszawy. W rejon bitwy przybył sam Hitler, poważnie zaniepokojony o losy swego Blitzkriegu.

Rząd niemiecki ponaglał Moskwę, naciskając na swego nowego sowieckiego sojusznika, ażeby jak najprędzej wystąpił przeciwko Polsce. Mołotow wysłał wprawdzie Hitlerowi 10 września "najlepsze gratulacje" z powodu "zdobycia Warszawy", lecz rząd sowiecki zwlekał jeszcze przez kilka dni, czekając na dalszy rozwój wypadków. Dopiero, gdy 16 września uzyskano porozumienia z Japończykami, na Kremlu zdecydowano o dokonaniu agresji na Polskę o świcie 17 września.

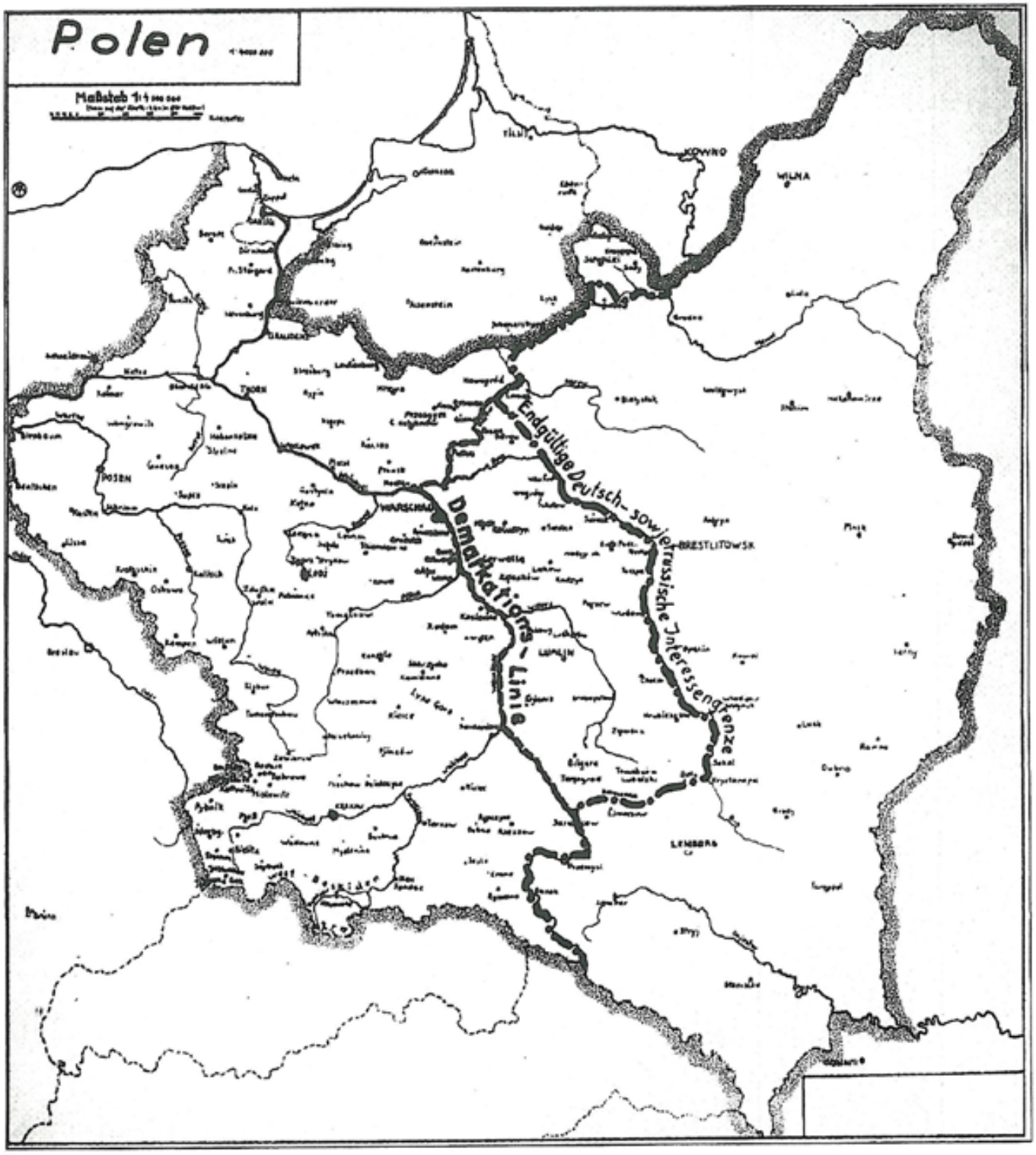

Niemiecka mapa przedstawiająca przebieg linii demarkacyjnej (22 września) i linii "ostatecznych niemiecko-sowieckich interesów" (28 września) w oficjalnym wydawnictwie Oberkomando der Wehrmacht
(A. K. Kunert: Wrzesień 1939, Warszawa 1993)

Złamano przy tym wszystkie porozumienia, w tym obowiązujący układ o nieagresji. W nocie, którą usiłowano wręczyć ambasadorowi Rzeczypospolitej Wacławowi Grzybowskiemu, kłamliwie twierdzono, iż rząd polski opuścił już terytorium państwa i panuje w nim anarchia. Ambasador Grzybowski nie przyjął tej noty. Był to gest symbolicznego protestu. Nie mogło to wszakże powstrzymać sowieckiej agresji.

Wystąpienie sowieckie przesądziło o klęsce polskiej we wrześniu 1939 roku. Na obszary ogołocone z wojska wkroczyły wielusettysięczne armie sowieckie, ściśle współdziałające z Niemcami. Nieliczne oddziały polskie stawiły rozpaczliwy opór nowemu wrogowi. Dziś, dzięki publikacjom, które ukazały się w ostatnich latach, znamy dokładnie przebieg tych ofiarnych zmagań. Obok obrońców Westerplatte czy Modlina, wymieniamy tych, którzy bronili umocnień na Polesiu, desperacko walczyli w rejonie Grodna i w wielu innych miejscach.

Na skutek wystąpienia sowieckiego rząd polski musiał opuścić terytorium kraju. Nie został zrealizowany plan

Ruiny Krzemieńca (tymczasowej siedziby korpusu dyplomatycznego), zbombardowanego 12 września
(A. K. Kunert: Wrzesień 1939, Warszawa 1993)

zorganizowania obrony południowo–wschodniego obszaru Rzeczypospolitej, gdzie zamierzano jak najdłużej stawiać opór Niemcom z wiarą, że pomoc ze strony zachodnich sojuszników wreszcie nadejdzie.

Mimo niepomyślnej sytuacji, mimo uderzenia z dwóch stron, żołnierz polski w zorganizowanych formacjach walczył przez 35 dni. Ostatnia bitwa kampanii miała miejsce pod Kockiem w dniach 3 – 5 października 1939 roku.

Czym była ta kampania? Jak moglibyśmy najkrócej określić jej charakter i znaczenie? Była ona pierwszą wielką kampanią II wojny światowej. Po niej nastąpił szereg dalszych, początkowo zwycięskich dla Niemców, aż dopiero po trzech latach odwróciło się szczęście wojenne. Ale upłynęły jeszcze ponad dwa lata zanim III Rzesza została pokonana.

Kampania wrześniowa była ważnym wkładem Polski do zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami. Żołnierz polski zapłacił za to dużą i krwawą cenę. W walkach poległo ponad 70 tysięcy żołnierzy, około 200 tysięcy zostało rannych. Były to ofiary olbrzymie, zważywszy na stosunkowo krótki przebieg działań. Stanowiły one wymowne świadectwo woli walki i twardego oporu, który wojsko polskie stawiło hitlerowskiemu, a później i sowieckiemu agresorowi.

Niemcy również ponieśli odczuwalne straty, które sięgały kilkudziesięciu tysięcy zabitych i rannych. Wehrmacht stracił wiele czołgów, samolotów, armat i różnego sprzętu. Sporo dywizji zostało poważnie wyszczerbionych. Niemożliwym okazało się – planowane wcześniej – przeprowadzenie kampanii przeciwko Francji jeszcze tej samej jesieni. Operację tę Niemcy musieli odłożyć do wiosny 1940 roku, zaś sojusznicy zyskali siedem jakże ważnych miesięcy, które mogli spożytkować na przygotowania do czekającej walki.

Wrzesień w pamięci Polaków zapisał się jako ofiarna i nieustępliwa obrona niedawno odzyskanej niepodległości, jako walka o wolność kraju, do której zawsze przywiązywali największe znaczenie.

Piotr Łossowski

◆ WOJNA HITLERA, WOJNA STALINA, WOJNA POLSKI

24 października 1938 r. polski ambasador w Berlinie Józef Lipski poznał najnowsze oczekiwania gospodarzy wobec wschodniego sąsiada. III Rzesza chciała zgody na włączenie Wolnego Miasta Gdańska oraz połączenie eksterytorialną autostradą i linią kolejową obszarów niemieckiego Pomorza z Prusami Wschodnimi. Uzupełnieniem tych propozycji było wejście Polski do Paktu Antykominternowskiego, skierowanego przeciw ZSRR i międzynarodowemu ruchowi komunistycznemu oraz przedłużenie polsko–niemieckiego paktu o nieagresji z 1934 roku.

Dyplomacja i czołgi

W zasadzie tylko ta ostatnia oferta mieściła się w granicach klasycznej dyplomacji. Pozostałe należało uznać za próbę swoistej wasalizacji kraju. W styczniu, podczas wizyty ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, propozycje zmieniły się w otwarte żądania. Nikt, kto pamiętał kryzys sudecki z jesieni poprzedniego roku, nie mógł

28. IV. 1939, Berlin. W Reichstagu Adolf Hitler wypowiada Polsce pakt o nieagresji
(A. K. Kunert: Wrzesień 1939, Warszawa 1993)

wątpić w determinację Hitlera dążącego do podważenia powersalskiego ładu na kontynencie. Było jasne, że w najlepszym razie Polska może liczyć na nowe Monachium. Deklaracje niemiecko–brytyjska i niemiecko–francuska, wydane już po konferencji, powszechnie odczytywano jako zgodę mocarstw zachodnich na ekspansję III Rzeszy na wschód. Jednak Hitler, nie czekając na spełnienie swych żądań przez Polskę, zlikwidował 15 marca Czechosłowację, a w tydzień później zajął litewską Kłajpedę. Anglia i Francja, upokorzone już w Monachium, zaoferowały Polsce współpracę przeciw Niemcom.

W maju, już po wypowiedzeniu przez Hitlera paktu o nieagresji z Polską, zachodnie gwarancje przybrały kształt zobowiązań. Francuzi przyrzekli w przypadku napaści niemieckiej natychmiastową akcję lotniczą i ofensywę lądową w piętnastym dniu mobilizacji. Anglicy zapowiedzieli lotnicze wsparcie. Obietnice pojawiły się już w trakcie rozmów podjętych przez oba mocarstwa ze Sta-

linem. Ten zaś prowadził swoistą licytację ofert z obu stron, nie wykluczając dogadania się z wyklinanymi przez radziecką propagandę nazistami. Nie pomny swej chyba jedynej proroczej wypowiedzi o tym, że zwycięzcą ewentualnej wojny światowej może być tylko bolszewicka Rosja, Hitler gotów był ofiarować coraz więcej. Przede wszystkim nie miał nic przeciw temu, by zniweczyć resztki znienawidzonego ładu wersalskiego również w tej części Europy, a także, by o losie mieszkających tam narodów zdecydowali ich potężni sąsiedzi.

Polska nie mogła i nie chciała spełnić żądania prawa do przemarszu Armii Czerwonej przez swoje terytorium. To żądanie Stalina, dotyczące zresztą także Rumunii i państw bałtyckich, było – w świetle dzisiejszej wiedzy – celowym posunięciem, mającym udaremnić przedłużające się rokowania z zachodnimi aliantami. 13 sierpnia, gdy Kreml przedstawił ten warunek udziału w wojnie z III Rzeszą, miał już jej ofertę obejmującą pakt o nieagresji, podział Europy Środkowo–Wschodniej oraz mediację w konflikcie z Japonią.

Pakt tyranów

23 sierpnia Ribbentrop przyleciał do Moskwy. Oficjalnie podpisano pakt o nieagresji, w tajemnicy – także protokół stanowiący, iż "w przypadku terytorialno–politycznych przekształceń terytoriów należących do państwa polskiego, strefy interesów Niemiec i ZSRR będą rozgraniczone w przybliżeniu przez linię Narew – Wisła – San". Nietrudno zauważyć, że dwaj tyrani, dążący do przywrócenia dawnej potęgi swoich państw, zdecydowali się na ziemiach polskich na przywrócenie de facto granicy sprzed I wojny światowej. Dopiero potem Stalin zdecydował się na korektę, uzyskując Litwę w zamian za rezygnację z ziem na prawym brzegu Wisły.

Choć zadaniem historii jest opis zaszłych wydarzeń, a nie spekulacje, w publicystyce różnej rangi i proweniencji nieustannie powraca pytanie – co stałoby się, gdyby Polska przyjęła hitlerowskie bądź stalinowskie żądania? Jednak przykład czechosłowacki z jednej, a bałtycki z drugiej strony pokazują, że ewentualna uległość nie dawała gwarancji na uniknięcie drastycznych przeżyć. Spekulacje do niedawna podsycała niepewność co do rzeczywistych wówczas zamiarów radzieckich. Dziś – w świetle opublikowanego w Rosji protokołu posiedzenia Biura Politycznego KC WKP(b) z 19 sierpnia 1939 r. – można mieć pewność, że intencją Stalina było doprowadzenie do wojny. Nie docenił on jedynie swego wroga i sojusznika zarazem, Hitlera. Nie powtórzyła się oczekiwana przez Stalina sytuacja z I wojny z jej długotrwałymi, wyniszczającymi ludzkie i materialne zasoby walkami pozycyjnymi.

Plany wojny

O zmianie sposobu prowadzenia działań wojennych jako pierwsza przekonała się Polska. Choć myśl o wykorzystaniu zmasowanych uderzeń lotniczych i pancernych pojawiła się najpierw we Francji, Włoszech i Wielkiej Brytanii, to Niemcy zdobyli palmę pierwszeństwa, jeśli chodzi o złowieszczą praktykę ich łączenia. W świetle ich wspólnej z ZSRR napaści na Polskę przypomnieć należy, że było to możliwe dzięki wcześniejszej kooperacji obu państw. Rozwój produkcji broni – zakazanej Niemcom przez układ wersalski – a zwłaszcza czołgów, był możliwy dzięki udostępnieniu przez Rosjan poligonów i fabryk. Tę korzystną dla obu stron, sięgającą podpisania układu w Rapallo w 1922 roku współpracę przerwał z przyczyn ideologicznych Hitler zaraz po dojściu do władzy.

Gdy w sześć lat później znalazł on wspólny język ze Stalinem, nic już nie stało na przeszkodzie, by doszło do blitzkriegu. Niemiecki plan wojny nazwany "Fall Weiss" przewidywał rozbicie Polski w dwa tygodnie. Na tyle przewidywał Hitler paraliż woli Paryża i Londynu spowodowany jego porozumieniem z ZSRR. Kalkulował, że nie podejmą one żadnych działań, a później poczują się zwolnione ze zobowiązań sojuszniczych wobec unicestwionego kraju. Planom szybkiej wojny sprzyjała wyraźna przewaga militarna Wehrmachtu nad Wojskiem Polskim oraz ukształtowanie granic. Tak z Prus Wschodnich, jak z terenów Protektoratu Czech i Moraw oraz podporządkowanej Słowacji niemieckie siły zbrojne mogły wyprowadzić uderzenie zmierzające do dwustronnego okrążenia centralnych rejonów Polski, realizując marzenie sztabowców o powtórzeniu schematu bitwy pod Kannami.

Polski plan wojny "Zachód" oceniał niemiecką agresję jako próbę zniszczenia państwa. Dość trafnie przewidywał militarne cele przeciwnika i rozmiar sił, jakich użyje przeciw Polsce. Oceniano, że 70 do 80 dywizji (w tym 5 pancernych i 4 zmotoryzowane) ze 110–112, jakie mogą wystawić Niemcy, znajdą się na froncie polskim, podobnie jak większość z 3,5 tysiąca samolotów bojowych. Dysproporcja sił była oczywista i ona, obok warunków geopolitycznych, przesądziła o zdecydowanie obronnym charakterze polskich planów. Pod wieloma względami rzeczywistość pierwszego dnia wojny okazała się gorsza od najgorszych przewidywań. 1 września Niemcy mieli półtorakrotnie większą przewagę w liczebności piechoty, prawie trzykrotną w artylerii (ponad pięciokrotną w artylerii przeciwpancernej) i ponad pięciokrotną w broni pancernej. Przewagę tę zwiększono w rejonach największych uderzeń, osiągając np. w czołgach aż ośmiokrotną przewagę. Dodać należy, że generalnie Wehrmacht dysponował sprzętem bardziej nowoczesnym.

Pierwszego dnia wojny Niemcy wprowadzili do walki 51 dywizji i brygad, Polacy – 36. Ponadto zostały one niekiedy rozlokowane bardziej z uwzględnieniem czynnika politycznego niż wojskowego. Chodziło o pokazanie woli obrony całego terytorium tak własnemu społeczeństwu, jak i sprzymierzeńcom. Oceniano, że bez ich pomocy Polska nie będzie mogła prowadzić wojny, a jednocześnie polscy planiści nie liczyli, by pomoc ta pojawiła się dostatecznie szybko i w dostatecznych rozmiarach. Założenia "Zachodu" przewidywały zatem zadanie Niemcom możliwie dużych strat w obronie terenów niezbędnych do prowadzenia wojny (jak Centralny Okręg Przemysłowy) i wytrwanie sił głównych do odciążających działań aliantów zachodnich. Główną linię obronną wyznaczały rzeki: Biebrza, Bug z Narwią i Wisła do ujścia Brdy.

Polskie plany były nie dopracowane. Do 1938 roku koncentrowano się na zagadnieniu wojny ze Związkiem Radzieckim, później zaś trzeba było zmieniać przyjęte założenia w wyniku likwidacji Czechosłowacji. Trafnie jednak przewidziano główne niemieckie uderzenie ze Śląska na Łódź i Warszawę.

Ostatnie dni pokoju

Już w marcu w rozwiniętych jednostkach Wehrmachtu zarządzono stan podwyższonej gotowości. W połowie sierpnia rozpoczął się przerzut broni dla "piątej kolumny"– dywersantów wywodzących się z niemieckiej mniejszości narodowej, a także duże manewry w Prusach Wschodnich i Niemczech środkowych. Akty dywersji i sabotażu podgrzewały atmosferę pomagając Hitlerowi w głoszeniu tezy, że polski rząd stracił kontrolę nad sytuacją. Licząc na efekt psychologiczny układu ze Stalinem, Hitler pierwotną datę napaści wyznaczył na 26 sierpnia. Tego dnia doszło zresztą do ataku jednostki, do której nie dotarł rozkaz odwołujący inwazję. Dyktator w ostatniej chwili zawahał się, głównie z powodu reakcji swych sojuszników na porozumienie ze Stalinem. Tokio (toczące wojnę z Rosjanami) i Rzym pytały o następstwa nieoczekiwanego zwrotu, a Włosi dodatkowo przestrzegli o swym nie przygotowaniu do wojny.

Hitlerowi udało się przewidzieć reakcję Zachodu. Choć nie doszło do oczekiwanych przez niego kryzysów rządowych, Londyn i Paryż do końca szukały jakiejś formy kompromisu z Niemcami. Prowadzono rozmowy niemal do ostatniej chwili i to mimo ponowienia przez Niemców znanej z okresu kryzysu sudeckiego taktyki mnożenia żądań. Chęci porozumienia z Hitlerem nie zmniejszyło zawarcie 25 sierpnia brytyjsko–polskiego traktatu formalizującego sojusz obu państw. Brytyjscy i francuscy dyplomaci wtedy i później wyjaśniali te działania chęcią zdobycia czasu na zmianę stosunku sił między ich państwami a III Rzeszą. Czynnik czasu brał po uwagę i Hitler, który uznał, że właśnie wówczas zaskoczy porażonych brakiem woli działania przeciwników.

Napaść...

1 września o 4.45 pancernik "Schlezwig–Holstein" otworzył ogień na polską składnicę tranzytową na Westerplatte. W tym samym czasie wzdłuż całej niemal granicy zachodniej zaczęła się inwazja. Pretekstu do napaści dostarczyła prowokacja gliwicka polegająca na upozorowanym opanowaniu tamtejszej rozgłośni przez Polaków. Zdjęcia bombardowanej polskiej placówki w Gdańsku stały się dokumentem – symbolem całej wojny i sześcioletnich zmagań, wyjaśniającym, kto pierwszy musiał umierać za Gdańsk. Miasto dostarczyło i innego symbolu odwagi i poświęcenia – Pocztę Polską, której obrońców naziści rozstrzelali po kapitulacji.

Jeszcze przed ich egzekucją cały niemal kraj dowiedział się o nowych metodach prowadzenia nie wypowiedzianej wojny. Używanie cywilów i jeńców jako żywych tarcz, bombardowanie miast i obiektów cywilnych, akcje dywersantów ubranych w polskie mundury, eksplozje podłożonych ładunków złożyły się na rzeczywistość pierwszego dnia wojny. Kraj walczył w pojedynkę, a jego potężni sojusznicy nawet w obliczu otwartej agresji Hitlera próbowali dyplomatycznych, zakulisowych kontaktów. Dwie pierwsze doby wojny upłynęły polskim ambasadorom w Londynie i Paryżu pod znakiem prób wyegzekwowania sojuszniczych zobowiązań. Zwłaszcza Francuzi wiele sobie obiecywali po włoskiej inicjatywie pokojowej. Oczekiwano więc swoistej kalki Monachium. Sąsiedzi Polski zadeklarowali neutralność.

W rezultacie dopiero 3 września Anglia, a po niej Francja przedstawiły Niemcom ultimatum i wypowiedziały im wojnę. W Polsce zareagowano entuzjastycznymi demonstracjami. Nastrój zmienił się, gdy wojna przybrała postać "dziwnej" lub jak to bardziej dosadnie nazwali Niemcy – "siedzącej".

Tymczasem napastnicy rozstrzygnęli na swą korzyść rezultat bitwy granicznej. Nawet wówczas jednak Wojsko Polskie, a zwłaszcza bardziej mobilna jazda, nie straciły ofensywnego ducha. W wypadach na przygraniczne miejscowości Prus Wschodnich – Białą Piską, Prostki i Reuss (Cimochy) w dniach 2 – 4 września Brygady Kawalerii Podlaska i Suwalska oraz piechurzy ze 135 pułku na krótko je opanowali, biorąc jeńców i zdobywając broń, a także niszcząc budynki i urządzenia o znaczeniu militarnym. Również lotnictwo bombowe, a ściśle 4 pomorski pułk lotniczy przeszedł do działań zaczepnych, bombardując pod Nidzicą zgrupowania i transporty wojsk niemieckich. Wielkopolska Brygada Kawalerii przekroczyła 2 września granicę, zajmując przedmieścia Wschowy, gdzie zniszczono 80 samochodów. Te śmiałe akcje, podobnie jak wytrwała obrona Jordanowa czy Mokrej na południowej granicy, gdzie zadano nieprzyjacielowi poważne straty w broni pancernej, nie mogły jednak zmienić ogólnego obrazu sytuacji. Określała ją bardzo wyraźna, by nie rzec miażdżąca przewaga Niemców w powietrzu.

... i obrona

Pomimo obrony tak na swoim terytorium, jak również na ziemiach Rzeczypospolitej niemieckie kolumny doświadczyły polskich nalotów. Za cenę wysokich strat licząca 50 "Karasi" i 36 "Łosi" Brygada Bombowa próbowała powstrzymać natarcie czołgów wroga. Zbombardowano również fabrykę w Oławie. Aktywność polskiego lotnictwa nie mogła zmienić rażącej dysproporcji sił, była jednak niemiłą niespodzianką dla agresora, który przekonał się o nieskuteczności nalotów na polskie lotniska w pierwszym dniu wojny. Ogromna większość maszyn była już w tym czasie na lotniskach polowych. Napastnik był też zaskoczony dobrą obroną przeciwlotniczą Warszawy. Stolica była jednak, niestety, jedynym miastem, którego broniła tak liczna artyleria, a przede wszystkim myśliwska Brygada Pościgowa. Ta licząca ok. 50 samolotów jedyna tego typu jednostka odparła w zasadzie pierwszy niemiecki nalot na stolicę. Luftwaffe udało się jedynie osiągnąć lotnisko na Okęciu, które zostało trafione bombami. Ale, podobnie jak i dla bombowców, cena pierwszych starć okazała się dla myśliwców bardzo wysoka. 1 września stracono co piąty samolot, a ponad połowa wymagała napraw. Przewaga liczebna i techniczna niektórych typów maszyn napastników pozwoliła im jednak na, bezkarne na ogół, atakowanie celów w całym niemal kraju.

Dowódcy i rozkazy

1 września prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki, wydał dekret o sprawowaniu zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi. Ich Naczelny Wódz, marszałek Edward Rydz–Śmigły został wyznaczony na następcę głowy państwa w przypadku opróżnienia się urzędu. Jednocześnie wprowadzono stany: wojenny i wyjątkowy. Wódz Naczelny skoncentrował ogromną władzę. Jednak znaczenie jego rozkazów zmniejszył rozwój wydarzeń, który

Mapa bombardowań lotniczych w dniu 1 września w Polskiej Czarnej Księdze w języku francuskim. Mapa wskazuje niemilitarne cele bombardowań.
(A. K. Kunert: Wrzesień 1939, Warszawa 1993)

sprawiał, że były one niewykonalne już w chwili wydania. Rydz–Śmigły zmieniał niekiedy pierwotne plany, np. wydając 2 września rozkaz odwrotu armii "Łódź", wbrew stanowisku jej dowódcy, gen. Rómmla. Często jednak naczelny Wódz musiał podejmować decyzje na podstawie niepełnych informacji, nadmiernie optymistycznie lub pesymistycznie oceniających szybko zmieniającą się sytuację, stosunek sił własnych i przeciwnika oraz rozwój wydarzeń na polu walki. Decyzja o rozpoczęciu generalnego odwrotu armii "Łódź" i "Poznań" wydana tego samego dnia, wbrew stanowisku ich dowódców, wynikała po części z przyczyn politycznych. Wódz Naczelny obawiał się postawienia na jedną kartę losu dwu armii w sytuacji sojuszniczego zobowiązania do jak najdłuższego stawiania oporu.

W miarę rozwoju sytuacji pojawiała się niesubordynacja polegająca na dość dowolnym interpretowaniu rozkazów tak Naczelnego Wodza, jak i dowódców różnych szczebli... Znaczenie rozkazów marszałka zaczęło zresztą tracić moc w miarę postępów Werhmachtu i zniszczeń systemu łączności i komunikacji dokonywanych od pierwszych chwil wojny przez naloty wroga. Sytuację drastycznie pogorszyła ewakuacja Wodza Naczelnego, który w nocy z 6 na 7 września udał się ze sztabem do Brześcia, rozpoczynając dramatyczną kilkunastodniową wędrówkę (w dniu wyjazdu Rydz–Śmigły zarządził generalny odwrót za Wisłę i San). Dodać należy, że stolicę opuszczono w tak dużym pośpiechu, że nie poinformowano dowództwa obrony Warszawy o rozmieszczeniu zapasów ani nie określono jasno kompetencji poszczegól-

nych dowódców, brzeska kwatera zaś nie odpowiadała najskromniejszym nawet oczekiwaniom oficerów sztabowych. Ponadto w Warszawie wraz z szefem sztabu pozostała ich część, uszczuplając potencjał funkcjonującego w pierwszych dniach zespołu.

Wobec takiego obrotu spraw i w Warszawie, i gdzie indziej zaczęła zyskiwać inicjatywa dowódców różnych szczebli. Tak było m. in. w przypadku bitwy nad Bzurą, gdzie wykazał ją dowódca armii "Pomorze", gen. Tadeusz Kutrzeba, i gdzie 9 września Polacy przeszli do kontruderzenia, odbijając po ciężkich walkach Łęczycę. Generał wykorzystał sytuację powstałą w wyniku nadmiernego rozciągnięcia wrogich sił i słabej ochrony ich skrzydła. Trzy następne dni bitwy przyniosły kolejne sukcesy – odbicie Piątku, Ozorkowa, wreszcie Łowicza, a Niemcy ponieśli znaczne straty. Jednak dokonane przez nich przegrupowanie sił, większych od polskich, a także miażdżąca przewaga w powietrzu przesądziły o wyniku ośmiodniowych zmagań. Tylko niewielkiej części bombardowanych niemal nieustannie armii "Pomorze" i "Poznań" (ok. 30 tys. ludzi) udało się przebić do oblężonej stolicy. Reszta – blisko 300 tysięcy żołnierzy – trafiła do niewoli. Bitwa wykazała jednak nadspodziewanie dobre morale żołnierzy i oficerów, którzy nie utracili ducha bojowego w obliczu ogromnej przewagi agresora. I bitwa nad Bzurą, i późniejsze działania toczyły się coraz częściej w sytuacji, gdy jej oceny dokonywał, a następnie brał odpowiedzialność za rozkazy dowódca armii, grupy operacyjnej, brygady, pułku – nie mający nie tylko wytycznych i kontaktu z przełożonymi, ale i, nader często, wiedzy o ogólnej sytuacji.

Wrogowie, sąsiedzi i sojusznicy

W ostatnim dniu bitwy nad Bzurą, 17 września 1939 r., Polskę napadł drugi z potężnych sąsiadów – Związek Radziecki. Stalin doszedł wtedy właśnie do wniosku, że przestaje mu się opłacać dalsza zwłoka w realizacji postanowień podjętych wspólnie z Hitlerem. Obaj tyrani prowadzili zresztą szczególną grę. Celem Niemiec było możliwie szybkie uzyskanie politycznego i militarnego wsparcia ze strony nowego sojusznika, który jednak zwlekał chcąc, by na Niemcy spadło odium agresora oraz ewentualne ryzyko związane z wystąpieniem sojuszników Polski. Po wypowiedzeniu przez nich wojny Niemcom Stalin postanowił czekać na rozwój wydarzeń nie reagując na bezpośrednie i pośrednie zachęty Hitlera. Jedną z tych drugich był, wydany już 8 września, niemiecki komunikat o upadku Warszawy. Radio Berlin nadało go, mimo iż meldunek kompetentnego dowódcy mówił zgodnie z faktami o dotarciu na przedmieścia stolicy. Był to sygnał skierowany do Stalina, który zapewniwszy nazajutrz ustami Mołotowa o gotowości do działań, jednak postanowił dalej czekać. Stosowną dyrektywę działania w jego imieniu wydał ludowy komisarz obrony w dwa dni później. Ujawniony przed czterema laty dokument nakazywał Armii Czerwonej rozpoczęcie inwazji 11 września i dotarcie do rubieży mniej więcej zgodnych z późniejszą linią demarkacyjną. Stalin już wówczas jednostronnie zrezygnował z zajęcia większości obszarów etnicznie polskich (zamienił je później na Litwę), po to, by minimalnie choć uprawdopodobnić na arenie międzynarodowej agresję przeciw Polsce jako "obronę ukraińskich i białoruskich mas pracujących". Sam też postanowił wyznaczyć

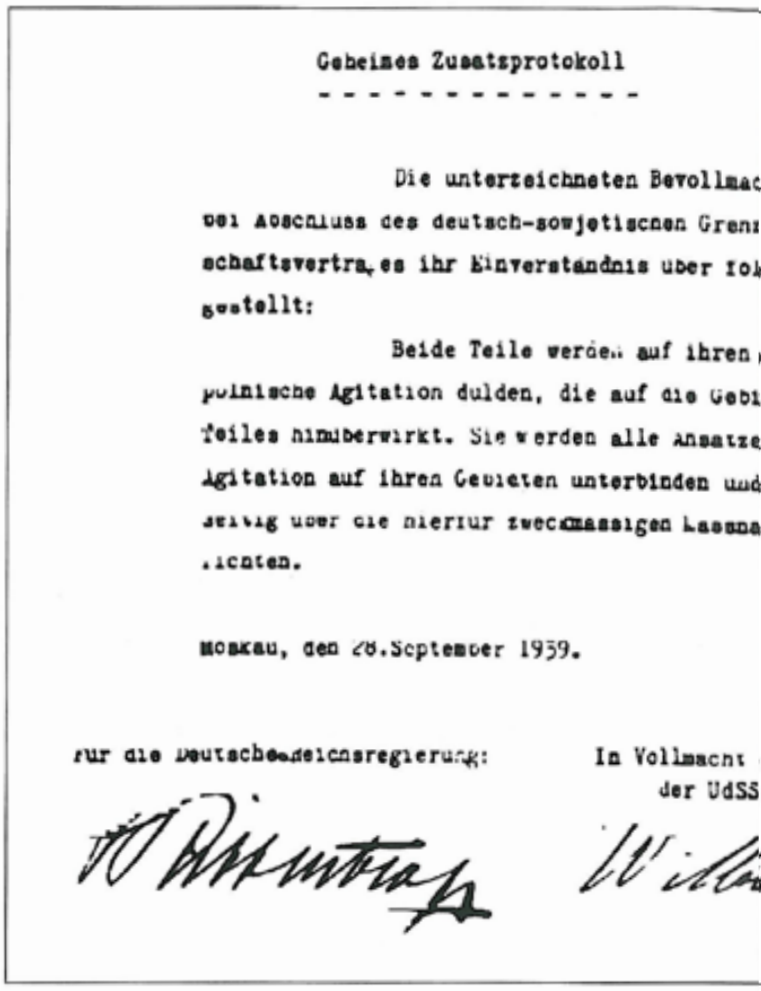

Geheimes Zusatzprotokoll

Die unterzeichneten Bevollmac
bei Abschluss des deutsch-sowjetischen Grenz
schaftsvertrages ihr Einverständnis über fol
gestellt:

Beide Teile werden auf ihren
polnische Agitation dulden, die auf die Gebi
Teiles hinwirkt. Sie werden alle Ansatze
Agitation auf ihren Gebieten unterbinden und
seitig über die hierfür zweckmässigen Massna
richten.

Moskau, den 28.September 1939.

Für die Deutsche Reichsregierung: In Vollmacht
der UdSS

W trzecim tajnym protokole dodatkowym do układu z 28 września stwierdzono: "Obie strony nie dopuszczą na ich terytoriach polskiej agitacji wymierzonej przeciwko terytorium drugiej strony. Będą one dławiły na swoich terytoriach wszelkie początki takiej agitacji". Istnienie tajnych protokołów dodatkowych władze sowieckie kwestionowały aż do 1989 r. *(A. K. Kunert: Wrzesień 1939. Warszawa 1993)*

moment wkroczenia sił inwazyjnych, uzasadniany następnie "całkowitym rozkładem polskiej państwowości", choć jednocześnie zapewniał Berlin o gotowości do wojskowego wystąpienia. Według publikowanych w okresie głasnosti wspomnień radzieckich "oficjeli", grę tę prowadzono do tego stopnia konsekwentnie, że mimo sowieckiej obsesji tajności niemieckim dyplomatom pozwolono zobaczyć zgrupowania Armii Czerwonej na granicy z Polską, otrzymywali też oni zapewnienia na temat jej rychłego wymarszu. Jednocześnie przygotowywano inwazję propagandowo, przy czym publikacje prasy radzieckiej nie odbiegały od goebbelsowskiego schematu. Miejsce uciskanych Niemców zajęli jedynie Ukraińcy i Białorusini, a radiostacji gliwickiej – warszawska ambasada ZSRR, rzekomo ostrzelana przez polskich żołnierzy.

W odróżnieniu od nazistów władze radzieckie potraktowały zresztą polskich dyplomatów niezgodnie z konwencjami międzynarodowymi. Po bezprecedensowym wezwaniu polskiego ambasadora Wacława Grzybowskiego, którego poinformowano, że ZSRR uważa umowy zawarte z Polską za nieważne, ową "nieważność" i "nieistnienie" Polski usiłowano rozciągnąć na polski personel dyplomatyczny i konsularny. Trzej pracownicy placówki w Kijowie trafili do więzienia. Dopiero 9 paź-

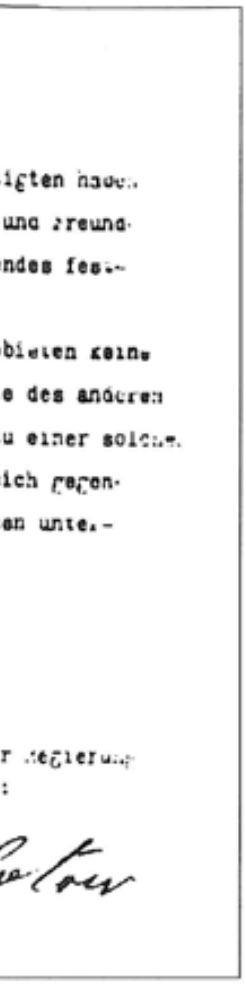

dziernika po interwencji, jaką podjął u Mołotowa dziekan korpusu dyplomatycznego w Moskwie, ambasador Rzeszy von Schulenburg, pozwolono wszystkim polskim dyplomatom na wyjazd do Finlandii.

17 września był datą graniczną, jeśli chodzi o wojskowe i dyplomatyczne położenie Polski. Po tym dniu oznaki sympatii okazywanej przez południowych sąsiadów musiały stać się słabsze i o wiele bardziej dyskretne, mimo iż dopiero wtedy postawa Rumunii i Węgier została poddana próbie w związku z internowaniem władz oraz uchodźstwem wojskowych i cywili na ich terytoria. Wcześniej, bo 9 września, Węgrzy odmówili zgody na przejazd niemieckich transportów kolejowych. Trzy dni później Niemcy zażądali od Rumunów wstrzymania przewozu materiałów wojennych do Polski, a także internowania, na surowych warunkach, członków polskich władz cywilnych i wojskowych w przypadku przekroczenia przez nich granicy. Grając na zwłokę, Rumuni zezwoli jednak m. in. na wywiezienie polskich rezerw złota. Jeszcze przed 17 września Niemcy, których jedynym sojusznikiem w napaści na Polskę była uzależniona od nich Słowacja, usiłowali pozyskać polityczne i wojskowe współdziałanie Litwy. Ta jednak, ponawiając żądania wobec Wileńszczyzny, odmówiła podjęcia działań zbrojnych.

Jednak nie tylko walki i aktywność dyplomatyczna przesądziła o losie Polski. Aliancka Najwyższa Rada Wojenna, obradująca 12 września w Abbeville z udziałem premierów Francji i Wielkiej Brytanii, podjęła decyzję o rezygnacji z działań na froncie zachodnim. Przychyliła się tym samym do wniosku gen. Gamelina, który był przeciwny dalszemu prowadzeniu nawet niewielkich demonstracji wojskowych na pograniczu francusko–niemieckim. Od czasu ujawnienia przez ówczesnego sekretarza ambasady niemieckiej w Moskwie von Herwarta, iż poinformował on kolegę z placówki USA o tajnym protokole paktu niemiecko–radzieckiego, niektórzy historycy akcentują, że wiedza aliantów na temat rychłego wystąpienia ZSRR kazała im spisać Polskę na straty. Wydaje się jednak, że tę decyzję podjęto znacznie wcześniej.

Już wnioski z wizytacji francuskich i brytyjskich misji wojskowych w Polsce latem 1939 roku były bardzo krytyczne w ocenie potencjału naszego kraju. 7 września Polsce przyznano zaledwie ułamek kredytów wojennych zaciągniętych przez rządy obu mocarstw (1 % brytyjskich i 0,7 % francuskich). W obliczu spodziewanej rychłej klęski Polski w Paryżu i Londynie oczywiste było, że zaczną się aktywizować zwolennicy nowej wersji Monachium. Dla Polaków był to czarny scenariusz wycofania się sojuszników ze zobowiązań wobec naszego kraju i ewentualnego przyjęcia przez nich "pokojowych" propozycji Niemiec. Świadom takiej możliwości Hitler kategorycznie zabronił większości rodzajów działań zaczep-

22 września w Brześciu nad Bugiem z okazji przekazania miasta przez oddziały niemieckie oddziałom Armii Czerwonej odbyła się uroczysta defilada niemiecko–sowiecka, przyjmowana przez gen. Heinza Guderiana (z lewej) i kombryga Siemiona Kriwoszeina (z prawej)
(A. K. Kunert: Wrzesień 1939, Warszawa 1993)

nych wobec Zachodu. Niejako w rewanżu Francuzi i Anglicy pozostawali bierni i mimo polskich nalegań nie zdecydowali się nawet na podjęcie bombardowań Niemiec, a działania lądowe miały wręcz śmieszny zasięg i znaczenie.

Na dwa fronty

Inwazja Armii Czerwonej pogorszyła i tak już fatalne polityczne i militarne położenie Polski. Co prawda początkowo obie napastnicze armie nie podjęły współpracy na szczeblu strategicznym, ani tym bardziej taktycznym, ale samo pojawienie się drugiego frontu zmieniało sytuację na wręcz tragiczną. Polskie plany obronne nie przewidywały takiej możliwości, a zaskoczenie Naczelnego Wodza i jego sztabu było całkowite. Na wschodzie, wzdłuż liczącej 1 400 km granicy, znajdowały się stosunkowo słabe siły, głównie Korpusu Ochrony Pogranicza – 25 batalionów bez broni ciężkiej, które nie mogły długo stawiać skutecznego oporu. Marszałek Rydz–Śmigły nakazał "ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami" oraz dalszą walkę z Niemcami, zwłaszcza w przypadku obleganych miast i garnizonów. "Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony lub próby rozbrojenia oddziałów" – stwierdzał rozkaz Wodza Naczelnego nadany wieczorem 17 września z Ko-

łomyi. Wobec szybkiego posuwania się sił radzieckich, na ewakuację do Rumunii zdecydowali się także prezydent Ignacy Mościcki, premier Felicjan Sławoj–Składkowski oraz sam Rydz–Śmigły, który początkowo zamierzał pozostać w kraju. Rumuni internowali polskie władze, wycofując się pod coraz silniejszą presją Niemiec z obietnicy zapewnienia przejazdu do państw sojuszniczych, które zresztą nie zdobyły się na dyplomatyczną interwencję w obronie internowanych. Przekreśliło to plany udania się polskich władz do Francji w celu dalszego kierowania walką.

Na terytorium Rzeczypospolitej trwał już wyścig obu napastniczych armii. Ich dowódcy nie wiedzieli o tajnym protokole, a i sami jego sygnatariusze nie ufali sobie wzajemnie. Przyszłą, skorygowaną linię demarkacyjną obaj dyktatorzy woleli wykreślać z pozycji tego, który zajął jak najwięcej. W trakcie gorączkowych targów Hitler ostatecznie 28 września ustąpił – tak jeśli idzie o terytoria, jak i o koncepcję utrzymania szczątkowego państwa polskiego. Granice kolejnego rozbioru Polski miały stanowić rzeki: Pisa, Narew, Wisła i San, dając Stalinowi sposobność wystąpienia w roli "zjednoczyciela Ukrainy i Białorusi".

Radziecka agresja przekreśliła ostatni polski plan obronny – utrzymania tzw. rumuńskiego przedmościa, czyli terenów wzdłuż Dniestru i Stryja. Obrona tego skrawka terytorium miała mieć znaczenie symboliczne, jak i praktyczne. Tu zamierzano doczekać dociążających działań aliantów zachodnich. Rychło też Armia Czerwona przecięła szlaki ewentualnego odwrotu polskich oddziałów. Sytuację skomplikowały zbrojne działania podjęte przez ukraińskich nacjonalistów. W rezultacie w rejonie przedmościa nie udało się skoncentrować sił wystarczających do stawienia efektywnego oporu. Naczelny Wódz zdążył jeszcze zwolnić oddziały od obowiązku przebijania się w kierunku przedmościa.

Walka do końca

W chwili ewakuacji rządu broniły się Warszawa, Modlin i Hel. Kolejne punkty oporu pojawiły się w wyniku prób przeciwstawienia się inwazji radzieckiej. Było to m. in. Grodno, bronione przez wojsko i ochotników przed atakiem radzieckich czołgów. Wśród obrońców tej części kraju był major Henryk Hubal ze 110 pułku ułanów. Wraz z jednostką odmówił on przejścia na Litwę. Potem z grupą ochotników rozpoczął marsz w kierunku walczącej jeszcze Warszawy, a po jej upadku na Węgry. 1 października na Kielecczyźnie rozwiązał oddział rozpoczynając walkę partyzancką.

Nazajutrz skapitulował broniony od początku wojny Hel. Tego samego dnia rozpoczęła się ostatnia bitwa Września – pod Kockiem. Niemcy atakowali tam Samodzielną Grupę Operacyjną "Polesie" gen. Franciszka Kleeberga, która po walkach z Armia Czerwoną i Werhmachtem chciała pierwotnie iść na odsiecz Warszawie. 6 października w obliczu strat ludzkich i braków zaopatrzenia gen. Kleeberg skapitulował. Nie zgasł jednak duch oporu. Już 27 września w Warszawie zawiązała się pierwsza konspiracyjna organizacja wojskowa – Służba Zwycięstwu Polski. Chęć walki podsycało nie tylko traumatyczne przeżycie utraty niepodległości po zaledwie 21 latach, ale i bezprecedensowe bestialstwa, jakich dopuszczali się obaj okupanci niemal od chwili wkroczenia do Polski. Od 1 września zaznała ona nowych, nie liczących się z międzynarodowymi konwencjami sposobów prowadzenia wojny: bombardowania obiektów cywilnych i uchodźców, pędzenia przed nacierającym wojskiem "żywych tarcz" – cywili i jeńców. Terror polegał też na mordowaniu cywili ze względu na ich przeszłość (np. udział w powstaniach śląskich) i postawę polityczną, wreszcie przynależność do narodowości żydowskiej lub określonych grup społecznych. Zarówno naziści, jak i komuniści szczególnie wrogo odnieśli się do inteligencji, działaczy samorządowych, duchowieństwa i ziemiaństwa, upatrując w nich warstwy przywódcze. Ich los – mordowanych, więzionych i wywożonych – wkrótce podzielili inni, często najzupełniej przypadkowe ofiary.

Próba bilansu

Polska stała się pierwszą wspólną ofiarą Hitlera i Stalina, z których każdy dysponował siłami wystarczającymi do pokonania jej w pojedynkę. Mimo to poczucie klęski było tak silne i dojmujące, że odruchowo niemal szukano winnych. Zajęła się tym także urzędowa Komisja Rejestracji Faktów powołana przez nowego premiera, gen. Władysława Sikorskiego. I jemu i innym przeciwnikom autorytarnych rządów nie obca była myśl o odpowiedzialności obozu sanacyjnego, podjęta następnie z karykaturalnym zacięciem przez historiografię i propagandę PRL. Oczywiste błędy i zaniechania rządzących, nawet w przypadku ich cudownego naprawienia przed wrześniem 1939 roku, nie mogły jednak zmienić spraw podstawowych – stosunku sił między Polską a napastnikami oraz układu stosunków międzynarodowych. Określiło go zaś przejęcie inicjatywy przez prące do wojny państwa totalitarne – Niemcy i ZSRR oraz nieprzygotowanie do niej mocarstw Zachodu. Było ono tak daleko posunięte, że sztaby francuski i brytyjski nie wyciągnęły praktycznych wniosków z tego, co stało się w Polsce, ani nie wykorzystały związania sił niemieckich, a następnie miesięcy odbudowy ich potencjału mocno nadszarpniętego polską kampanią. Tylko w propagandowych enuncjacjach trwała ona 18 dni i była ciągłym marszem naprzód (propaganda radziecka przez 12 dni – od 17 do 28 września mówiła głównie o "oczyszczaniu terenu").

Kosztowna lekcja Września, za którą Polska zapłaciła życiem co najmniej 70 tysięcy żołnierzy i tyluż cywili, pod tym względem poszła na marne. Wojna miała trwać w Europie 5 lat i 8 miesięcy, przynosząc Polsce kolejne straszliwe straty w ludziach i majątku narodowym. Koszt "nie" powiedzianego Hitlerowi był bardzo wysoki, jednak decyzja polskich władz zapewniła krajowi przynajmniej formalną obecność w obozie zwycięzców, ogromny wysiłek zbrojny zaś nie pozwolił na skreślenie z porządku ich obrad punktu "sprawa polska".

Piotr Golik

Od autora: w tekście wykorzystałem wiadomości zawarte w następujących książkach: Karol Gruenberg, Bolesław Otręba – "Ribbentrop", Tadeusz Jurga – "Obrona Polski", Władysław Konopczyński – "Historia polityczna Polski 1914–1939", Andrzej Paczkowski – "Pół wieku dziejów Polski 1939–1989", Wojciech Roszkowski – "Historia Polski 1914–1993", Zygmunt Raniewicz – "Bitwy świata. Leksykon", Alan Bullock – "Hitler i Stalin. Żywoty równolegle", Joachim C. Fest – "Hitler", Sebastian Haffner – "Diabelski pakt. Z dziejów stosunków niemiecko-rosyjskich 1917–1941", Ernst Topitsch – "Wojna Stalina. Polityka ZSRR wobec Zachodu jako racjonalna strategia siły".

◆ OSTATNIE DNI WRZEŚNIA

Warszawska Cytadela była miastem otoczonym wałami, z ulicami, placami, domami mieszkalnymi, koszarami, kościołem i komendą placu, w której dwadzieścia cztery godziny na dobę urzędował major Sajdak, z tych Tatarów, którzy dobrze zasłużyli się swej przybranej ojczyźnie. Wiedział wszystko, pamiętał gdzie kogo posłał, opiekował się ciągle meldującymi się rozbitkami, spokojny, opanowany, przygotowany na każde nieszczęście. Widziałem go, jak kierował gaszeniem jednopiętrowej kamieniczki, w której było dowództwo 21 pułku piechoty.

Na budynku, trafionym bombami zapalającymi, blaszany dach wydął się jak czerwony żagiel nad pirackim statkiem. Wydawało się, że błyszczący balon uniesie z sobą cały dom. W końcu szwy puściły i rozżarzona blacha opadła na front budynku i zastygła jak bogata draperia w jakiejś włoskiej operze.

Na klatce schodowej trzydziestego pułku Strzelców Kaniowskich rejwach. Idący pod górę staruch w mundurze majora z dwudziestego roku roztrąca w dół schodzących żołnierzy, wyzywając ich i klnąc... Żołnierze czują, że to wariat powodowany rozpaczą. Oni w hełmach i z bronią wychodzą na jakiś odcinek, a on już chyba do niczego nie zdatny, ale się pcha i krzyczy na nich i bije pięściami, bo za wolno się przed nim rozstępują...

Od góry dudnienie napełnia koszary. To stare maksimy poustawiane w dymnikach grzeją co wlezie do Messerchmittów, które prawie po dachach jeżdżą strzelając i rzucając bomby zapalające i kruszące. Hałas straszny, ale skutku żadnego. Maksimy bez celowników przeciwlotniczych i na nieodpowiednich podstawach. Ale bronić się trzeba...

Z Józiem Marcinkowskim z drugiego piętra obserwujemy Pragę. Jej zarys stanowi pomarańczową wstęgę ciągłego ognia z broni maszynowej. Nie wiadomo – naszej czy niemieckiej? Może obie strony strzelają naraz? Aż do nas dochodzi nieustanny grzechot, jak niespokojny szum morza. Co tam się dzieje? Strach pomyśleć, jakie tam muszą być zmagania! Nie przyszło nam na myśl, że tam się jutro znajdziemy...

Ranek na Bródnie wstawał opornie. Było chłodno, chociaż słońce już zaczęło przebijać się przez mgły i dymy dalekich pożarów. Dzień zapowiadał się ciepły, i żeby nie ta gwałtowna nawała pocisków moździerzowych – prawie radosny. Marcinkowskiego przydzielono do czwartej kompanii, a mnie i moją grupę bydgoszczaków włączono do kompanii piątej. Siedemdziesiąty dziewiąty pułk, dwudziesta dywizja piechoty.

Pierwszy pluton dostałem ja, a drugi przypadł sierżantowi podchorążemu Korczyńskiemu, który z tym wojskiem był od marca. Dowódca kompanii ppor. Feliks Tyniecki, jedyny oficer, czterech poległo pod Mławą i już tu, w Warszawie.

Na głodno wzięliśmy się do pogłębiania wnęk strzeleckich. Po paru godzinach wyszły z tego zupełnie przyzwoite stanowiska. Doły nakryliśmy progami kolejowymi, co się okazało znakomitym pomysłem, bo późniejsze, regularne zresztą, nawały moździerzowe progi te rozrzucały, ale nie potrafiły ich przebić.

Przez następne dwa tygodnie napracowaliśmy się nielicho. Codziennie trzeba było okopy kopać na nowo, i znowu nakrywać progami. Cóż to był za wspaniały materiał! Sczepialiśmy te twarde, czarne, nasycone smołą bele klamrami i mogliśmy spokojnie czekać na następną nawałę. Aż do kapitulacji nie było w plutonie ani jednego zabitego czy rannego. Sam byłem zasypany trzy razy. Po jednej nawale zawołano mnie do strzelca Dubiela. Leżał w swoim dole na brzuchu, a między nogami sterczały mu brzechwy sporego pocisku, który na szczęście nie wybuchł. Mieliśmy zabawę z wyciągnięciem tego świństwa. Zbudowaliśmy nad Dubielem takiego koziołka, lasso zarzuciliśmy na brzechwy, ale kto będzie ciągnął do góry? Dubiel tylko stękał. Spocił się ze strachu, bo wystarczy drobna nieostrożność i Dubiela nie ma. Także nie byłoby tego, co tę linkę do góry ciągnął. Więc wyszło na to, że ja, jako dowódca, a do tego w plutonie wiekiem najmłodszy, muszę pokazać co jestem wart. No i udało się. Z chwili spokoju skorzystał Marcinkowski i przyszedł mnie odwiedzić. Kwaterę miał w murowanym domu, spał w łóżku, jadł marnie, ale i tak lepiej i częściej niż ja. Posiedział, pogryźliśmy razem jego suchary i poszedł. Jak zawsze wesół, zabawny, łabaty, duży, wyrośnięty, ale dziecinny.

Myliśmy się wszyscy wcześnie rano pod pompą na podwórzu komisariatu policji, na Toruńskiej, w dole za nami o kilkadziesiąt metrów. Był tam zabawny fotel z pasami, pewnie dla pijaków lub wariatów. Siadywałem w nim, bo był wygodny, wyściełany i można się było w nim przespać. Tam też na półce znalazłem maszynkę do golenia. Służyła mi przez następne pięć lat, aż do Włoch. W kuchni opuszczonego budynku warzyliśmy sobie strawę. Czasem kawę z tych naszych kawowych sucharów z cukrem.

Coraz częściej dostawaliśmy ogień od tyłu. Siedział jakiś gołębiarz w wysokich budynkach za nami i, jak zobaczył jakiś ruch, to strzelał. Kiedyś w płytkim rowku przeleżałem z innymi całą godzinę. Załatwił go dopiero kapral Lange, z 36 pułku Legii Akademickiej. Zjawił się u nas na początku z chlebakiem pełnym różnego kalibru pistoletów niemieckich. Sprzedawał, rozdawał, różnie. Nim postanowiono, jaki mu dać przydział, dostał w kość ogonową kawałkiem cegły i następne dziesięć dni leżał na brzuchu na sienniku w podziemiach szkoły. Jak wydobrzał, wziął karabin, kilka granatów i poszedł na polowanie. Wrócił zawiedziony. Gołębiarza nie znalazł. Granat – od którego zawleczkę zgubił, wrzucił w jakiś otwarty lufcik. Chyba przez przypadek trafił w dobre miejsce, bo od tej chwili nikt do nas z tyłu nie strzelał.

Właściwie był spokój. Musiałem tylko uważać, by być w mojej dziurze, gdy Niemcy mieli na nas spuścić następną porcję pocisków. Bo jak wojsko siedzi w okopach, to dowódca ma być z nimi. No i tak było, nasz pluton siedział zakopany w ziemi, a drugi pluton mieszkał w podziemiach szkoły mechanicznej trochę z tyłu. W nocy wychodził na przedpole i patrolował, w dzień spał lub myszkował po drewnianych domkach Bródna w poszukiwaniu jedzenia.

Stamtąd pochodziły worki suszonych skórek od chleba, worki ryżu sprytnie schowane na strychach czy słoiki z zacierem pomidorowym. To wszystko nasi kucharze wrzucali do kotła i gotowali gęstą zupę, która była naszym jedynym pożywieniem. Koło dwudziestego cała dzielnica spłonęła i zostały po niej tylko kominy i piece kaflowe, już niestety puste. Chociaż jeszcze w niektórych znaleźć można było konfitury czy inne smakołyki.

Co rano okopem przechodził w stronę Wisły jakiś chłopak i zbierał po pięćdziesiąt groszy. Od piekarza, który gdzieś tam jeszcze pracował, przynosił kilkanaście bochenków ciepłego białego chleba. Ale właściwie panował głód. Dowództwo nie dbało o zaopatrzenie. Ale wojsko dawało sobie radę. I nie narzekało. Gdy zbierali się na pogawędki, to ciągle wspominali poległych oficerów i kolegów. To był taki rytuał. Przy takich gadkach okazało się, że jeden z dowódców drużyn, kapral Smusz już w marcu mówił, że pierwszego września wybuchnie wojna z Niemcami. Wszyscy to potwierdzali. Smusz był mały,

silny, czarniawy na twarzy, kręcone włoski przyprószone siwizną. Zupełny analfabeta, ale znakomity podoficer. Zawołałem go do siebie. – Podobno kapral tę wojnę już w marcu przepowiedział? Czy to prawda? – Smusz dziobatą mordę do góry uniósł, czarnymi oczkami po chmurach wodził. – Ja, panie podchorąży, wiedziałem już wtedy. Bo ja jestem z takiej kowalskiej rodziny, ze środka puszczy pod Słonimem. W rodzinie wszyscy mężczyźni przepowiadają. Taki mamy dar. Od zawsze. Widzimy przyszłość. Nie zawsze, ale jak coś się ma stać, to my wiemy. – No dobrze, to niech mi kapral powie, kiedy się ta wojna skończy?

Spojrzał tym swoim jakby zezem, po twarzy rękami się potarł, za uchem podrapał.

– Kiedy się ta wojna skończy – to ja panu podchorążemu nie powiem. Ale powiem, że pierwszego już nas tu nie będzie.

– Jak to, nie będzie? Co się z nami stanie? – Chyba do tego czasu nas Niemcy nie pobiją, bo front się w Warszawie ustabilizował, gdzie indziej pewnie walki będą trwały przez dłuższy czas, alianci lada chwila do ataku ruszą! A nas pierwszego października już tu nie będzie! Czy to nie jakaś wroga propaganda, co mi ten Smusz tutaj opowiada? Przecież to niemożliwe! Poza tymi regularnymi nawałami moździerzowymi i od czasu do czasu wymianą ognia karabinów maszynowych to panuje spokój. Niemcy przed domkami na Pelcowiznie co rano koce trzepią, i nie widać, żeby coś przygotowywali...

No, ale to była połowa września. Mordercze naloty na miasto miały się dopiero zacząć. Jeszcze miasto było prawie nietknięte. Jeszcze magazyny pełne i nie spalone. Warszawa jeszcze mogła się bronić. Przynajmniej tak to wyglądało z pierwszej linii walki, z tych naszych okopów.

Z głośników radiowych ciągle dochodził zachrypnięty głos prezydenta miasta – Obywateleee! Trzeba pomóc ewakuować, gasić, budować barykady... – Zagrzewał, kierował, zachęcał, podtrzymywał, dzielny, stanowczy, uparty. Jeszcze trwała Polska! Jeszcze była z nami, choć zawężona do tego pola, do tych chałupek w lewo i zbiorników Nobla na prawo. Do tych biednych skrzynek amunicyjnych, do tej haubicy wysuniętej przed okopy, zasłoniętej od przodu szwelami. Siedzi tam przy niej w dziurze plutonowy Mikołajski i bombardier Szulc. Nasza obrona przeciwpancerna.

Można się było do takiej wojny przyzwyczaić. Ale dwudziestego drugiego zaczęła się wojna zupełnie inna. Samoloty niemieckie waliły po kilka bomb naraz w śródmieście, artylerią burzyli nietknięte dotąd ulice. Aż do nas wiatr przynosił czarny dym i swąd spalenizny. Ciągły huk kotłował się za nami, strach było tego słuchać... I tak pięć dni bez przerwy. Ze zgrozą patrzyliśmy na ten koniec świata. Tego ataku Warszawa nie przetrzyma.

Dwudziestego siódmego w południe rozkaz: "przerwij ogień". I potem kapitulacja. Z dowództwa przyszedł plik ostatnich rozkazów. Na hektografie wydrukowane podziękowania oficerom, którzy szczególnie zasłużyli się przy organizacji obrony stolicy. Zapamiętałem – pierwsze nazwisko – major Allinger, ostatnie – generał Zulauff. Korczyński wyczytał, że od pierwszego września już jest podporucznikiem. Ucieszył się ogromnie. Odpruł naszywki, przypiął gwiazdki. W schronie dowódcy kompanii zaczęli pić. Tymczasem karabiny trzeba było zwieźć do Ogrodu Zoologicznego, broń maszynową i amunicję zakopać pod torami, uporządkować oddziały, przygotować się do odejścia. W nocy kazali mi wyprowadzić pluton przed okopy i w zaroślach trzymać placówkę. Jako jedyna broń – dwie skrzynki granatów. Bez sensu taka placówka, ale kazali, więc żeśmy tam do świtu poleżeli, zmarzliśmy wszyscy na kość. Nikt nam nie podziękował, a szef powiedział, że nie mógł nas znaleźć...

Podoficerowie, których w ogóle nie znałem, powyciągali skądeś wozy pełne konserw, butów, mundurów, tacy dumni, że do końca to wszystko potrafili utrzymać. Powiedziałem szefowi, że ani razu nas nie nakarmił.

Panie podchorąży, co pan? Przecież to, co na tych wszystkich wozach, to byście w jeden dzień zjedli! A jakąś rezerwę musimy mieć! Zabrałem mu dwie konserwy, mądrala...

Koło południa zgromadzili nas na bródnieńskim placyku. Major Zuske przemówił do resztek swego batalionu, potem jakiś emerytowany profesor dziękował nam za nasz wysiłek, i za to, cośmy dla Ojczyzny zrobili. Brzmiało to podniośle i dumnie. Byliśmy wzruszeni. Czuliśmy wszyscy, że to do nas w ostatnich swych chwilach mówi Polska. I że kończy się to wszystko, co miało być naszą przyszłością. Naszym wspólnym życiem w wolnym, niepodległym kraju...

"Jeszcze Polska" wyszła nam niemrawo, jakby ze szlochem... Co miał na myśli major, gdy w ostatnich słowach wspomniał coś o Francji? Że tam organizuje się wojsko polskie, i że może się tam jeszcze spotkamy?

O pierwszej mieliśmy ruszyć, dokąd, nie wiadomo. Sformowaliśmy kompanie, tabory, kolumny, jak trzeba. Ktoś musi prowadzić naszą kompanię, a obaj oficerowie, Tyniecki i Korczyński, zupełnie po tym oblewaniu awansu nieprzytomni. Koń dowódcy stoi, kopytem grzebie, prycha, okiem toczy, wystał się dwa tygodnie w piwnicy, to mu pewnie gdzieś śpiesznie. Przychodzą podoficerowie z szefem na czele: – Panie podchorąży, na co pan czeka, niech pan siada na konia i prowadzi!

Nie wsiadłbym, bo nawet nie wiem jak, ale podnieśli mnie, nogi w strzemiona wsadzili, wodze dali do ręki. Wysoko, jak spadnę, to się zabiję.

Ale tymczasem koń ruszył, kompania za nim. Wygina się pode mną, ale łagodnie, czuje, że żółtodzioba niesie. Rząd chrzęści, skóra pachnie, coś mnie pod udem uwiera. A to szabla dowódcy, tego, co już prawie miesiąc nie żyje, bo poległ w pierwszym boju... Powoli to idzie, most Kierbedzia, jakieś ulice, których nie znam... Ruiny, poszarpane przewody elektryczne, rumowiska, dymy... Na balkonach stylowych budowli smaży się farba, niebieskie dymki ulatują do góry. Czytam – ulica Senatorska. Dziwnie nas przez to miasto prowadzą, barykady jeszcze nie uprzątnięte...

Wychodząc z Warszawy przeszliśmy przez pola zasłane niemiecką piechotą. Niebiesko było jak okiem sięgnąć i fetor był przeraźliwy. Musieli nasi dobrze się tutaj bronić.

Za miastem na skarpie grupa oficerów. To dowódca dywizji, pułkownik Lawicz-Liszka ze sztabem przyjmuje ostatnią, pożegnalną defiladę. Duży chłop, stoi do szosy bokiem, nie salutuje. Nie w głowie mu parada...

Żywych Niemców zobaczyliśmy dopiero, jak się zaczęły lasy. Z przesiek wysunęły się półpancerne samochody, włączyły między kompanie. Ośmiu szwabów na każdym. Karabiny maszynowe na lawetach, hełmy, płaszcze nowe, szare. Siedzą sobie spokojnie, milczący, zadowoleni z siebie. Zwycięzcy.

Tak doszliśmy do olbrzymiego pola w prawo od szosy. Cała dywizja się tam roztasowała. Namioty, wozy, kuchnie, punkty opatrunkowe. Przy stołach dowódcy kompanii wypisują legitymacje.

W nocy, jak tylko udało mi się zasnąć, budzą mnie. Do dowódcy. Nieznany pułkownik każe mi objąć kolumnę wozów taborowych i pojechać do Grodziska po chleb. A mnie zimno z niewyspania trzęsie i nie wiem, o co mu chodzi. Do jakiego

Grodziska? Dlaczego ja, zwykły kapral podchorąży? Po jaki chleb? – Chleb – na to hasło otrzeźwiałem.

Wozów było kilkanaście. Porządnie zaprzężone w dwa konie każdy, woźnice z batami, fantastycznie ta kawalkada wyglądała w blasku ognisk... Jedziemy. Ciemno jak u murzyna, ale na drodze stoją oficerowie z latarkami, choć już bez pasów, i pokazują drogę. Po godzinie wjeżdżamy na rynek małego miasteczka, w czterech domach się świeci. To pewnie piekarnie...

Rozdzieliłem wozy na cztery grupy i po chwili bochny razowego chleba śmigają po dwa w powietrzu, żwawo układane w przepastnych skrzyniach wozów. Podpisałem jakieś kwity i jedziemy. Ale nie siedzę na pierwszym wozie, tylko na ostatnim. Kazałem się przykryć chlebem. Ciepło, pachnie ten nasz wojskowy chleb. A ja skórkę sobie odrywam i żuję, i sennie mi się robi, i jestem szczęśliwy, że żyję. I drugą skórkę... I trzecią. Nie biorę bochenka, bo liczone, tak sobie myślę w tej zmęczonej, skołatanej głowie.

I dlaczego ja, rozbitek z 15 dywizji, wiozę teraz chleb dla całej 20-tej. I pomyślałem – czy to jeszcze wrzesień, czy już październik?...

Andrzej Czyżowski

◆ ŻALBINY W CZERWIENI k. MIŃSKA

Żalbiny to po białorusku uroczystości żałobne, odbywające się przy rozmaitych okazjach. W Czerwieni k. Mińska z okazji rocznicy "marszu śmierci", czyli pieszej ewakuacji więźniów Mińska i masowego ich zamordowania w dniach 24–27 czerwca 1941 roku, od 1991 roku w ostatnią niedzielę lub sobotę czerwca odbywają się uroczystości żałobne. I tu paradoks: w "marszu śmierci" zginęło nie więcej niż stu Litwinów, a Polaków tysiące, jednak na Żalbiny przyjeżdżają autokarami z Litwy grupy 40–120 osobowe, a Polaków reprezentuje zaledwie kilka osób. W 1991 roku z Wrocławia przyjechał p. Jerzy Pankiewicz, stypendysta Archiwum Wschodniego, a od 1995 roku jeżdżę sama na własny rachunek, tylko w 1996 roku część kosztów zwrócił mi Związek Sybiraków. W 1996 roku poproszono mnie o zabranie głosu. Mówiłam po polsku, a kiedy chciałam przejść na rosyjski, usłyszałam sprzeciw i Białorusinów, i Litwinów: "Niech pani mówi dalej po polsku, my wszystko rozumiemy". Powiedziałam o tym, że ta sama zbrodnicza ręka posłała kulę Polakom, Litwinom i Białorusinom, więc powinniśmy zapomnieć o dawnych urazach i żyć w przyjaźni. Mówiłam bardzo powoli i wyraźnie, używając prostych słów. Ustaliliśmy, że nie będziemy używać języka wspólnego wroga; oni mówią po białorusku, ja po polsku i doskonale się rozumiemy, Litwini przeważnie polski znają.

W tym roku mogłam wziąć udział w Żalbinach dzięki życzliwości pana prof. Andrzeja Stelmachowskiego, prezesa "Wspólnoty Polskiej". Pojechałam z wnukiem Zbyszkiem Trzeciakiem, bo sama już jeździć nie mogę. Zawsze mi zarzucano, że obok litewskiej i białoruskiej Pogoni nie powiewa polski Orzeł. Orła co prawda i teraz zabrakło, ale po raz pierwszy na tych uroczystościach była polska flaga. Tym razem mówiłam o pobycie Ojca Świętego w Polsce, o Jego spotkaniu z Litwinami w Ełku i z Białorusinami w Siedlcach oraz wezwaniu do wzajemnej miłości. Wspomniałam też o ukazaniu się mojej książki pt. "Marsz śmierci Mińsk–Czerwień 24–27 czerwca 1941 r. " Białorusini chcą ją tłumaczyć na białoruski, a Litwini będą czytać po polsku.

I znów gorycz zawitała do serca. Litwinów przywiozły trzy autokary, a nas było czworo: prezes ZPB w Mińsku p. Konstanty Tarasewicz, p. Ryszard Jasiński – reżyser i dziennikarz oraz ja z wnukiem. Kalkulacja jest bardzo prosta: na jednego zamordowanego tu Litwina wypada więcej niż jeden uczestnik Żalbin, a na tysiąc zamordowanych Polaków – jeden uczestnik.

Jak to jest możliwe, że nasz naród tak mało dba o tych, którzy oddali swe życie za Ojczyznę. Wśród więzionych w Mińsku Polaków nie było kryminalistów, aresztowanych za przejście granicy (tych sądzono w mniejszych więzieniach i wysyłano do łagrów), za spóźnienie się do pracy lub jej opuszczenie, za nadużycia gospodarcze itp. W Mińsku więziono i sądzono aresztowanych za udział w tajnych organizacjach lub za działalność przedwojenną w polskich stowarzyszeniach. Polacy, tak jak Litwini, to więźniowie polityczni. Czy naprawdę nie stać nas na wysłanie na Żalbiny choćby jednego autokaru?

Jak co roku, żałobna procesja ustawiła się przy bramie więziennej w Czerwieni, bo stąd właśnie wyruszyła w ostatnią swą drogę grupa 700 wyselekcjonowanych mężczyzn i druga grupa 500 więźniów (ich drogi dokładnie nie znam, bo nikt z tamtej grupy nie ocalał). Szli niepewni swego losu przez 2,5 km do miejsca, gdzie kończy się granica miasta i gdzie obecnie stoi krzyż ustawiony w 1989 roku. Była na nim miedziana tablica z napisem w językach białoruskim, litewskim i polskim: "Ofiarom bolszewickiego terroru". Dość szybko znikła i nie ustalono dlaczego. W tym miejscu, 27 czerwca 1941 r., rozpoczęło się rozstrzeliwanie z karabinów maszynowych – najpierw chaotyczne, potem systematyczne. Rannych dobijano saperkami i z broni krótkiej. Jak podaje Janusz Prawdzic Szlaski, uratowało się 37 osób. Nie wiem, czy 2 księży i 6 pułkowników litewskich wliczono do tej liczby, czy należy ich jeszcze doliczyć. O ile nie znane są nazwi-

ska wszystkich uratowanych Polaków, o tyle znani są uratowani Litwini, których w tej grupie było 57. Uratowali się ci, którzy szli z boków kolumny, bo albo udało im się uciec do lasu przed rozpoczęciem rozstrzeliwania, albo ranni wpadli do rowów i zostali przykryci trupami, spod których wydostali się po zakończeniu akcji dobijania. NKWD jeszcze przez dwa dni przeczesywało lasy, poszukując uratowanych więźniów w okolicy Czerwieni. Droga powrotna do Mińska była dla nich niebezpieczna, bo sowiecka "razwiedka" wszędzie poszukiwała byłych więźniów i niektórzy zostali zamordowani tuż przed zajęciem terenu przez Niemców. Pamiętam, że we wsi gminnej Draczkowo "razwiedka" złapała grupę byłych więźniów, którzy wraz z uciekinierami stanęli w kolejce po chleb. Zostali rozstrzelani przez NKWD (jak słyszałam wtedy), albo zabrani do samochodów i wywiezieni (jak zdołałam dowiedzieć się teraz od miejscowej ludności). Często poszukiwanie żywności w okolicznych kołchozach kończyło się śmiercią.

Podczas uroczystości żałobnych procesja idzie do pierwszego wysokiego na 20 m krzyża, obok którego stoi mniejszy krzyż–kapliczka w stylu białoruskim, gdzie w tym roku miejscowy rzeźbiarz postawił figurkę anioła. Krzyże i kapliczka znajdują się po lewej stronie bobrujskiej szosy. Jakieś 20 m dalej władze ustawiły mały obelisk zwany "słupkiem". Główne uroczystości żałobne miały miejsce przy krzyżu. Zebranych powitał mieszkaniec Czerwieni i inicjator upamiętnienia miejsc mordów p. Włodzimierz Daraguż, który mówił o bestialskich mordach i o cierpieniach Białorusinów. Zabrałam głos po nim. Następnie przemawiał poseł litewski, który podkreślił groźbę Moskali jako naszych odwiecznych wrogów. W podobnym tonie przemawiał p. Mikołaj Kupawa, plastyk białoruski i główny organizator Żalbin, przypominając rozbiory Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz powstania przeciw caratowi i zesłania na Sybir.

Przywiązaliśmy do krzyża wiązankę z biało–czerwonych kwiatów i igliwia oraz bukieciki Białorusinów i zapaliliśmy przywiezione z Polski znicze, a Białorusini – cienkie woskowe świece. Litwinki, członkinie chóru, zainicjowały pieśni i modlitwy pogrzebowe.

Część grupy udała się pod urzędowy "słupek", gdzie Białorusinki prowadziły modlitwy, a mój wnuk stał z polską flagą. Dalej, po przejściu ok. kilometra, po prawej stronie znajduje się kilka krzyży: krzyż Straży Mogił, metalowy w jednolitym zielonym kolorze ufundowany w 1995 roku, pierwszy drewniany krzyż ufundowany przez syna litewskiego pułkownika, białoruska krzyż–kapliczka, postawiona w 1993 roku, drewniany krzyż ufundowany przez towarzystwo litewskich studentów im. Olgierda w Anglii, drewniany krzyż postawiony przez syna Tadeusza Giedroycia, senatora II RP, zamordowanego na tej drodze śmierci. Niestety, drewniana tabliczka w językach polskim i białoruskim jest już bardzo zniszczona i wymaga renowacji, albo lepiej wykonania nowej – metalowej. Zapaliliśmy znicze i świece przy wszystkich krzyżach. W odległości ok. 50 m, z lewej strony szosy, stoi litewski świątek z tablicą w językach białoruskim, litewskim, angielskim, polskim i rosyjskim oraz datą 26.06.41 r., który zamyka drogę śmierci.

W tym miejscu oficjalna część uroczystości została zakończona. Na trawie rozłożono obrusy i każdy położył na nich to, co przywiózł. Polska kiełbasa, ciastka i cukierki "krówki" cieszyły się wielkim uznaniem. Miłą atmosferę przerwał deszcz. Rozjechaliśmy się zaprzyjaźnieni, obiecując, że wrócimy tu za rok.

W niedzielę zostałam zaproszona na polską Mszę św., a potem do Klubu Kobiet Katolickich, w którym aktywnie działa p. Irena Dunaj. Spotkałam się też z dziennikarzem z Polskiego Radia, który nie dotarł do Czerwieni, ponieważ nie mógł kupić benzyny – nawet za dolary. W poniedziałek pojechaliśmy do Kuropat, by złożyć wiązankę biało–czerwonych kwiatów z szarfą. Natknęliśmy się na wykopane kości i resztki ubrania. Obok kilka osób spacerowało z psami. Czy nawet po śmierci pomordowani przez NKWD nie mogą mieć spokoju? Świat musi się dowiedzieć o Kuropatach, tak jak wie o Katyniu, bo leży tu nie mniej ofiar; z tą różnicą, że w Kuropatach zabijano lub grzebano ofiary od 1937 roku.

Joanna Januszczak

ZE ŚWIATA

Argentyna

POMNIK JANA PAWŁA II W BUENOS AIRES

6 sierpnia w Buenos Aires miała miejsce uroczystość odsłonięcia pomnika Jana Pawła II, autorstwa prof. Stanisława Słoniny, który został ufundowany przez prezesa Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich Ameryki Łacińskiej Jana Kobylańskiego. W tym niezwykłym wydarzeniu uczestniczyli m. in. prezydent Argentyny Carlos Saul Menem, wiceprezydent Carlos

Federico Rucauf, nuncjusz apostolski bp Ubaldo Calabresi, prymas Argentyny ks. abp. Jorge Bergogio, sen. Ricardo A. Branda, sekretarz rządu ds. kultu dr Juan Jose Laprovitta, minister sprawiedliwości Raul Granillo Ocampo, minister zdrowia Alberto Mazza, minister pracy Jose Uriburu i dyrektor Biblioteki Narodowej Argentyny Oscar Sbarra Mitre. Stronę polską reprezentowali: wicepremier Janusz Tomaszewski, przewodniczący sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą Ryszard Czarnecki, ambasador RP w Argentynie Eugeniusz Noworyta oraz wiceprezes Stowarzyszenia "Wspólnota Polska" abp Zygmunt Kamiński. Spośród miejscowej Polonii obecni byli: prezes Jan Kobylański, ks. prałat Kazimierz Dziadak, członkowie zarządu Związku Polaków w Argentynie, kombatanci, delegacje organizacji polskich z pocztami sztandarowymi z Cordoby, Rosario i Misiones, harcerze i młodzież szkolna.

Pomnik "Piotra Naszych Czasów" został odlany z brązu w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych – ma około 5,5 m wysokości, waży ponad 1300 kg. Jest darem Polaków mieszkających w Ameryce Łacińskiej dla narodu argentyńskiego. Władze tego kraju przyjęły go z ogromną satysfakcją, o czym świadczy odstąpienie w tym konkretnym przypadku od obowiązującej w Argentynie ustawy nie zezwalającej na stawianie pomników osobom żyjącym. Stało się to możliwe dzięki trzem osobom – senatorowi Ricardo A. Branda, który wystąpił z inicjatywą ustawodawczą oraz Luisowi Garido i Guillermo Esobarowi, którzy dopełnili niezbędnych formalności. W ten sposób władze państwowe wyraziły uznanie dla ogromnego wkładu Polaków w życie społeczne, kulturalne i religijne Argentyny. Monument stanął w centrum Buenos Aires, na terenie ogrodu Biblioteki Narodowej.

W trakcie uroczystości odsłonięcia pomnika prezydent Carlos Saul Menem powiedział m. in.: "Uroczystość odsłonięcia pomnika Jego Świątobliwości Jana Pawła II, która dziś nas tu zgromadziła, wzbudza wiele bardzo serdecznych uczuć, przede wszystkim we mnie, ze względu na możliwość oddania hołdu przez Argentyńczyków i Polaków, zbratanych poprzez tę wspaniałą rzeźbę prof. Stanisława Słoniny, a czczących w ten sposób największą żyjącą postać duchową, wykraczającą najbardziej poza wymiary naszego wieku.

Ten dar Związku Polaków w Argentynie i USOPAŁ jest dziełem, które zobowiązuje jednocześnie do wdzięczności całej ludzkości zjednoczonej w boskiej wspólnocie miłości, bez względu na istniejące różnice wyznań.

Miejsce, w którym postawiono ten pomnik, czyli teren ogrodu Biblioteki Narodowej, wzbudza we mnie głębokie uczucie, gdyż jako prezydent miałem zaszczyt inaugurować tu olbrzymie inwestycje. Biblioteka jest dziś prawdziwym monumentem kultury i ducha argentyńskiego. Kultura i duch powinny być wiernym odbiciem niezłomnej wiary i transcendentnych wartości, a wierze, która góry przenosi, zawdzięczamy możliwość realizacji naszych podstawowych potrzeb, zarówno w tym przemijającym już wieku, jak i w tym, który nadchodzi (...)

Hołd, jaki dziś my, wszyscy Argentyńczycy, składamy Jego Świątobliwości papieżowi Janowi Pawłowi II przez ten pomnik uwieczniający jego pamięć, jest również najgłębszym hołdem złożonym Jego ukochanemu narodowi polskiemu, który wydał Go na świat i wychował w tej niewyczerpanej świętości, którą św. Paweł określił słowami: «Niech was nigdy nie zmęczy czynienie dobra»."

■ O współpracy gospodarczej

Na początku czerwca w Argentynie i Chile bawiła polska delegacja fachowców zajmujących się gospodarką. W jej skład wchodzili: Bernard Błaszczyk – podsekretarz stanu w Ministerstwie Gospodarki, Marek Konopczyński – szef gabinetu politycznego tegoż Ministerstwa, a przy tym sekretarz Zarządu Krajowego Stowarzyszenia "Wspólnota Polska", Zbigniew Sieczkoś – wojewoda podkarpacki, Krzysztof Czeszejko–Sochacki – wiceprezes Krajowej Izby Gospodarczej, Krzysztof Węgrzecki – wicedyrektor biura UNIDO w Warszawie oraz Jan Przegaliński – ekspert ds. Ameryki Łacińskiej w Ministerstwie Gospodarki. W dniach 1 – 3 czerwca uczestniczyli oni w Buenos Aires w IX Sesji Handlowej Argentyńsko–Polskiej Komisji Mieszanej, której celem było omówienie sposobów wykorzystania umów już podpisanych oraz rozpatrzenie, jakie byłyby jeszcze potrzebne dla polepszenia stosunków handlowych między obydwoma krajami. Ostatnie spotkanie tego typu odbyło się, niestety, przed dziewięcioma laty. A przecież od tego czasu tak wiele zmieniło się w Polsce. Ale nie tylko – także w Argentynie powstrzymano inflację i przeprowadzono reformy w urzędach skarbowym i gospodarczym. Polskiej delegacji towarzyszyli: ambasador RP w Argentynie Eugeniusz Noworyta, wiceprezes Argentyńsko–Polskiej

Tablica w Domu Polskim w Buenos Aires

Od lewej – J. Kobylański, M. Konopczyński i L. Bilozur

Otwarcie zebrania Koła im. Jana Pawła II w Chile

Od lewej – M. Konopczyński, książę Karol Radziwiłł i Z. Sieczkoś

Fragment kolekcji starych samochodów J. Kobylańskiego

Izby Handlowej prof. Józef Skowron oraz kilkunastu polskich przedsiębiorców, zajmujących się m. in. kolejnictwem, aeronautyką, chemią, rybołówstwem i przetwórstwem morskim. Goście z Polski spotkali się również z nuncjuszem apostolskim abp. Ubaldo Calabresi i prezesem Związku Polaków w Argentynie Janem Kobylańskim, a także liczną grupą miejscowych osobistości. Udali się też do Domu Polskiego na spotkanie z członkami Związku Polaków w Argentynie, gdzie serdecznie powitał ich prezes Związku Polskich Kombatantów Leopold Biłozur. Natomiast wiceminister Bernard Błaszczyk skierował do zebranych słowa: "Polska jest jedna, a Waszym sercom szczególnie bliska. Kochacie Polskę a Ona za Wami tęskni. Spotkanie z Wami pozostanie na zawsze w naszej pamięci" i właśnie ku pamięci przekazał statuetkę pomnika papieża Jana Pawła II, autorstwa prof. Stanisława Słoniny – monument ten jeszcze w tym roku zostanie odsłonięty w Buenos Aires.

Z kolei w Santiago de Chile członkowie delegacji spotkali się w Polskiej Misji Katolickiej z: wiceministrem gospodarki, rozwoju i odbudowy Chile Luis Aurelio Sánchez Castellón, wiceministrem finansów Manuel Marfán Lewis, dyrektorem generalnym MSZ ds. międzynarodowych stosunków ekonomicznych Juán Gabriel Valdés Soublette, komendantem sił lotniczych Chile gen. Fernando Rojas Vender, wiceprezesem Konfederacji Produkcji Handlu Fernando Lihn Concha oraz przedstawicielami polonijnego Koła im. Jana Pawła II. Poza tym uczestniczyli w seminarium informacyjno–porównawczym na temat gospodarki polskiej i chilijskiej oraz w ceremonii podpisania umowy o współpracy między Narodową Izbą Handlu, Usług i Turystyki Chile a Krajową Izbą Gospodarczą. *(IBP)*

Australia

■ 50 LAT W SŁUŻBIE POLONII AUSTRALIJSKIEJ

"Tygodnik Polski" swój pionierski początek ma w piśmie, które zostało założone w lipcu 1949 r. przez misjonarza z Chin, ks. Konrada Trzeciaka, w obozie Bathurst w stanie Nowa Południowa Walia, do którego przybywały duże transporty polskich emigrantów. Pismo powstało w oparciu o modlitwę i 30 funtów kapitału zakładowego. Konrad Trzeciak, zanim został księdzem i misjonarzem w Chinach – skąd wyrzucili go komuniści – był przed wojną aptekarzem na Pomorzu. Do Australii przyjechał w czasie, gdy rozpoczął się tam masowy napływ polskich emigrantów.

W pierwszym okresie wydawania "Tygodnika Katolickiego", bo taka była pierwotna nazwa powielanego pisma liczącego osiem stron, egzemplarz kosztował cztery pensy, a roczna prenumerata jednego funta. W tym czasie bowiem australijską walutą były funty.

Ważną datą w historii pisma był 16 sierpnia 1951 r., kiedy to "Tygodnik" stał się gazetą drukowaną. W związku z tym jego format zmienił się na zbliżony do amerykańskiego "Time'a".

"Tygodnik Katolicki" bardzo szybko zaczął rozchodzić się po wszystkich stanach Australii i stał się nieodzownym informatorem, a także poradnikiem, dla polskich emigran-

tów na starcie do życia w nowym kraju. Do rozwoju pisma w znacznym stopniu przyczyniła się pomoc okazywana przez księży. Tygodnik od samego początku wiele miejsca poświęcał sprawom młodzieży – oprócz dodatku "Tygodniczek" oraz odcinków powieści "W pustyni i w puszczy" drukowano częściami "Elementarz" Falskiego, wydany następnie w formie książkowej przez Związek Polaków w Wiktorii.

Dzięki wydatnej pomocy ks. Józefa Janusa, niezmiernie zasłużonego ówczesnego kapelana Polonii w Melbourne i jej przywódcy duchowego, w połowie roku 1954 nastąpiła przeprowadzka "Tygodnika Katolickiego" z Bathurst do Melbourne. Wydawnictwo miało swój lokal w oficynie Domu Sodalicyjnego na przedmieściu Richmond, gdzie mieściła się też drukarnia Polpress drukująca "Tygodnik". Jej właścicielem był Stanisław Jandzis, odznaczony Virtuti Militari oficer Brygady Karpackiej i Drugiego Korpusu, który brał udział w obronie Tobruku i w walkach pod Monte Cassino.

W listopadzie 1960 r. Roman Gronowski, redaktor sydneyskich "Wiadomości Polskich" i współpracownik "Tygodnika", został jego współredaktorem, w miesiąc później redaktorem i właścicielem. Przyczyną był zły stan zdrowia ks. Trzeciaka, który wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie zmarł w 1970 r. Pod redakcją Romana Gronowskiego "Tygodnik" stał się pismem bardziej świeckim, zachowując jednak wyraźnie charakter katolicki i niepodległościowy oraz kontynuując działalność ks. Trzeciaka, który np. wprowadził obszerną kronikę z życia Polonii australijskiej. W dziale tym ukazywały się krótkie sprawozdania ze wszystkich stanów Australii i z jej stolicy – Canberry. Obraz życia i działalności Polonii australijskiej miał swe wierne odbicie w zwięzłym kronikarskim ujęciu, a osób chętnych do pisania sprawozdań wówczas nie brakowało.

Redaktor Gronowski, chcąc uczcić zasługi osób wyróżniających się spośród Polonii australijskiej, zaczął nadawać tytuł "Australijskiego Polaka Roku". Pierwszą osobą wyróżnioną był w 1961 r. Lech Paszkowski – pisarz i historyk Polonii australijskiej. Potem tytuł ten otrzymali m. in. Jerzy Gruszka – podpułkownik armii australijskiej i odkrywca jeziora w zachodniej Australii nazwanego później jego nazwiskiem, gen. Juliusz Kleeberg – wybitny działacz polonijny i wieloletni prezes Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, Jerzy Zubrzycki – profesor i założyciel katedry socjologii na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Canberze, przy tym inicjator i pionier polityki wielokulturowości.

W 1965 r., za radą byłego redaktora ks. Konrada Trzeciaka, nastąpiła zmiana tytułu pisma na "Tygodnik Polski". W tym samym roku wydawnictwo stało się właścicielem linotypu, kupionego z ofiar Polonii australijskiej – dało to początek własnej drukarni Typol Press. W piśmie pod redakcją Romana Gronowskiego ukazywały się regularnie lub sporadycznie specjalne dodatki: Głos Młodych, Sprawy Duszpasterskie, Mały Przegląd Sportowy, kulturalno–literacki Margines pod red. Andrzeja Chciuka, Polak w Adelajdzie, Kombatant Polski w Australii oraz okolicznościowe jednodniówki. W numerze z 1 stycznia 1974 r. został zamieszczony artykuł redaktora pt. "O 25–leciu, urlopie i kilku innych sprawach", w którym podkreślił on, że "polska społeczność w Australii będzie miała wkrótce okazję do przeżywania jeszcze jednego jubileuszu – 25–lecia istnienia "Tygodnika Polskiego", dawniej "Tygodnika Katolickiego"". Jednak Roman Gronowski nie doczekał tego jubileuszu – zmarł nagle 12 lipca 1974 r.

Ks. Konrad Trzeciak i Roman Gronowski przyczynili się do utrwalenia istnienia pisma w pionierskim okresie jego działalności. W tych latach "Tygodnik" pomógł w powstaniu nowej, zjednoczonej, zorganizowanej, ofiarnej i zdecydowanie niepodległościowej Polonii australijskiej. Był to – moim zdaniem – najważniejszy okres w jego historii.

Po śmierci Romana Gronowskiego w latach 1974 – 1977 redakcją kierował Marian Kałuski, który przyjechał z Polski w 1964 r. i wkrótce potem rozpoczął pracę w piśmie jako sekretarz redakcji. To on wprowadził na łamy obszerną tematykę polskich kresów wschodnich.

W roku 1977 rozpoczął się kolejny rozdział w historii "Tygodnika", trwający 15 lat. Ówczesny wydawca pisma – Spółdzielnia Dom Polski – opublikowała komunikat informujący, że 1 sierpnia 1977 r. redaktorem "Tygodnika Polskiego" został Jerzy Grot–Kwaśniewski.

Pismo objąłem mając już doświadczenie dziennikarskie – w czasie wojny byłem dziennikarzem polskiej prasy podziemnej, wydawanej przez Biuro Informacji i Propagandy Armii Krajowej, w pierwszych latach powojennych redaktorem polskiej emigracyjnej agencji prasowej Refugees Press z siedzibą w Niemczech Zachodnich, a w Australii w latach pięćdziesiątych redagowałem "Głos Polski", ukazujący się w Melbourne. Redaktorem "Tygodnika" byłem w okresie wydarzeń znamiennych dla niego i dla Polski. W 1983 r. "Tygodnik Polski" przeszedł na nowoczesną technikę offsetową, powiększył objętość i ilość ilustracji. W roku 1984 lokal pisma przeniesiono z przedmieścia Seddon do centrum Melbourne. Przyczyniło się to do zwiększenia liczby ogłoszeń i osiągnięcia najwyższego nakładu w historii pisma.

W latach osiemdziesiątych powstała "Solidarność", został wprowadzony stan wojenny i rozpoczął się koniec rządów komunistycznych w Polsce. W tych latach miała również miejsce pielgrzymka Jana Pawła II do Australii i Jego spotkanie z Polonią australijską. "Tygodnik" poświęcił tym wielkim wydarzeniom dużo miejsca. Mało znanym rodzajem działalności redakcji, głównie w latach osiemdziesiątych, było konspiracyjne organizowanie przerzutu do ówczesnej PRL niepodległościowych publikacji, np. miniaturowych wydań paryskiej "Kultury" i "Zeszytów Historycznych".

W 1991 r. złożyłem rezygnację ze stanowiska redaktora pisma, chcąc przekazać je młodszej generacji. Od stycznia 1992 r., przez siedem kolejnych lat, funkcję tę sprawował Michał Filek – absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, pracujący po ukończeniu studiów w zawodach prawniczych, początkowo jako sędzia, a następnie radca prawny i adwokat. Był działaczem "Solidarności" w Bydgoszczy oraz redaktorem solidarnościowego dwutygodnika publicystycznego "Impulsy". Do Australii przybył w 1985 r. "Tygodnik Polski" pod redakcją Michała Filka obszerniej poruszał tematykę krajową i podjął akcję obrony dobrego imienia Polski. Michał Filek opublikował powody swej rezygnacji w specjalnym oświadczeniu, stwierdzając m. in., że "po pierwsze, realizowana przeze mnie linia pisma i jego koncepcja nie jest w pełni zgodna z oczekiwaniami większości zarządu Stowarzyszenia", a wydawcą było wówczas Stowarzyszenie im. Tadeusza Kościuszki.

Szóstym z kolei i obecnym redaktorem został Zbigniew Derwiński (42 lata). Ukończył on studia historyczne na Wydziale Filozoficzno–Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego i doktoranckie w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. W Australii przebywa od 1987 r. Pod obecną redakcją "Tygodnik" podaje więcej informacji z życia i działalności Polonii australijskiej – dzięki temu ma bardziej widoczny profil pisma polonijnego.

"Tygodnik Polski" w okresie swego pięćdziesięcioletniego istnienia stał się nieodłącznym towarzyszem Polonii australijskiej i w tym długim okresie odegrał wielką rolę w służbie naszej Polonii.

Jerzy Grot–Kwaśniewski

Nowe władze Rady Naczelnej

31 Zjazd Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, obradujący w dniach 12 – 13 czerwca br. w Canberze, wybrał nowe władze Rady Naczelnej na dwuletnią kadencję.

Prezesem Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii został dr Ryszard Rygielski z Brisbane.

Dr Janusz Rygielski urodził się w 1942 roku w Warszawie. Ukończył studia i uzyskał tytuł doktora na wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Jako pracownik tej uczelni współpracował, a następnie pełnił funkcję redaktora naczelnego tygodnika studenckiego "Politechnik". Pracując w Ministerstwie Ochrony i Kształtowania Środowiska rozwinął działalność publicystyczną w periodyku "Przegląd Geodezyjny". Będąc członkiem kolegiów redakcyjnych rocznika "Ziemia" i miesięcznika "Aura" wydał trzy książki poświęcone turystyce i ochronie przyrody oraz przewodnik po górach. Jako członek Stowarzyszenia Dziennikarzy trzykrotnie otrzymał nagrodę za dorobek w omawianej tematyce. Był również członkiem zarządów towarzystw związanych z ochroną przyrody i popularyzacją turystyki. W Australii od 1982 roku działał w Multicultural Writer Association i redagował Biuletyn Stowarzyszenia Polaków. Przez kilka lat pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Polaków, zaś w ostatniej kadencji Rady Naczelnej był jej wiceprezesem. Od 1984 roku zatrudniony jest w Ministerstwie Emigracji. Z racji zainteresowań zawodowych wraz z żoną Ewą i synem Markiem uprawia turystykę pieszą.

W skład Prezydium Rady Naczelnej weszli:

Lucyna Artymiuk – Melbourne, absolwentka Monash University, przewodnicząca Polskich Organizacji w Wiktorii; Jerzy Krajewski – Sydney, inżynier, prezes Federacji Polskich Organizacji w N. S. W.; Andrzej Alwast – Canberra, były radca konsulatu australijskiego w Wietnamie; Joanna Dziaduch – Brisbane, ekonomistka, członek Stowarzyszenia Polaków w Queensland; Julian Krok – Brisbane, były pilot dywizjonu 303, kapitan, prezes SPK; Urszula Nadstazik – Brisbane, sekretarz Stowarzyszenia Polaków w Brisbane; Jan Suchowiecki – Brisbane, wiceprzewodniczący Ethnik Community Council w Queensland; Zbigniew Sudułł – Brisbane, były wieloletni prezes Stowarzyszenia Polaków w Queensland, jednocześnie przewodniczący sekcji pol–radia 4EB.

Brisbane zostało oficjalną siedzibą Rady Naczelnej na następne dwa lata.

"Pierwiosnek" w Australii

Na przełomie lipca i sierpnia w Australii, na zaproszenie Towarzystwa Polskiej Kultury w Wiktorii koncertował zespół "Pierwiosnek", działający przy Społecznej Szkole Polskiej w Baranowiczach. Trasa tournee wiodła m. in. przez Athol Park, Angele Park, Adelajdę, Geelong, Rowville, Ardeer, Essendon, Gippsland, Richmond, Albion, Canberrę, Narrbundah, Wollongong, Bankstown, Newcastle, Liverpool, Marayong, Ashfield, Gold Coast, Capalaba i Milton. Zespołem, liczącym 20 członków w wieku 12 – 16 lat, kieruje Halina Stawropolcew – kieruje tzn. odpowiada za jego oblicze artystyczne, scenografię i reżyserię. W programie "Pierwiosnka" znajdują się inscenizacje patriotyczno–historyczne, połączone z tańcami ludowymi z różnych regionów Polski oraz pieśniami religijnymi. Zespół bierze udział w festiwalach organizowanych na Białorusi przez tamtejszy Związek Polaków, koncertuje w Polsce, w Europie Zachodniej (Belgia i Niemcy), a nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie został gorąco przyjęty w 1995 r. Także w Australii spotkał się z entuzjastycznym powitaniem, budził podziw i wzruszenie. Liczne grono Polaków żyjących w tym kraju włożyło wiele pracy w to, by "Pierwiosnek" mógł koncertować. Ale na tym pomoc się nie zakończyła – np. Koło Polek w Adelajdzie przeprowadziło zbiórkę na rzecz polskich szkół na Białorusi i Ukrainie. Zebrano 3010 dolarów, a czek na tę kwotę przekazano podczas koncertu pożegnalnego w Centralnym Domu Polskim w Adelajdzie Józefowi Adamskiemu – prezesowi Fundacji im. Tadeusza Goniewicza.

Belgia

W rocznicę Września

1 września z okazji 60. rocznicy wybuchu II wojny światowej na Polskim Cmentarzu Wojennym w Lommel odbyła się polsko–niemiecka uroczystość zorganizowana przez Konsulat Generalny RP w Brukseli przy współpracy Okręgu Limburgia Związku Polaków w Belgii.

Na cmentarzu prowadzone są prace renowacyjne, którym patronuje Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, belgijskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, gmina Lommel oraz Konsulat RP w Brukseli. Część prac, związanych z usunięciem starych krzyży i przygotowaniem wykopów pod nowe wykonuje grupa żołnierzy polskich (z 6 Brygady Kawalerii Pancernej ze Stargardu Szczecińskiego) i niemieckich, w ramach wspólnego programu ROPWiM oraz niemieckiej organizacji opiekującej się cmentarzami – Volksbund Deutsche Kiersgraberfursorge.

Na wrześniową uroczystość przybyli: Burmistrz Lommel z członkami Rady Gminnej, Ambasador i Attaché Wojskowy Niemiec, Amabasador i Attaché Wojskowy RP, Konsul Generalny RP w Brukseli, przedstawiciele VDK, belgijskiego MSW, żołnierze polscy i niemieccy pracujący na cmentarzu, przedstawiciele Koła Beneluks 1 Dywizji Pancernej gen. Maczka, Rektor PMK na kraje Beneluksu, prezesi organizacji polonijnych oraz kombatanci. Po złożeniu na cmentarzu kwiatów uczestnicy uroczystości wzięli udział w spotkaniu w Domu Polskim w Beringen, zorganizowanym przez miejscowy oddział Związku Polaków w Belgii. *(D)*

Brazylia

Projeções

Na początku sierpnia w Kurytybie, w siedzibie zarządu krajowego "Braspolu", odbyła się promocja nowego czasopisma, zatytułowanego "Projeções", poświęconego problematyce polonijnej i kontaktom polsko-brazylijskim. Pierwszy numer ukazał się dzięki dotacji Stowarzyszenia "Wspólnota Polska". Jego wydawcami są: "Braspol", Prowincja Towarzystwa Chrystusowego w Ameryce Południowej oraz Centrum Studiów Latynoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego. "Projeções" to pismo skierowane do intelektualistów brazylijskich i polonijnych oraz kręgów akademickich w tym kraju. W komitecie honorowym "Projeções" znaleźli się prof. Włodzimierz Siwiński – rektor UW, inż. Jaime Lerner – gubernator stanu Parana oraz Rizio Wachowicz – prezes "Braspolu". Za redakcję czasopisma odpowiada ks. Zdzisław Malczewski TChr.

Promocja była dobrą okazją do spotkania intelektualistów polonijnych i brazylijskich, zainteresowanych problematyką polskiej obecności w Brazylii i poszerzaniem kontaktów między naszymi krajami. Wśród blisko stuosobowego grona gości obecni byli m. in.: prof. Henryk Siewierski z Uniwersytetu Federalnego w Brasilii, prof. Maria Teresa Toribio Brittes Lemos z Uniwersytetu Stanowego w Rio de Janeiro, prof. Regina Przybycień z Parańskiego Uniwersytetu Federalnego w Kurytybie, prof. Mariano Kawka z Uniandrade w Kurytybie i rektor Polskiej Misji Katolickiej w Brazylii ks. Benedykt Grzymkowski. Godne odnotowania było przybycie prof. Ruy Wachowicza, członka Parańskiej Akademii Literatury i zarazem jednego z najlepszych znawców emigracji polskiej w Brazylii oraz prof. Andrzeja Dembicza – dyrektora CESLA Uniwersytetu Warszawskiego i dwóch doktorantów tej uczelni – Mariusza Malinowskiego i Renaty Siudy Ambroziak. Podczas spotkania prof. M. T. Toribio Brittes Lemos naszkicowała zebranym wkład Polaków w rozwój Brazylii oraz stan kontaktów naukowych między naszymi krajami, na podstawie współpracy Uniwersytetu Stanowego w Rio de Janeiro z Uniwersytetem Warszawskim. Nie zabrakło też rozmów o problemach polonijnych i rozwoju kontaktów polsko-brazylijskich.

Warto przypomnieć, że w tym roku przypada 130. rocznica przybycia do Brazylii pierwszej grupy polskich emigrantów, a po II wojnie światowej emigracja z Polski do tego kraju praktycznie się zakończyła. W Brazylii mamy więc do czynienia z kolejnymi generacjami potomków polskich wychodźców. Niestety, większość z nich nie zna już języka swoich przodków. Pismo "Projeções", ze względu na krąg odbiorców, będzie wydawane w języku portugalskim, ale gwoli ścisłości należy dodać, że Rada Wydawnicza podjęła decyzję, że każdy z zamieszczonych artykułów zostanie streszczony po polsku. Tak więc po pierwszym numerze, wydanym w całości po portugalsku, drugi ukaże się już z polskimi uzupełnieniami. *(TM)*

Francja

AKADEMIA LUTECJI

We Francji znakomita większość organizacji i stowarzyszeń jest rejestrowana na mocy ustawy z 1901 r. Prawo to określa ich status i, przede wszystkim, cel, który nie może być lukratywny, lecz powinien być charytatywny, promocyjny i kulturotwórczy.

Z lewej – Ryszard Zienkiewicz, tłumacz nagrodzonej książki "Les Polonais en France" i fundator nagrody Georges Robert
fot. A. Zawadzka

Międzynarodowa Akademia Lutecji powstała w 1965 r. – od początku przewodzi jej Marceau Constantin wraz z kilkunastoosobową grupą wolontariuszy. Pod swoje skrzydła przyjmują oni artystów spod znaku wielu Muz.

Agata Judycka i prof. Pierre Joliot (wnuk Marii Skłodowskiej-Curie) – laureaci '96
fot. A. Zawadzka

Prof. F. Chapeville, przewodniczący Komisji Grand Prix de Sciences
fot. A. Zawadzka

Echa inicjatyw Akademii szybko przekraczają granice Francji, przyciągając nowych adeptów i sympatyków ze wszystkich kontynentów. Wśród nich są i Polacy.

Największe przedsięwzięcie artystyczne i organizacyjne to Salon Sztuk Pięknych, objęty patronatem ministra kultury i sztuki Francji. Łączy się on z wielkim międzynarodowym konkursem, obejmującym nie tylko dziedziny plastyki, ale także literaturę i muzykę. Z roku na rok powiększa się grono jego uczestników i liczba reprezentowanych krajów. Każdy z konkursów ma swój regulamin, jurorów i nagrody, które wzbogacają także prywatni fundatorzy. Kiedyś zaskoczyło mnie pojawienie się wśród laureatów 10–letniego pianisty, Juliena Naud. Chyba jedynie "Lutecja" daje prawo równego startu dzieciom i dorosłym. Być może ten pierwszy dyplom i owacja publiczności są zapowiedzią jego przyszłej wirtuozerskiej kariery.

Z lewej – prezes Akademii Marceau Constantin i Alicja Zawadzka
fot. Actualités Mondial Photo

Jubileuszowa, 30. edycja Salonu Sztuk Pięknych ma miejsce w sierpniu, w galerii Centrum Espace des Blancs Manteaux, znajdującej się w sercu Marais, jednej z najstarszych dzielnic Paryża. Udział zgłosiło ponad 300 artystów z 17 państw, prezentujących razem ponad 800 prac. Temat tegorocznej wystawy – "Splendor Azji" – umożliwia przybliżenie artystów tam tworzących, jak i tych, których inspiruje kultura orientalna. Oczywiście, nie ogranicza to przedstawiania i innych dzieł. Wystawiający mają możliwość ujawnienia swoich talentów w preferowanych przez nich dziedzinach: malarstwie, grafice, rzeźbie, tkaninie czy fotografii.

Polacy są ekspansywni. Ich nazwiska pojawiają się nie tylko w katalogach konkursów, ale też często w protokołach jurorów. Uwagę zwracają i polsko brzmiące nazwiska autorów z różnych stron świata. Wątpliwości może rozwiać tylko bezpośrednia rozmowa, jednak często nie ma na nią szansy ze względu na nieobecność artysty. Do polskich korzeni i poszukiwań rodziny w kraju przyznaje się Christine Kolodziejski, startująca w konkursie literackim. Z uśmiechem dodaje, że "rywalem" był Andrzej Grabowski z Warszawy. Jury dostrzegło te poetyckie talenty, nagradzając w 1997 r. ich tomiki wierszy: pani Christine – medalem brązowym, pana Andrzeja – pozłacanym. W 1996 r. laureatami nagrody specjalnej im. Piarrona de Chamousset – ufundowanej przez Georges'a Roberta, promującej prace z dziedziny historii – zostali Agata i Zbigniew Judyccy – autorzy oraz Richard Zienkiewicz – tłumacz, za książkę "Les Polonais en France" (Édition Concorde).

Najliczniejszą polską obecność odnotowuje się jednak w sztukach pięknych: malarstwie (Małgorzata Ziemkiewicz, Jadwiga Adamczyk, Elżbieta Iwona Goraj, Nina Rudzińska, Bożena Socha–Malinowska, Jerzy Schymik) oraz rzeźbie i malarstwie. Laureatami byli m. in. Jerzy Schymik – architekt i artysta malarz wyróżniony w 1991 r., Alicja Zawadzka – wyróżniona pozłacanym medalem oraz nagrodą specjalną za fotografię czarno–białą (cykl "Face au temps" 1997) i Elżbieta Goraj – uhonorowana nagrodą specjalną w 1998 r., ufundowaną przez Stowarzyszenia "Regard".

Październikowa Gala – rozdanie nagród i wspólny uroczysty obiad – organizowana tradycyjnie w salonach recepcyjnych hotelu Intercontinental, tuż obok Ogrodów Tuileries, jest podsumowaniem rocznej pracy, uhonorowaniem tych, którzy zwrócili na siebie uwagę. To wielkie spotkanie twórców, sympatyków, krytyków – wielu osobistości. To parada laureatów jednocząca pokolenia – nestorów i debiutantów wielu narodowości. Nazwisko laureata Wielkiej Nagrody Nauki jest utrzymywane w tajemnicy do końca. Przewodniczącym jury naukowego jest Polak – prof. Francois Chapeville, biolog molekularny, zagraniczny korespondent Polskiej Akademii Nauk. Grand Prix des Sciences jest uhonorowaniem osiągnięć naukowych, jak też podkreśleniem nowych tendencji badawczych. W 1996 r. nagrodę tę przyznano prof. Pierre'owi Joliot – wnukowi Marii Skłodowskiej–Curie, a w 1997 r. trafiła do rąk prof. Louis–Marie Houdenine'a, prowadzącego badania w dziedzinie genetyki. Prof. Chapeville, przedstawiając sylwetkę nagrodzonego, nie omieszkał przypomnieć o niebezpieczeństwie manipulacji genetycznych. Ripostą laureata było zapewnienie, że jego poszukiwania służą li tylko dobru człowieka i rozwojowi rolnictwa.

Często przyglądam się wszystkim głównym bohaterom. Tym z Akademii – pasjonatom, dającym szansę innym –

i tym obdarowanym. To oni nadają nowy sens współczesnej Wieży Babel. Tu znikają granice, narodowe podziały i problemy, liczy się człowiek i to, co sobą reprezentuje.

Prezes Międzynarodowej Akademii Lutecji – Marceau Constantin podkreśla: "Rezultatem naszej działalności, której wachlarz obejmuje naukę, literaturę, poezję, historię, medycynę, muzykę, teatr, kino, plastykę i filantropię, jest to, że z roku na rok artyści odkrywają swoją wartość, a publiczność ma okazję ich poznania i dodania odwagi. Z roku na rok artyści budzą swoją wyobraźnię i przenoszą nas do krainy marzeń. Ten duch podboju, różnorodności ekspresji i tematów jest ich siłą! Miejcie marzenia i wielkie sny! Czyż nie jest to najelegantszy sposób walki z codziennością i wzbogacania naszego życia?"

Paulina Darska

Grecja

Z OSTATNIEJ CHWILI

Ateny, 14 września 1999

Droga Pani Redaktor,

Pragnę przesłać informacje bieżące o sytuacji w Atenach. Nasze lipcowe rozmowy dotyczyły, co prawda, przesyłania wiadomości na temat "co nowego w Atenach", ale sytuacja zmieniła się diametralnie. Nikt z nas nie spodziewał się, że tak szybko nasze życie i plany będą dotyczyły spraw egzystencjalnych...

...7 września o godzinie 14.58 miało miejsce trzęsienie ziemi o sile 5,9 stopni w skali Richtera, z epicentrum w odległości 18 km od centrum Aten, gdzie znajduje się budynek naszej szkoły. W wyniku trzęsienia ziemi nie ucierpiał nikt z uczniów ani pracowników szkoły. Została jednak poważnie naruszona konstrukcja budynku. Komisja Państwowa powołana do oceny stanu technicznego budynków, które ucierpiały w wyniku trzęsienia ziemi, po kontroli technicznej w dniu 13 września zakwalifikowała obiekt jako tymczasowo nie nadający się do użytku (w tłumaczeniu z języka greckiego: "Kolor żółty" – tymczasowo nie nadający się do użytku, zabrania się korzystania z budynku przed powtórną inspekcją. Należy natychmiast podjąć działania zabezpieczające budynek: pęknięcia wewnętrznych i zewnętrznych ścian, sprawdzenie i wzmocnienie części nośnych budynku").

Tak zakwalifikowane budynki – oznaczone żółtymi krzyżami – po upływie trzech miesięcy i powtórnej kontroli technicznej będą mogły być remontowane przez specjalistyczne, państwowe ekipy budowlane.

W związku z powyższym realizacja roku szkolnego 1999/2000 w dotychczas wynajmowanym budynku nie jest możliwa, przynajmniej przez najbliższe sześć miesięcy.

Ponieważ w analogicznej sytuacji znalazło się 20% greckich budynków szkolnych, nie możemy liczyć na pomoc greckich władz oświatowych. Stajemy przed koniecznością natychmiastowego wynajęcia nowego obiektu na potrzeby szkolne. W chwili obecnej, kiedy piszę ten list, organizujemy doraźną opiekę nad dziećmi (spotkania w parkach), by nie były skazane na samotne przebywanie w domach, kiedy ich rodzice idą do pracy i nasłuchiwanie czy znowu...?

Pozdrawiam i liczę na pamięć.

Małgorzata Stanowska
– dyrektor Szkoły Polskiej w Atenach

***

Podczas lipcowego Forum Oświaty Polonijnej umawiałyśmy się na szeroką prezentację szkoły ateńskiej na łamach Biuletynu. Los sprawił, że nadszedł list, który nas poruszył – list skierowany, jak sądzimy, do całej braci nauczycielskiej.

17 września uzyskaliśmy informację, że w Atenach wynajęto budynek szkolny na peryferiach miasta na potrzeby Polskiej Szkoły, organizując równocześnie transport dla uczniów. *(ap)*

Jugosławia

Apel o pomoc do rodaków w ojczyźnie i na obczyźnie

Polonia jugosłowiańska zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli o pomoc polsko–jugosłowiańskim rodzinom, a przede wszystkim dzieciom i młodzieży polonijnej, ofiarom wojny na Bałkanach.

Pierwszy apel Środowisko Polonijne wystosowało w trakcie działań wojennych 3 maja 1999 r. Obecnie, po wielu tygodniach bombardowań, zniszczeniu w trakcie działań wojennych infrastruktury i fabryk, jak również lipcowych powodziach kraj jest ekonomicznie wyczerpany. Wielu Polaków mieszkających w Jugosławii zostało bez pracy i żyje w tragicznych warunkach. Z niepokojem myślimy o przyszłości, o wyposażeniu naszych dzieci do szkoły w nowym roku szkolnym, z trwogą oczekujemy jesieni i zimy. Pomoc jest niezbędna – potrzebne są środki na zakup podręczników i przyborów szkolnych, ciepłej odzieży i obuwia, odżywek, leków, środków chemicznych i higienicznych, zapewnienie ogrzewania itp.

Nasza organizacja – Środowisko Polonijne – nie ma dochodów i nie może zapewnić pomocy najbardziej potrzebującym. Nie jesteśmy uciekinierami, lecz ludźmi, których czeka walka o przetrwanie rodzin. Organizowanie transportów z pomocą humanitarną z różnych stron świata jest – naszym zdaniem – bardzo cenne, ale to droga forma pomocy, za pośrednictwem której można zaspokoić najpilniejsze potrzeby tylko częściowo.

Wszystkim ofiarodawcom, ludziom dobrej woli, z góry dziękujemy

członkowie Środowiska Polonijnego

Belgrad, lipiec 1999

Prosimy o dokonywanie wpłat na następujące konta:
- Stowarzyszenie "Wspólnota Polska", ul. Krakowskie Przedmieście 64, 00–322 Warszawa
konto: BIG Bank Gdański S. A. I O/Warszawa,
nr 11601029 – 30187005 (wpłaty w złotówkach),
nr 11601029 – 30187088 (wpłaty w dewizach),
z dopiskiem "Pomoc dla Polonii w Jugosławii"
- Fundacja "Pomoc Polakom na Wschodzie",
Al. Ujazdowskie 19, 00–557 Warszawa
konto: BIG Bank Gdański S. A. I O/Warszawa,
nr 11601029 – 53527001, z dopiskiem "Na Fundację na pomoc Jugosławii"
- Polnische Katholische Mission Hannover
konto: Commerzbank – BLZ 250 400 66,
nr 15 000 73 00, z dopiskiem "Polnische Kriegsopfer in ehemaligen Jugoslavien"

Z członkami Środowiska Polonijnego można kontaktować się za pośrednictwem:
- Małgorzaty Jasińskiej–Srdić (przewodniczącej)
11000 Belgrad, ul. 80 Nova br. 21,
tel. (381 11) 514 981
- Renaty Niedzieskiej–Fatić (członkini zarządu)
11000 Belgrad, ul. Djerdapska 26/19,
tel. /fax (381 11) 444 01 51 lub 453 959
e–mail: rf.jupol@infosky.net

Kazachstan

KARTKI Z PODRÓŻY DO KAZACHSTANU

Pierwsze spotkanie z Azją jest miłym zaskoczeniem. W środku nocy stoimy wraz z prof. Zygmuntem Kolendą w poczekalni moskiewskiego lotniska Szeremietiewo, pełnej osób z tobołkami i walizami. Szczególne nasze zainteresowanie budzi staruszek w tiubietiejce na głowie, pikowanym kaftanie i wysokich butach, wyglądający jakby zsiadł prosto z konia. Trzymając w ręku bilety Air Uzbekistan zastanawiamy się, jaki to samolot zabierze nas i to całe handlowo–pasterskie towarzystwo **do Taszkentu**, skoro TU–154 Aerofłotu, którym przylecieliśmy do Moskwy, wyglądał jak wrak. Tym większe jest nasze zaskoczenie, gdy

Taszkent – spotkanie z Polakami w Biurze Radcy Handlowego

autobus wiozący nas po płycie lotniska zatrzymał się przed nowym Boeingiem 767. Tą nowoczesną maszyną uzbeckich linii lotniczych w ciągu czterech godzin osiągamy Taszkent. Jeszcze tylko godzina na znalezienie oficera straży granicznej, który wydaje nam wizy i już jesteśmy na upalnej ulicy dwumilionowego miasta.

Taszkent, podobnie jak pozostałe stolice środkowo–azjatyckie, której później odwiedzamy: Biszkek – stolica Kirgistanu i Ałmaty – do niedawna stolica Kazachstanu, leży u stóp gór Tien–Szan, co po chińsku znaczy Góry Niebiańskie. I zaiste są to góry niebiańskie, bo ich wiecznie ośnieżone szczyty wypiętrzają się wysoko na ponad cztery kilometry wprost z wielkiej stepowej równiny. Ta bliskość ośnieżonych gór daje mieszkańcom stolic odrobinę chłodu w upalne lato, zaś zimą – wodę. Stąd też metropolie środkowo–azjatyckie toną w zieleni otaczających je ogrodów i pól uprawnych, zaś szerokie prospekty i wielkie place przed gmachami państwowymi otaczają szpalery drzew. Niestety, wszystkie te miasta upodobnił do siebie sowiecki system – dał szerokie aleje i kilometry bloków, zniszczył zaś stare domy, karawanseraje, bazary, meczety. Dziś nie sposób w tych azjatyckich miastach odnaleźć ślady kupieckich dzielnic, w których kupcy uzbeccy, perscy czy ujgurscy rozkładali towary przewożone Jedwabnym Szlakiem. Może jeszcze ten wschodni klimat bazaru utrzymał się w halach targowych pełnych suszonych samarkandzkich owoców, przypraw, baraniny oraz chińskich wyrobów elektronicznych.

Spotkanie z Polonią taszkencką odbywa się w biurze radcy handlowego Ambasady RP. Uczestnicy w nim zaledwie 10 osób reprezentujących dwie polskie organizacje – Związek Polaków w Uzbekistanie "Polonia" i Stowarzyszenie "Świetlica Polska". Wypowiadają się tylko trzy osoby: przewodnicząca Związku – p. Helena Jakowlewa, prezeska "Świetlicy" – p. Irena Tagijewa oraz nauczycielka, która przyjechała z Polski – p. Ewa Andrzejewska. Polonia uzbekistańska liczy obecnie około 3 tysięcy osób, skupionych głównie w Taszkencie i Samarkandzie. Dwie polskie organizacje różnią się zdecydowanie programem działania. O ile Związek Polaków koncentruje się na pomocy w nauczaniu języka, to "Świetlica Polska" stara się promować kulturę polską poprzez przypominanie Uzbekom wybitnych polskich twórców. W Taszkencie w jednej ze szkół nauczany jest język polski jako przedmiot dodatkowy. Uczy się go około 300 osób, dzieci i dorosłych. Istnieje również możliwość utworzenia katedry polonistyki na uniwersytecie w Samarkandzie, którego władze zabiegają bardzo o współpracę z Polską. Choć z Uzbekistanu do kraju repatriowały się zaledwie trzy rodziny w ciągu ostatnich trzech lat, to wiele osób zainteresowanych jest wyjazdem do Polski.

W Taszkencie w centrum miasta, przy szerokim prospekcie, którym codziennie przejeżdża do swej rezydencji prezydent Karimow, stoi wielka neogotycka bazylika, wybudowana na początku naszego wieku, która cudem ocalała z sowieckiej pożogi. Dziś świątynię tę odbudowuje ks. Krzysztof Kukułka, proboszcz parafii liczącej ponad setkę wiernych – Rosjan, Koreańczyków i Polaków. W dolnym kościele, pięknie odnowionym, sprawowana jest już liturgia dla garstki katolików, zaś prace remontowe obejmują wnętrze górnej bazyliki. Widok wielkiego katolickiego kościoła w centrum muzułmańskiego miasta jest zaskoczeniem. Ale właśnie w tych trzech stolicach szybciej znaleźć można kościół czy cerkiew niż meczet. Islam, tradycyjna religia Uzbeków, Kazachów i Kirgizów, nie jest popierany przez władze państwowe, które zdecydowanie wolą tworzyć państwa świeckie niż religijne obawiając się, aby fundamentalizm muzułmański propagowany przez Iran i Afganistan nie zburzył postkomunistycznego ładu.

Stoimy na płycie lotniska **w Ałmaty** u trapu "Jaka" należącego do "Avialinii Kokczetau", patrząc, jak mechanicy usiłują zatankować maszynę. Delegacji polskiej lecącej na Zjazd Związku Polaków w Kazachstanie przewodniczy ambasador – dr Marek Gawęcki; sejmową Komisję Łączności z Polakami za Granicą reprezentują posłowie: Ryszard Czarnecki – przewodniczący, Elżbieta Radziszewska, Wit Majewski, Edward Daszkiewicz; senacką Komisję Spraw Emigracji i Polaków za Granicą reprezentują senatorowie: Janina Sagatowska – przewodnicząca, Stanisław Marczuk, Ryszard Sławiński, Ministerstwo Spraw Zagranicznych – Jacek Junosza–Kisielewski, dyrektor Departamentu Polonii; są także konsulowie Jacek Multanowski i Maciej Lang oraz sekretarz komisji poselskiej Elżbieta Smolarek. Po godzinie smażenia się na słońcu, gdy jedyną ochłodą był widok ośnieżonego Tien–Szanu, zostajemy wpuszczeni do samolotu, który jest tak nabity pasażerami i bagażami, że stewardessa musi siedzieć na podłodze. Po czterech godzinach lotu wśród monotonnego wycia silników, "Jak" cięż-

ko ląduje na płycie lotniska w Kokczetawie. Na lotnisku delegację polską witają władze województwa i przedstawiciele Polonii.

Kokczetaw, od niedawna stolica województwa akmolińskiego, to zamieszkały przez prawie 150 tysięcy ludzi zbiór bloków ustawionych niedbale wokół jeziora. To smutne, upadające gospodarczo miasto nabiera w ostatnim czasie coraz większej rangi w państwie kazachskim. Jest stolicą województwa stołecznego, siedzibą ważnego Ministerstwa Zasobów Mineralnych oraz Uniwersytetu im. Czokara Valichanowa.

Pierwsze spotkanie z Polakami północnego Kazachstanu odbywa się właśnie na uniwersytecie. Od 1991 roku na tej właśnie uczelni istnieją studia polonistyczne, przygotowujące przede wszystkim nauczycieli dla klas polskich w szkołach podstawowych. Wizyta na uniwersytecie rozpoczyna się od występu kazachskich muzyków i zwiedzania wystawy ludowego rzemiosła, bo przecież uczelnia nosi imię wybitnego etnografa. Na oficjalnym spotkaniu w auli rektor przekazuje decyzję władz – od nowego roku akademickiego filologia polska zostaje połączona z anglistyką. Dyskusji prawie nie ma. Dopiero później dowiadujemy się, że studentów starszych lat polonistyki nie wpuszczono na salę, aby nie zadawali pytań.

Kokczetaw – składanie kwiatów pod pomnikiem Czokara Valichanowa przed Uniwersytetem

Jedziemy do polskich wsi w rejonie tainszyńskim. Na czele kolumny "migałka" – radiowóz milicyjny. Wszędzie spotkania z akimami – naczelnikami gmin, w obecności akima rejonu – Polaka Makowskiego.

Czkałowo – dawne centrum rejonu – jest typową kazachstańską wsią w stanie upadku. Straszą ruiny opuszczonych chałup, z których zapobiegliwi sąsiedzi wyrwali wszelkie drewniane części – framugi, okna, podłogi. (W Kazachstanie brakuje drewna). Budynki użyteczności publicznej – kina, stołówki, przedszkola – stoją opustoszałe i zamknięte, ponieważ władze nie mają pieniędzy na ich utrzymanie. Transport autobusowy prawie nie istnieje, wobec czego ludzie rzadko jeżdżą do miasta. A zresztą, i tak nie mają pieniędzy ani na autobus ani na zakupy.

Na spotkaniu w Czkałowie z polską delegacją przeważają ludzie młodzi. Pytania dotyczą repatriacji, której pragną wszyscy ze względu na brak pracy i perspektyw. Niestety, nie udaje się nam pójść do kościoła, który wznosi od kilku lat ks. Krzysztof Kuryłowicz – władze każą jechać dalej.

Zielony Gaj – przed kościołem czeka grupa starszych kobiet, nie widać nikogo młodego – dzieci w szkole, ich rodzice wyjechali do pracy, najczęściej do Rosji. To widok dosyć typowy dla Kazachstanu – zostają tylko babcie z wnukami. W nowym kościele na spotkaniu z Polakami nasz "dar artystyczny" składa poseł Edward Daszkiewicz ("ziemlak" kazachstański, który urodził się w północnym Kazachstanie w 1944 roku w czasie zesłania rodziców), odśpiewując "Ave Maryja".

Szkoła w Zielonym Gaju

W Kellerowce na spotkanie przyszli także tylko starsi ludzie. Wszystkie wypowiedzi dotyczyły problemów socjalnych – brak emerytur, pomocy materialnej, zdrowotnej, nędza staruszek itp. I znów dowiadujemy się, że władze starały się nie informować o pobycie delegacji polskiej.

Kellerowka – kościół katolicki św. Franciszka

Oziornoje jest wsią wyjątkową na naszym szlaku. Chyba najdalej położona od bitej drogi, ma wspaniałą świątynię – sanktuarium Matki Bożej Królowej Pokoju. Mieszkańcy Oziornego pamiętają, że z pochodzenia są Mazurami z Ukrainy (prawdopodobnie drobnoszlacheckimi kolonistami z Mazowsza, osiadłymi na Podolu). Pod przewodnictwem ks. Tomasza Pety postawili na wzgórzu obok wsi ogromny krzyż – pomnik ofiar Kazachstanu. Pomnik ten wzniesiony został, jak mówi ksiądz proboszcz, w centrum Euroazji, pomiędzy Fatimą a Hiroszimą. Napis u stóp krzyża głosi: "Bogu – chwała, ludziom – pokój, męczennikom – Królestwo Niebieskie, narodowi Kazachstanu – wdzięcz-

Oziornoje – przed kościołem

ność, Kazachstanowi – rozkwit".

W Oziornem, mimo sprzeciwu obecnych przedstawicieli władz, spotykamy się po raz pierwszy swobodnie z Polakami. Po spotkaniu w szkole z mieszkańcami wsi idziemy do gospodarstw Polaków. Gospodarstwa są bardzo schludne, domy odnowione i zadbane, a znajdujące się za domami działki bardzo starannie uprawiane. W jednym z domów wyposażenie zupełnie nowe – meble, dywany, sprzęt elektroniczny. Na pytanie, jak żyje się w kryzysie gospodarczym gospodarze (pani – bezrobotna przedszkolanka, pan – traktorzysta pracujący dorywczo) opowiadają o systemie rolnictwa współczesnego Kazachstanu.

Po upadku kołchozu wszyscy mieszkańcy otrzymali ziemię pokołchozową na własność – minimum 15 ha na osobę, zaś maszyny i zabudowania wykupiła spółka założona przez dawne kierownictwo. Ponieważ nikt nie był w stanie uprawiać samodzielnie ziemi, wydzierżawili ją spółce, która płaci im czynsz w zbożu. Zbożem tym żywią

Szkoła w Oziornoje

cielęta i prosiaki kupowane od spółki na wiosnę. Jesienią sprzedają wyhodowane przez siebie krowy i świnie, i uzyskują za nie pieniądze potrzebne na zakup opału, ubrań czy mebli. Wyżywienie całoroczne daje rodzinie działka przyzagrodowa. Ta "mała stabilizacja" jest oczywiście na niskim poziomie i nasi gospodarze deklarują chęć wyjazdu do Polski – niestety, żadne z nich nie mówi po polsku.

Ostatnie spotkanie w polskich wioskach odbywa się **w Krasnokamience**, w kościele pełnym ludzi. Tematem

Krasnokamienka

głównym jest, jak zwykle, repatriacja, a także nauczanie języka polskiego. We wsi mało dzieci uczy się polskiego, bo

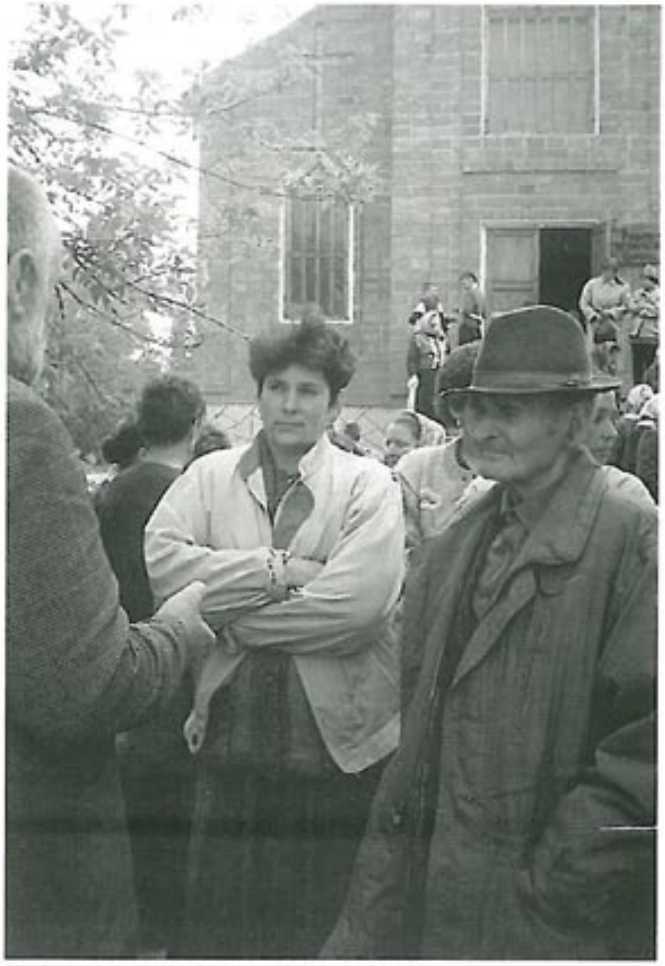

Spotkanie przed kościołem w Krasnokamience

byłby to czwarty język nauczany w szkole, po rosyjskim, kazachskim i niemieckim. Jednak nie rozmowy utkwią nam w pamięci, lecz wygląd świątyni. W parafii nie ma od kilku tygodni księdza, więc jak za sowieckich czasów wierni modlą się sami przed ołtarzem, na którym leży rozłożony ewangeliarz.

III Zjazd Związku Polaków w Kazachstanie odbywa się w sali widowiskowej sanatorium "Celinnyj żeleznodarożnik" **w Szczuczyńsku**, mieście położonym w środku górskiego pasma, piętrzącego się pośród stepu. Góry są zalesione, pełne jezior, mają znakomity klimat i są ważnym miejscem dla historii Kazachów, bowiem w nich w I połowie XVIII wieku leżały zimowe koczowiska Abłaj-chana, władcy, który zjednoczył trzy ordy w jeden naród kazachski.

W obradach Zjazdu, prowadzonych w języku rosyjskim, uczestniczy 42 delegatów wybranych przez oddziały obwodowe Związku Polaków. Zjazd rozpoczyna prezes ZPK Antonina Kasonicz, wygłaszając interesujący referat sprawozdawczy za kadencję 1996–1999. W dyskusji wypowiadają się głównie szefowie oddziałów Związku, którzy podnoszą m. in. kwestie: rozpoczęcia przez ZPK działalności gospodarczej, powołania stałego Zarządu Wykonawczego Związku wraz z etatowymi wydziałami oświaty, kultury, wydawnictw i młodzieży, upamiętnienie miejsc pamięci męczeństwa Polaków w Kazachstanie. Efektem dyskusji są uchwały popierające działalność ustawodawczą Senatu RP na rzecz repatriacji, przywrócenia obywatelstwa polskiego i Karty Polaka oraz apel o utworzenie banku informacji dla repatriantów.

Kulminacyjnym momentem Zjazdu są wybory nowego prezesa Związku. Zgłoszono dwie kandydatury: Jana Zinkiewicza z Ałmaty i Ireny Lisickiej z Astany. Pani Lisicka przedstawia się jako business-women z nowej stolicy, pan Zinkiewicz jako emerytowany pułkownik milicji, dawny kierownik wydziału śledczego, kryminolog, obecnie profesor na wydziale prawa Uniwersytetu w Ałmaty. Prezesem zostaje prof. Zinkiewicz wybrany znaczną przewagą głosów (34 do 4 w jawnym głosowaniu). Zjazd kończy koncert w wykonaniu polskich zespołów "Stepowe kwiaty" z Kokczetau i "Skowronki" ze Szczuczyńska.

Wracamy do Ałmaty, aby wyruszyć na zachód, drogą biegnącą wzdłuż ośnieżonego Tien-Szanu, przez teren Kirgistanu do wiosek Ługowoje i Czok-pak, gdzie znajdują się cmentarze żołnierzy armii gen. Andersa. Dzień w Kirgistanie to przede wszystkim dzień oficjalnych spotkań polskich parlamentarzystów w obu izbach kirgiskiego parlamentu, gdyż jest to pierwszy pobyt posłów i senatorów Rzeczypospolitej w tym małym środkowo-azjatyckim kraju. Dlatego też wizycie polskiej delegacji nadano wysoką rangę i szeroko informowano o niej w mediach.

Spotkanie z Polakami mieszkającymi w stołecznym **Biszkeku** odbywa się w sali Biblioteki Narodowej Kirgistanu. W całym państwie mieszka obecnie 1 360 Polaków "paszportowych", zaś w Biszkeku żyje 491 spośród nich. Od lipca ubiegłego roku działa Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe "Odrodzenie", które liczy obecnie 39 członków. Stowarzyszenie założyła i przewodniczy mu Zenona Ślązak-Biegalijewa, Polka, która osiadła kilkanaście lat temu w Biszkeku wraz z mężem, wybitnym kirgiskim kompozytorem i rektorem Akademii Muzycznej. Pani Ślązak prowadzi w gościnnych salach konserwatorium

Biszkek – spotkanie z przedstawicielami izby niższej Parlamentu Kirgistanu

nauczanie języka polskiego dla dzieci i dorosłych. Pragnie, aby PSKO "Odrodzenie" promowało kulturę polską w Biszkeku (w listopadzie ub. roku zorganizowała wystawę rysunków A. Mleczki i koncert współczesnej muzyki polskiej). Dzięki jej staraniom na Uniwersytecie w Biszkeku od tego roku akademickiego otwarty będzie lektorat języka polskiego.

Wracamy z górskiego Kirgistanu do Kazachstanu i drogą poprzez step, gdzie pasą się stada wielbłądów i koni, przez kazachskie auły zbudowane z kamysza (cegieł zrobionych z gliny ze słomą) docieramy do Ługawoje.

W Ługawoje i Czok-paku w 1942 roku stacjonowali żołnierze polscy formowanej w ZSRR na terenie Uzbekistanu, Kazachstanu i Kirgistanu armii gen. Władysława Andersa. Dziś zostały po nich tylko miejsca, ślady po polskich cmentarzach, zachowała się pamięć wśród ludzi starych. W ubiegłym roku dzięki staraniom polskich konsulów z Ałmaty uporządkowano miejsca dawnych cmentarzy wojskowych i ustawiono drewniane krzyże. Planowane jest ustawienie na mogiłach pomników – kamieni milowych, przypominających tych, którzy wyszli z sowieckich łagrów, aby walczyć o wolność Polski, ale zmarli z wycieńczenia i spoczywają w uzbeckiej czy kazachskiej ziemi.

Na cmentarzach, podczas modlitwy odmawianej pod przewodnictwem proboszcza parafii **w Tarazie** ks. Piotra Ostafina, towarzyszą nam władze kazachstańskie – akimowie rejonów i gmin. O szacunku, jakim darzą Kazachowie polską pamięć o żołnierzach, świadczy tablica na cmentarzu w Ługowoje – "Pamiętamy razem z Polakami".

Ostatni dzień w Kazachstanie to pobyt w Tarazie, do niedawna nazywanym Dżambułem. W tym wielkim półmilionowym mieście żyje dziś 300-osobowa polska diaspora, która w 1997 roku założyła swoje stowarzyszenie – Dżambulskie Obwodowe Polskie Centrum Kulturalne. Polacy przyjechali do Tarazu głównie z północnego Kazachstanu do pracy w miejscowych fabrykach nawozów fosforowych. Upadek przemysłu chemicznego spowodował bezrobocie, stąd też głównym tematem spotkania, które odbywa się w kościele, u ks. Ostafina, jest repatriacja, a także możliwość wyjazdu do pracy w Polsce.

W Tarazie Polskie Centrum Kulturalne posiada swoją własną siedzibę, zakupioną z funduszy "Wspólnoty Polskiej". Mieszkanie położone jest w znakomitym miejscu, przy centralnym placu miasta, w bardzo dobrze utrzymanej kamienicy. Mieści się w nim siedziba Centrum oraz mieszkanie nauczycielki z Polski, uczącej języka polskiego trzydzieścioro dzieci w jednej z taraskich szkół.

Kiedy z lotniska w Ałmaty startuje samolot wiozący nas do Europy, patrząc przez okna na nocne niebo i ginące w dali Niebiańskie Góry sądzę, że my wszyscy wracający do Polski, jesteśmy pewni jednego – iż bardzo blisko jest z kraju do Polaków w sercu Azji.

tekst i fot. – Andrzej Chodkiewicz

Łotwa

Forum Oświatowe

W sierpniu br. na Łotwie obradowało Forum Oświatowe, w którym uczestniczyło około 1200 osób. Przy tej okazji Ambasada RP zorganizowała roboczą naradę dyrektorów polskich szkół, którzy stwierdzili, że rząd łotewski zmniejszył środki na oświatę, zapowiedział likwidację małych szkół, zmniejszył liczbę zajęć lekcyjnych i zapowiedział wprowadzenie na początku przyszłego roku zakazu zatrudniania emerytowanych nauczycieli, o ile nie zrezygnują z pobierania emerytury. Uczestnicy narady byli przekonani, że utrudni to pracę ich placówek – mających przecież niewielu uczniów i małe fundusze. Zaproponowali więc, by Ambasada RP wystąpiła z inicjatywą zorganizowania przez nowego ministra oświaty Łotwy S. Golde narady dotyczącej perspektyw szkolnictwa polskojęzycznego, z udziałem przedstawicieli lokalnych władz samorządowych i oświatowych oraz – ze strony polskiej – Ministerstwa Edukacji Narodowej i Stowarzyszenia "Wspólnota Polska". Dyrektorzy wyrazili również opinię, że niezbędne jest większe zaangażowanie Polski w wyposażenie szkół w pomoce dydaktyczne – obecnie szkoły te nie mogą konkurować pod tym względem z łotewskimi i rosyjskimi. Przy wyraźnym niżu demograficznym spada zainteresowanie rodziców kierowaniem dzieci do placówek gorzej wyposażonych. Świadczy o tym mniejsza liczba zgłoszeń w roku bieżącym do klas pierwszych i przedszkolnych. *(B)*

Mołdawia

250–LECIE ZAŁOŻENIA KOŚCIOŁA ŚW. KAJETANA W RASZKOWIE

W 1749 roku książę Jerzy Lubomirski, hetman wielki koronny, założył w miejscowości Raszków na lewym brzegu Dniestru kościół, pierwotnie przeznaczony dla społeczności ormiańskiej. Kościół został konsekrowany przez lwowskiego arcybiskupa Tumanowicza w 1791 roku. Sam Raszków – malownicza, urokliwa miejscowość na stromym brzegu Dniestru – założony w 1492 roku (wg innych źródeł o 90 lat wcześniej), był opisywany przez Henryka Sienkiewicza w "Ogniem i mieczem" i "Panu Wołodyjowskim". To tu rzekomo miał stać dwór Nowowiejskich, a w niedalekim Czortkowym Jarze (Waładynka) Bohun miał ukrywać Helenę Kurcewiczównę. Dzisiaj jest to raczej senna osada o charakterze wiejskim, znajdująca się na terytorium tzw. Naddniestrzańskiej Republiki Mołdawskiej. Jednak dla Polaków, zarówno tych z Mołdawii, jak i przybyszów z kraju, stanowi przyciągającą atrakcję turystyczną.

Kościół pw. św. Kajetana jest najstarszą istniejącą świątynią katolicką na terytorium Mołdawii. Losy jego są typowe dla wszystkich świątyń, nie tylko katolickich, na terenie b. ZSRR. Zamknięty w 1932 roku, został następnie zdewastowany i ograbiony z wyposażenia (m. in. zabytkowe dzwony, organy, ołtarz). Po zajęciu Naddniestrza przez armię rumuńską w 1941 roku kościół został ponownie otwarty, a służbę duszpasterską pełnili wówczas ks. Fr. Krajewski z Czerniowiec i ks. Józef Chachuła z bukowińskiego Sołońca. Po wojnie w świątyni były kolejno stolarnia, magazyn i muzeum ateizmu. W kościele Msze św. zaczęto ponownie odprawiać w 1990 roku. Raszków był wówczas filią parafii św. Marty w Słobodzie Raszkowskiej, a służbę duszpasterską sprawowali księża Henryk Soroka i Jan Rudnicki. Od 1995 roku Raszków jest samodzielną parafią, w której obowiązki proboszcza pełni sercanin ks. Piotr Kuszman.

Należy podkreślić, iż poza walorami historycznymi i turystycznymi, parafia raszkowska może pochwalić się znacznymi osiągnięciami w pracy misyjnej, szczególnie z młodzieżą. Na tym polu zasługi położyły również siostry zakonne z Kongregacji Małych Sióstr Niepokalanego Serca Maryi.

Obchody 250–lecia kościoła zorganizowała własnymi siłami miejscowa parafia w dniu święta patrona, św. Kajetana, 7 sierpnia br. W przeddzień święta odbyło się spotkanie młodzieżowe w duchu "oazowym". Obchody zgromadziły ponad 400 osób – wiernych z Raszkowa i pobliskich wiosek: Kuzmina, Podojmy, Katerinowki, przybyły też delegacje z Rybnicy, Bielc i Kiszyniowa. Ambasadę RP w Kiszyniowie reprezentowali ambasador Wiktor Ross i radca Jacek Doliwa. Przybył również proboszcz raszkowskiej parafii prawosławnej o. Sergiusz oraz przedstawiciele miejscowych władz szczebla powiatowego. Mszę świętą pod odkrytym niebem celebrował w towarzystwie praktycznie wszystkich księży katolickich w Republice Mołdawii bp Anton Kosa, administrator apostolski z siedzibą w Kiszyniowie. Nabożeństwo odprawiane było w językach rosyjskim i ukraińskim. Po Mszy miał miejsce uroczysty ponad trzygodzinny godzinny koncert w raszkowskim Domu Kultury. Podkreślić należy, iż zarówno "konferansjerka", jak repertuar były prawie w całości polskie. Na program złożyły się m. in. występy zespołu tanecznego i chóru, działających przy Stowarzyszeniu "Dom Polski" w Bielcach i mieszanego zespołu muzycznego z Kiszyniowa, działającego przy parafii Opatrzności Bożej. Zaproszeni goście z Polski – młodzi księża sercanie wystąpili z programem wokalno–muzycznym. O zainteresowaniu imprezą świadczy fakt, iż liczący 380 miejsc Dom Kultury w Raszkowie nie był w stanie pomieścić wszystkich chętnych do udziału w uroczystości.

Po koncercie, w trakcie spotkania z organizatorami, przedstawiciele Ambasady przekazali na ręce ks. Piotra Kuszmana okazjonalny list z życzeniami, nadesłany przez prof. Andrzeja Stelmachowskiego, prezesa Sto-

warzyszenia "Wspólnota Polska". Jednocześnie przekazano dary w postaci kilkudziesięciu słowników polsko–rosyjskich, śpiewników, materiałów do nauki polskich tańców ludowych, kaset magnetofonowych do nauki języka polskiego oraz materiały dźwiękowe i ikonograficzne, związane z pielgrzymkami Ojca Świętego itp. Nie zapomniano i o najmłodszych, którym Ambasada przekazała kilka kartonów polskich słodyczy.

Organizatorzy obchodów starali się zaakcentować wyłącznie religijny (katolicki) charakter uroczystości. Jednak jej polonijny rys był widoczny gołym okiem. Pomimo, szczególnie wśród starszego i średniego pokolenia, braku znajomości języka polskiego – języka ojców, pomimo braku symboli narodowych (flagi, godła) czy napisów w języku polskim na transparentach, zarówno sam charakter koncertu, jak i liczne rozmowy z miejscową ludnością osób przybyłych z Polski potwierdziły, iż wspomniane uroczystości były okazją do zamanifestowania przez większość uczestników swego przywiązania do polskiej tradycji, kultury i wiary przodków.

Uroczystości wymagały znacznego wysiłku organizacyjnego i finansowego ze strony miejscowej parafii, która nie korzystała z pomocy zewnętrznej. Widoczna na każdym kroku spontaniczność i bezinteresowność parafian i szerokiej rzeszy osób pomagających w zorganizowaniu obchodów spowodowały, iż uroczystości były udane i miały duży rezonans wśród całej Polonii mołdawskiej i społeczności katolickiej w Mołdawii. Obchody potwierdziły także ogrom pracy polskich duszpasterzy w Mołdawii, także na niwie polonijnej. Szczególnie jest to widoczne i godne podkreślenia w relacji Kościół katolicki – młodzież polonijna. Już teraz planowane jest przekształcenie przyszłych odpustów w Raszkowie w coroczne spotkania młodzieży polonijnej połączone z konkursami i występami artystycznymi. *(JD)*

Niemcy

Dwie rocznice

Na zaproszenie ks. prałata Jana Śliwańskiego w ostatnich dniach sierpnia do Hamburga przybył ks. bp Ignacy Jeż, były więzień obozu koncentracyjnego w Dachau, który odprawił w kościele św. Józefa uroczystą Mszę św. za poległych i pomordowanych w czasie II wojny światowej i powstania warszawskiego. W ten sposób Polonia hamburska uczciła 60. rocznicę wybuchu II wojny światowej i 55. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. W nabożeństwie uczestniczyli m. in. konsul generalny Mieczysław Sokołowski, byli żołnierze AK walczący w powstaniu – inż. Maksymilian Pelc, dr Józef Kaczmarczyk, mec. Wincenty Broniwój–Orliński oraz zasłużeni działacze społeczni. Przed wejściem do świątyni rozprowadzano cegiełki na budowę pomnika polskiego na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Neuengamme pod Hamburgiem. W ramach spotkań miejscowego Klubu Inteligencji Katolickiej ks. bp Ignacy Jeż wygłosił referat "Jak przeżyłem obóz koncentracyjny", który sprowokował długą dyskusję uczestników spotkania – więźniów niemieckich obozów i osób zsyłanych do Niemiec na roboty przymusowe.

Ku czci ofiar wojny

1 września w hamburskim ratuszu odbyło się uroczyste posiedzenie parlamentu poświęcone 60. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Uczestniczyli w nim zaproszeni goście, wśród nich przedstawiciele miejscowej Polonii i Konsulatu Generalnego RP oraz Andrzej Szczypiorski, który wygłosił okazjonalny odczyt.

Tego samego dnia na terenie muzeum byłego obozu koncentracyjnego w Neuengamme pod Hamburgiem dokonano odsłonięcia pomnika ku czci około 6 tysięcy Polaków deportowanych podczas powstania warszawskiego i po jego stłumieniu do tego obozu oraz jego filii. W uroczystości wzięli udział m. in. senator ds. kultury Hamburga Christina Weiss, senator Dorota Simonides, przedstawiciel Związku Powstańców Warszawskich Stanisław Herzman, konsul generalny RP w Hamburgu Mieczysław Sokołowski, wiceprzewodniczący parlamentu Hamburga Bernd Roeder, radca ds. kultury Gert–Hinnerk Behlmer, prezydent Lubeki Peter Oertling, wiceprzewodniczący polskiego środowiska byłych więźniów obozu Neuengamme Janusz Kahl oraz przedstawiciele Bundeswehry, policji, Straży Granicznej a także świata nauki i kultury. Licznie stawiła się również Polonia – zarówno organizacje polonijne, jak osoby niezrzeszone, środowiska twórcze, młodzież, przedstawiciele mediów polonijnych. Przybyły poczty sztandarowe Związku Polaków w Niemczech "Rodło" z całych Niemiec. Nie zabrakło przedstawicieli Polskiej Misji Katolickiej w Hamburgu, korpusu dyplomatycznego, kościołów i gmin wyznaniowych oraz Towarzystw: Niemiecko – Izraelskiego i Polsko – Niemieckiego. Pomnik został poświęcony przez bp Ignacego Jeża z Koszalina i bp Hansa Jochena Jaschke z Hamburga. Autorem projektu jest polski artysta mieszkający w Hamburgu – Jan de Weryha Wysoczański, a inicjatorem wzniesienia monumentu – Polonia hamburska.

Republika Południowej Afryki

Wybory w Kapsztadzie

Stowarzyszenie Polskie w Cape Town ma nowe władze. Prezesem została Jadwiga Dubla–Kalinowska, I wiceprezesem – Małgorzata Klawikowska, II wiceprezesem i sekretarzem – Barbara Nowosad, skarbnikiem – Leokadia Walosik, a członkami zarządu – Stanisław Szostak, Wiesław Tymowicz i Wiesław Krzemiński. Do współpracy z zarządem zaproszono Joannę Majksner–Pińską, która będzie odpowiadała za przygotowanie imprez kulturalnych i Jolantę Żakiewicz, której zadaniem będzie współpraca z duszpasterstwem.

24 października br. Stowarzyszenie będzie świętowało 50. rocznicę swego powstania. Z tej okazji w kościele Nazareth House zostanie odprawiona uroczysta Msza św., a po niej odbędzie się spotkanie, podczas którego przedstawiciel Ambasady RP w Pretorii wręczy zasłużonym Polakom odznaczenia państwowe. W programie jubileuszu przewidziano występy artystyczne i imprezy towarzyszące.

Rosja

WIZYTA PRYMASA POLSKI W ROSJI

Prymas Polski kard. Józef Glemp przebywał w lipcu br. w Rosji z trzytygodniową wizytą o charakterze duszpasterskowypoczynkowym. Odwiedził m. in. Moskwę i Saratow w części europejskiej Rosji oraz na Syberii – Nowosybirsk, Irkuck, Usole Syberyjskie i Angarsk.

Podczas dwudniowej wizyty w Moskwie Prymas spotkał się z patriarchą moskiewskim i Wszechrusi Aleksym II, merem Jurijem Łużkowem i administratorem apostolskim dla katolików europejskiej części Rosji abp Tadeuszem Kondrusiewiczem. Odwiedził też kościół Niepokalanego Poczęcia NMP, wybudowany ze składek Polaków na początku stulecia i niedawno odzyskany, w którym odprawił dla licznie zgromadzonej Polonii Mszę św. W Saratowie Prymas spotkał się z miejscowym biskupem prawosławnym Aleksandrem oraz gubernatorem miasta Dymitrem F. Ajackowem.

Grupa z Chabarowska przed Katedrą

W Nowosybirsku, wraz z bp Józefem Werthem, administratorem apostolskim Zachodniej Syberii, Prymas odprawił Mszę św. w katedrze katolickiej oraz odwiedził drugą parafię, prowadzoną przez ojców franciszkanów. Złożył wizytę w domu dziecka sióstr elżbietanek oraz spotkał się z siostrami Matki Teresy z Kalkuty. W Irkucku Prymas był gościem bp. Jerzego Mazura, administratora apostolskiego Wschodniej Syberii, który ma pod swoją opieką duszpasterską rozległy teren od Kraju Krasnojarskiego po Wyspy Kurylskie, Sachalin i Władywostok. Na tym obszarze pracuje 23 kapłanów, 14 sióstr i 2 braci zakonnych (w tym z Polski: 11 księży, 4 siostry i jeden brat zakonny). Prymas poświęcił w Irkucku krzyż i budowaną katedrę katolicką Niepokalanego Serca Maryi. Podczas spotkań z Prymasem wierni Nowosybirska i Irkucka wypuścili ogromne balony z napisem "Leć do Rzymu" i zaproszeniem dla Ojca Świętego do odwiedzenia Syberii. Prymas odwiedził ponadto parafię św. Józefa w Angarsku oraz odprawił Mszę św. w Usolu Syberyjskim, do którego w XIX wieku zesłany był na katorgę św. Rafał Kalinowski. Następnie udał się do Listwianki, położonej nad Bajkałem, gdzie poświęcił dom rekolekcyjny. Niestety, z przyczyn technicznych nie doleciał do Władywostoku.

Prymas Polski nie zjawił się na "końcu świata"

Od pewnego czasu we Władywostoku, mieście portowym czterech oceanów – jak dumnie mówią jego mieszkańcy, środki masowego przekazu zapowiadały głośno nadejście końca świata. Pomimo tej apokaliptycznej atmosfery, znajdująca się na wschodnim krańcu Rosji katolicka wspólnota parafialna, której proboszczem jest ojciec Miron Effing z Ameryki, pieczołowicie przygotowywała się do przyjazdu Prymasa Polski kard. Józefa Glempa, któremu miał towarzyszyć bp Jerzy Mazur z Irkucka, administrator apostolski Wschodniej Syberii. Prymasowi miał do końca podróży dotrzymać kroku ks. Wojciech Drozdowicz, proboszcz parafii katedralnej pw. Przemienienia Pańskiego w Nowosybirsku, który kiedyś prowadził w polskiej TV program "Ziarno", a od kilku lat sieje hojną ręką ziarno Ewangelii na wyjałowionej pod względem religijnym ziemi syberyjskiej. Do Władywostoku przyjechali również kapłani z odległych miejscowości, m. in. z Chabarowska i Magadanu.

W latach dwudziestych w świątyni Przenajświętszej Bogarodzicy, będącej wówczas katedrą, rezydował pierwszy i jedyny biskup katolicki we Władywostoku, Karol Śliwowski, Polak z pochodzenia. Prymas Polski miał prosto z lotniska udać się do miejscowości Sedanka, znajdującej się na przedmieściach Władywostoku, gdzie wspomniany biskup spędził resztę życia.

Osobiście zrezygnowałem z propozycji spędzenia kilku dni na Wyspie Olhon na Bajkale, aby na czas dotrzeć na koniec świata i napisać reportaż z wizyty Prymasa Polski we Władywostoku. Jak prawdziwy demokrata wsiadłem do pociągu o godzinie trzeciej po północy i z przygodami, po przeszło trzech dniach, dojechałem do Władywostoku, ku miłemu zdziwieniu członków wspólnoty polskiej z Centrum Kulturalno–Oświatowym "Gmina", której pierwszym prezesem był Stanisław Bystrzycki, dyrektor miejscowej telewizji "Vostok". Obecnie prezesem jest Mirosława Efimowa, z wykształcenia geolog, zaangażowana także przy parafii katolickiej. Jej zastępcą jest Andrzej Sapiolkin, historyk polskiego pochodzenia, który obronił niedawno tezę doktorską nt. przepowiedni Nostradamusa. W "Gminie" skupiona jest przeważnie miejscowa polska elita. We Władywostoku mieszka kilkuset Polaków i osób pochodzenia polskiego.

Młodzież w Katedrze

Przygotowania do przyjazdu Prymasa Polski na kraniec świata zapięto prawie na ostatni guzik. Nie zdążono jedynie wstawić witraży do neogotyckiej świątyni i na nowo dobudować dwu wież, zlikwidowanych w okresie państwa ateistycznego oraz zainstalować dzwony ofiarowane przez firmę Felczyńskich z Polski. Natomiast dobrze przygotowano się duchowo. Młodzież katolicka w liczbie ponad stu osób, uczestnicząca w trwających przez tydzień konferencjach, miała być najlepszą oprawą tej niecodziennej, pierwszej w historii, wizyty Prymasa Polski we Władywostoku. I nagle nastąpił krach. Samolot nie odleciał.

Najdostojniejszy Gość z Polski nie przypuszczał zapewne, że nie dopnie celu ostatniego odcinka podróży, gdy wcześniej, przez prawie cztery tygodnie pobytu w Rosji nie było problemów.

Członkowie wspólnoty parafialnej, zwłaszcza młodzież i Polacy skupieni w "Gminie", przeżyli ogromne rozczarowanie. Proboszcz, ojciec Miron, pocieszał wszystkich jak mógł, dając nadzieję, że w niedalekiej przyszłości Prymas Polski zawita do Władywostoku, gdy świątynia będzie lepiej przygotowana. Na marginesie dodam, że i tak w szybkim tempie kościół wraca do swej świetności. Pamiętam jego stan przed kilku laty, gdy likwidowano piętra, wykonane dla potrzeb usytuowanego w nim archiwum.

Mirosława Efimowa pocieszała rodaków mówiąc, że widocznie Bóg tak chciał. Ja z kolei zachęcałem, aby przygotowywano się na nowo i nie tylko na przyjazd Prymasa, ale i Papieża Polaka, bo przecież ten Pielgrzym pokoju i nadziei pragnie nieść Dobrą Nowinę na krańce świata.

– Dla nas byłby wielki zaszczyt, gdyby Ksiądz Prymas przyjechał do Władywostoku. Będziemy oczekiwać Jego przyjazdu. Ufamy, że Bóg okaże nam taką miłość. A gdyby przyjechał Ojciec Święty, to byłaby największa miłość – powiedział dr Wiktor G. Zawodiński, fizyk pochodzenia polskiego, który przybył z córką na spotkanie z Prymasem.

Na zakończenie członkowie polskiej "Gminy" odśpiewali na cześć Prymasa "Sto lat" oraz "Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy". Słowa te mają szczególny wydźwięk na "końcu świata".

tekst i fot. – Jan Gruszyński

Szkoła im. Adama Mickiewicza w Sankt Petersburgu

W Sankt Petersburgu wraz z rozpoczęciem roku szkolnego 1 września br. odbyła się uroczystość nadania imienia Adama Mickiewicza szkole nr 216, realizującej program poszerzonego nauczania języka polskiego. Stało się to możliwe dzięki zaangażowaniu środowisk polonijnych miasta, Stowarzyszenia Kulturalno–Oświatowego "Polonia" im. Adama Mickiewicza, parafii św. Stanisława oraz Konsulatu Generalnego RP w Sankt Petersburgu, wspierającego inicjatywę na wszystkich szczeblach administracji lokalnej. Akt nadania imienia szkole został zatwierdzony przez gubernatora miasta Władimira Jakowlewa.

Uroczystość odbyła się przy pomniku Adama Mickiewicza, odsłoniętym przy szkole nr 216 14 grudnia 1998 roku z okazji 200. rocznicy urodzin Wieszcza. Wobec licznie zebranych uczniów i rodziców (ponad 800 osób), przedstawicieli środowisk polonijnych, ludzi kultury oraz mediów, dyrektorka szkoły Jelena Segal ogłosiła rozpoczęcie roku szkolnego, a mer dzielnicy Władimir Antonow odczytał akt nadania szkole imienia Adama Mickiewicza. Wygłoszono okolicznościowe przemówienia i odegrano hymny narodowe Polski i Rosji. Przy pomniku Adama Mickiewicza złożono kwiaty od mera dzielnicy i Konsulatu RP. W części artystycznej wystąpił zespół folklorystyczny "Gaik" – dzieci zaprezentowały tańce rosyjskie oraz recytacje wierszy w językach polskim i rosyjskim. W uroczystości wzięli udział młodzi nauczyciele–praktykanci z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Średnia Szkoła nr 216 z poszerzonym nauczaniem języka polskiego powstała z inicjatywy Konsulatu RP i przy poparciu środowisk polonijnych w 1992 roku na bazie szkoły ośmioletniej. W placówce tej zrealizowano szereg przedsięwzięć promujących język i kulturę polską, m. in. powstało muzeum A. Mickiewicza, a młodzież bierze udział w olimpiadach języka polskiego. Szczególną troską środowisk polonijnych jest zapewnienie szkole pomocy dydaktycznych, wzbogacenie księgozbioru i wyposażenia gabinetów języka polskiego oraz zorganizowanie w Polsce dokształcania nauczycieli, pobytów młodzieży i możliwości kontynuacji nauki dla najlepszych absolwentów.

Teresa Konopielko, Sankt Petersburg

Ukraina

Pierwszy na Ukrainie
DOM POLSKI W ŻYTOMIERZU

Dom stoi na pagórku, jasny i elegancki, z jednej strony zwrócony ku centrum miasta i wieżom niedawno odnowionego polskiego kościoła ojców bernardynów, z drugiej – ku drodze prowadzącej do najpiękniejszego miejsca okolicy czyli przełomu rzeki. Na trzech kondygnacjach pomieści sale lekcyjne, bibliotekę, pokoje redakcyjne programu radiowego i gazety, salę przeznaczoną na próby i koncerty miejscowych zespołów. Pełen zakamarków i oryginalnych klatek schodowych, zapewni pomieszczenia dla żytomierskich organizacji polonijnych i środowiskowych, przyjmie podróżników w pokojach gościnnych

Ambasador J. Bahr przekazuje swój dar, obok – E. Chmielowa

Ks. bp J. Purwiński w progach Domu

i kawiarni. Żytomierzanie dość długo szukali odpowiedniego obiektu, sporo czasu zajęły też formalności poprzedzające zakupienie budynku w stanie surowym. W ciągu kilku miesięcy polski "Energopol" – firma od lat prowadząca prace budowlane na Ukrainie – na zlecenie "Wspólnoty Polskiej", inwestora i właściciela obiektu, przeprowadził konieczne prace instalacyjne i przygotował Dom do przekazania użytkownikom, czyli polskim organizacjom i społeczności Żytomierza. Obiekt zakupiono i wykończono z funduszy inwestycyjnych Stowarzyszenia, przyznanych przez Senat RP, natomiast w wyposażeniu wnętrz ma też udział Polonia brytyjska, zasilająca konto londyńskiego Komitetu Pomocy Polakom na Wschodzie.

Uroczyste otwarcie Domu Polskiego w Żytomierzu odbyło się 29 lipca br., poprzedzone Mszą św. w kościele katedralnym pw. św. Zofii, celebrowaną przez biskupa diecezji kijowsko – żytomierskiej Jana Purwińskiego. Tłumnie uczestniczyli w niej żytomierzanie wszystkich pokoleń i liczni goście: ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Kijowie prof. Jerzy Bahr w asyście konsulów i równie serdecznie witany prezes "Wspólnoty Polskiej" prof. Andrzej Stelmachowski, przewodniczący sejmowej Komisji Łączności z Polonią i Polakami za Granicą pos. Ryszard Czarnecki i wiceprzewodnicząca pos. Elżbieta Radziszewska, senatorowie Stanisław Gogacz i Jerzy Pieniążek z senackiej Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą, reprezentujący polski MSZ p. Krzysztof Sawicki. Przyjechały m. in. delegacje województwa podkarpackiego z wicewojewodą Markiem Kuchcińskim na czele i warszawskiej Fundacji "Pomoc Polakom na Wschodzie" pod wodzą prezesa Wiesława Turzańskiego. Nie zabrakło prezesa Federacji Organizacji Kresowych, p. Stanisława Mitraszewskiego ani też przybyłych z Londynu: wyraźnie wzruszonego tą wizytą prezesa Europejskiej Rady Wspólnot Polonijnych p. Zygmunta Szkopiaka i prezesa Komitetu Pomocy Polakom Andrzeja Polniaszka, bywałego w Żytomierzu i okolicach. Obecni też byli przedstawiciele władz ukraińskich z wicewojewodą żytomierskim Wołodymyrem Łuszkinem na czele. Mistrzynią ceremonii była Emilia Chmielowa, prezeska FOPnU, wspomagana przez Ludwikę Niżyńską. Serdecznym przemówieniom i prezentom zdawało się nie być końca tego pochmurnego, niestety, popołudnia – ale nawet deszcz, od kilku dni skrapiający nieprzerwanie Ukrainę, zachował się przyzwoicie, jakby wagę chwili doceniał, i przeniósł się w inne rejony. Wśród najlepszych życzeń dla polskiej społeczności Żytomierza składano też dary, z których pierwszym był sam Dom, uroczyście przekazany przez prezesa "Wspólnoty". Wszystkich wzruszył podarunek Ambasadora Bahra – wyszukana w antykwariacie stara rycina, przedstawiająca dom, w którym mieszkał J. I. Kraszewski w swym okresie żytomierskim, co upamiętnia odsłonięta niedawno tablica na ocalałym budynku. Senat RP ufundował telewizor z zestawem satelitarnym, W. Turzański przywiózł z Warszawy całą bibliotekę – dar Fundacji, przybywało obrazów i gobelinów. Ale najważniejsze dla nas było uczestnictwo w uroczystości, dość długiej, co tu kryć, zwykłych mieszkańców miasta i okolic – spracowanych babć z wnukami, młodzieży, całych rodzin – osób, które nie są

Jedna z sal

działaczami polonijnymi, które może będą w tym Domu bywać częściej. Dom Polski w Żytomierzu jest pierwszym na Ukrainie; wznosi się w centrum ziem, których mieszkańcy tak strasznie ucierpieli już w latach trzydziestych, którzy tak długo byli odcięci od kontaktów z Polską w tym mieście zamkniętym. Polska ludność Żytomierszczyzny liczy ok. 300 tys. osób – wystarczy wjechać do jakiejkolwiek wioski, by usłyszeć polskie pozdrowienie, w samym mieście wg obliczeń prezesa Tadeusza Reńkasa 1/3 mieszkańców stanowią Polacy. Z uznaniem patrzyliśmy na wyjątkowo sprawną organizację całej uroczystości, na liczny udział młodzieży – kelnerującej, informującej, opiekuńczej wobec gości. Młodzież walczyła też o prym podczas koncertu; najlepiej znanym zespołem z Żytomierza są oczywiście "Poleskie Sokoły", które i tego dnia naśpiewały się niemało – ale śpiewali też chłopcy z grupy "Kantoras", chór akademicki im. Juliana Zarębskiego i "Dzwoneczki", tańczyły "Koroliski". Aplauzem, jak zwykle, przyjęto też występ "Białych Gołąbków" ze wsi Susły. Wszystko to odbywało się jednak po doniosłej chwili przecięcia wstęgi i poświęcenia Domu przez Jego Ekscelencję ks. bpa J. Purwińskiego. Zwiedzanie było tłoczne

Te schody wiodą w trzech kierunkach

Publiczność

i długie, połączone z poczęstunkiem dla wszystkich – tylko "Poleskie Sokoły" wciąż musiały śpiewać, pilnowane przez Ludkę Niżyńską, która przejęła mikrofon... O zmierzchu chórzyści rozpoczęli tańce, prosząc panie do pierwszego tanga przy Czernihowskiego 34b.

tekst i fot. Agnieszka Panecka

******

W południe tego samego dnia prezes Stowarzyszenia "Wspólnota Polska" odwiedził wojewódzkie Kuratorium Oświaty w Żytomierzu. Prof. A. Stelmachowskiemu towarzyszyli pos. pos. R. Czarnecki i E. Radziszewska oraz działacze polonijni – prezesi E. Chmielowa i T. Reńkas oraz nauczyciele: M. Starowierowa z Żytomierza i A. Chłopek z Drohobycza. Rozmowa z panią kurator dotyczyła oczywiście problemów oświaty polskiej w regionie, w którym do 1937 roku istniało, co przypomniał prof. Stelmachowski, 400 szkół z polskim językiem nauczania. Współcześnie sytuacja jest nieporównywalna, co wiemy wszyscy, i nie dotyczy to jedynie ziem nad Zbruczem i Dnieprem.

Toteż propozycję powołania w Żytomierzu Polskiego Centrum Edukacyjnego dla dwóch tysięcy uczniów strona polska przyjęła ze zrozumiałym zainteresowaniem. Kuratorium żytomierskie zaoferowało budynek wraz z kosztami komunalnymi, oczekując od Polski opłacania nauczycieli przybyłych z kraju. Ustalono, że po przekazaniu informacji i zasięgnięciu opinii polskiego MEN strony ustalą termin narady roboczej.

■ TWIERDZA MATKI BOŻEJ SZKAPLERZNEJ W BERDYCZOWIE

Kriepast – twierdza, tak najczęściej współcześni berdyczowianie nazywają dźwigające się z ruin Sanktuarium Matki Bożej. Przed kilkuset laty było ono rzeczywiście prawdziwą twierdzą, bowiem fundator kościoła i klasztoru budował ten zespół właśnie z takim zamiarem, aby była to twierdza Maryi. W sensie materialnym nie okazała się ona twierdzą nie do zdobycia, jednak jesteśmy przekonani, że obecność Maryi w tym miejscu, mimo przewrotności ludzkiej była, jest i pozostanie niewzruszona.

Trudne dzieje sanktuarium

Już sam początek był dramatyczny. Kiedy Janusz Tyszkiewicz, wojewoda ziem kijowskich, w bitwie z Tatarami dostał się do niewoli, będąc w kajdanach miał sen, w którym widział zakonników modlących się za niego do Matki Bożej. Po cudownym uzyskaniu wolności przystąpił do realizacji postanowienia wybudowania kościoła. Dodatkowym motywem było nowe wydarzenie, gdy 16 lipca 1630 roku podczas Mszy św. w kościele karmelitów bosych w Lublinie ze zdumieniem stwierdził, iż strój zakonny karmelitów jest taki sam jak widziany we śnie w czasie niewoli. Zwrócił się więc z propozycją objęcia przez zakon opieki nad kościołem, który zamierzał ufundować. W roku 1642 kościół został wybudowany. Fundator ofiarował do niego obraz Matki Bożej, słynący łaskami w rodzinie Tyszkiewiczów, który po przekazaniu do kultu publicznego wiernych stał się bardziej znany. Niestety, czasy ówczesne, zwłaszcza na tych terenach, były niespokojne. Ze względu na wojny kozackie i napady tatarskie obraz wywieziono do Lwowa, gdzie przebywał przez przeszło siedemdziesiąt lat. W tym czasie kończono budowę wież kościelnych i murów obronnych klasztoru.

W 1756 roku obraz został ukoronowany uroczyście koronami papieskimi. Od tego czasu sanktuarium przeżyło okres wielkiego rozwoju. Obraz słynął cudami (do roku koronacji komisyjnie opisano ich 263). Do sanktuarium ściągały pielgrzymki z wielu bardzo odległych

Kolejny etap renowacji wnętrza kościoła górnego
fot. A. Panecka

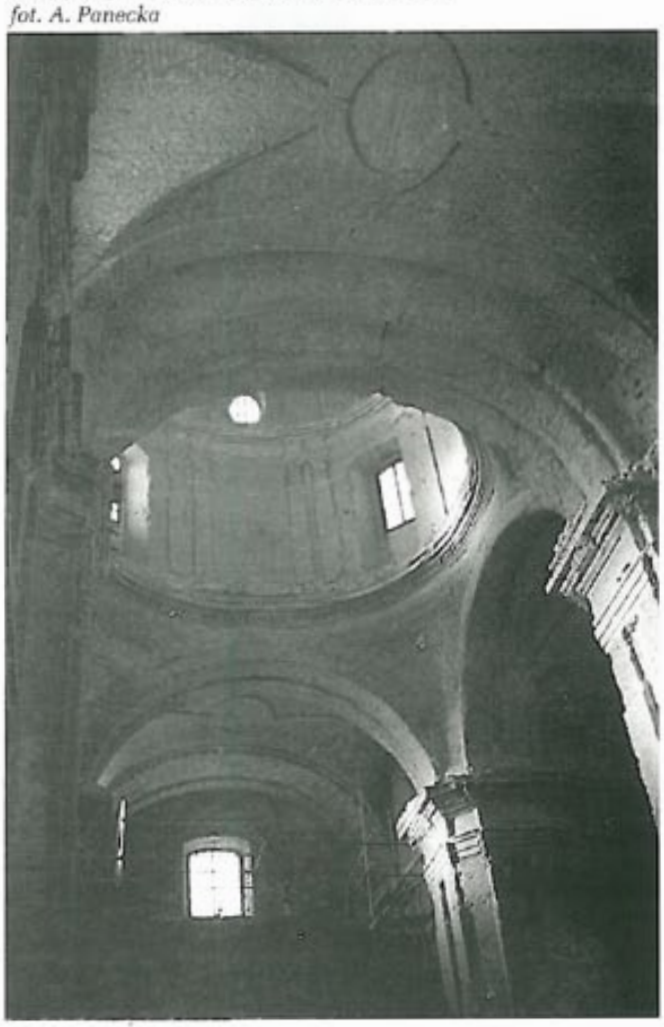

okolic. Klasztor nie tylko obsługiwał pielgrzymów, lecz prowadził działalność kulturalną i dobroczynną. W drukarni karmelitów wydano ponad 700 książek. Zakonnicy prowadzili szkołę dla dzieci i młodzieży. Tak było do połowy XIX wieku, gdy rząd carski kolejnymi ukazami likwidował tę różnorodną działalność. W końcu klasztor zamknięto, a zakonnicy zostali rozproszeni po parafiach. Do użytku wiernych zostawiono jedynie kościół i niewielką część klasztoru dla kapłanów obsługujących świątynię. Ostatni karmelita o. Terezjusz Sztobryn zmarł w 1926 roku.

Sanktuarium przez trzy wieki swej historii przeżyło wiele napadów, rozbojów i kradzieży – korony z obrazu Matki Bożej były trzykrotnie rabowane. Ale na pewno najtrudniejszym doświadczeniem był siedemdziesięcioletni okres komunizmu. W 1926 roku w górnym kościele urządzono muzeum ateizmu, w dolnym kino, a później salę gimnastyczną. W końcu 1941 roku, tuż przed inwazją Niemiec, kościół i klasztor został ograbiony i spalony. Wtedy też prawdopodobnie spłonął obraz Matki Bożej.

Fasada w trakcie odbudowy
fot. A. Panecka

Odbudowa sanktuarium i powrót karmelitów

W latach 1970–1980 władze miasta Berdyczowa pod nadzorem generalnego konserwatora zabytków w Kijowie odbudowały sklepienia i dach kościoła, zabezpieczając go w ten sposób przed dalszym niszczeniem. Po upadku komunizmu i uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę zaistniała możliwość powrotu karmelitów do sanktuarium. Zamieszkali oni w prywatnych domach, gdyż w gmachu klasztornym mieści się dotąd państwowa szkoła muzyczna. Natychmiast przystąpili do remontu kościoła. W dolnym kościele, który został przeznaczony na sprawowanie liturgii, w niedziele i święta zbierają się wierni. Jak wszędzie, tak i tutaj widać, jak wielką rolę spełnia Maryja w odrodzeniu życia religijnego.

Trudne dzieje sanktuarium Matki Bożej Berdyczowskiej odzwierciedlają bolesną historię mieszkańców tej ziemi: Ukraińców, Polaków i Rosjan. Podzieleni na co dzień narodowościowo i wyznaniowo, jak świadczy wymownie historia i współczesność, w sanktuarium przed obliczem Matki Chrystusa czują się zjednoczeni.

Ponowna koronacja obrazu Matki Bożej

Ponieważ zawiodły nadzieje na odnalezienie obrazu Berdyczowskiej Pani, postanowiono namalować nowy. Wykonała go artystka Bożena Mucha–Sowińska. Nowy obraz Matki Bożej został poświęcony przez Ojca Świętego Jana Pawła II w czasie jego pielgrzymki do Polski w 1997 roku, a koronacji dokonał 19 lipca 1998 roku biskup diecezji żytomierskiej ks. Jan Purwiński. Uroczystość koronacji zgromadziła ponad 15 tysięcy wiernych, wśród których było wielu pątników przybyłych z dalekich miejscowości Ukrainy.

Z pewnością Sanktuarium Berdyczowskie już nigdy nie stanie się twierdzą w znaczeniu, jakie miało w dawnych wiekach. W sensie jednak duchowym może stać się ono promieniującym ośrodkiem religijnego odrodzenia i czci do Matki Bożej. Do tego miejsca będą ściągać przez długie jeszcze lata przede wszystkim Polacy, którzy wiele wycierpieli na tej, tak doświadczonej, ziemi.

O. Eugeniusz Morawski OCD

Apel do ofiarnych serc

Zwracamy się z gorącą prośbą do naszych Rodaków: pomóżcie nam w odbudowie tego Maryjnego kościoła. W Polsce tylu wiernych nosi szkaplerz Maryi, a to właśnie jest Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej. Pismo św. mówi, że kto czci swą Matkę, to jakby skarby gromadził. Za każdą nawet najmniejszą ofiarę z góry dziękujemy i obiecujemy modlitwę przed Jej cudownym Obliczem.

Karmelici Bosi z Berdyczowa

- w Polsce – ofiary złotówkowe i dewizowe na konto: Prowincja Krakowska Karmelitów Bosych, Biuro Pomocy dla Sanktuarium w Berdyczowie, Bank Pekao S. A. IV/O Kraków 10801138–3287–27006–800000–111/1;
- w Ameryce – wpłata przy pomocy czeku dla: Carmelite Monastery of Lafayette z dopiskiem "for Berdychiv" na adres: Carmelite Monastery of Lafayette, 1250, Carmel Avenue, Lafayette, La 70501–5299, USA;
- w Europie Zachodniej – czek dla: Karmel "Maria in der Not" z dopiskiem "für Berdychiv" na adres: Karmel "Maria in der Not", Kapitelberg 1, D–45141 Essen, Deutschland.

PARAFIA MATKI BOŻEJ DOBREJ RADY W KOZIATYNIU

Koziatyn to nieduże miasto (siedziba rejonu) położone w obwodzie winnickim, w odległości ok. 200 km na południowy zachód od Kijowa. Zamieszkujący miasto i jego okolice Polacy, którym udało się przeżyć stalinowskie deportacje w latach 1936–1938, zachowali ze swoich korzeni przede wszystkim wiarę katolicką. Po długich staraniach, dzięki determinacji wiernych parafia pw. Matki Bożej Dobrej Rady w Koziatyniu została zarejestrowana 11 czerwca 1988 roku. W 1989 roku rozpoczęto starania o budowę nowego kościoła, bowiem istniejąca przed rewolucją świątynia została przez komunistów zmieciona z powierzchni ziemi w 1937 roku. Kapłanami sprawującymi posługę duszpasterską w Koziatyniu byli kolejno ks. Leon Dubrawski, ks. Mikołaj Sobkowski i przybyły z Polski w 1992 roku młody i przedsiębiorczy ks. Józef Moszkowicz – obecny proboszcz.. Fundamenty pod nową budowę założono jeszcze w 1990 roku, a we wrześniu 1992 roku ks. bp Jan Olszański poświęcił plac budowy.

Dzięki wysiłkom i energii ks. Moszkowicza imponujący kościół w Koziatyniu jest już na ukończeniu, a jego poświęcenie odbyło się 14 sierpnia br. W tej podniosłej uroczystości uczestniczyli przedstawiciele Stowarzyszenia "Wspólnota Polska": Krystyna Borzemska – skarbnik Zarządu Krajowego, prof. Ryszard Brykowski – członek ZK i Krzysztof Czarnocki, którzy w imieniu Stowarzyszenia ofiarowali parafii komplet stacji Drogi Krzyżowej.

Wszystko rozpoczęło się w styczniu 1996 roku od listu proboszcza ks. Józefa Moszkowicza do Stowarzyszenia "Wspólnota Polska" z apelem o udzielenie pomocy w uruchomieniu rolniczej działalności produkcyjnej. Ks. Moszkowicz wydzierżawił kilkanaście hektarów gruntów ornych (w strefie czarnoziemu) z zamiarem uzyskania wpływów, które miały zasilać kasę parafialną i budowę kościoła. Warunkiem rozpoczęcia produkcji rolnej było jednak otrzymanie odpowiedniego sprzętu, którego, z wyjątkiem dwóch ciągników, parafia nie posiadała w ogóle. Nawiązany kontakt ze "Wspólnotą" zaowocował współpracą. Zapoczątkowało ją dostarczenie w roku 1996 kompletu fabrycznie nowych maszyn i narzędzi, uzupełnianych w latach następnych oraz objęcie całego przedsięwzięcia fachową pomocą doradczą. Począwszy od wiosny 1997 roku zapewniono coroczne pełne zaopatrzenie w wysokowartościowy kwalifikowany materiał siewny oraz częściowo w środki ochrony roślin. Produkcja, w zależności od roku, prowadzona jest na areale 15–25 ha i obejmuje uprawy przemysłowe (burak cukrowy) i konsumpcyjne (ziemniaki i szeroki wachlarz warzyw), w całości przeznaczone na sprzedaż. Wykorzystując dobre stosunki z lokalnymi władzami zawarta została wiosną 1997 roku umowa na dzierżawę wieczystą (okres 99 lat) rozłogu o łącznej powierzchni 10 ha, na którym parafia założy, przy naszej pomocy, wzorcowy, nowoczesny, intensywnie prowadzony sad przemysłowy. Realizowane od dwóch lat prace przygotowawcze pozwolą rozpocząć nasadzenia wiosną roku 2000 z zamiarem ich ukończenia w roku 2002.

Opisana działalność, poza aspektem finansowym, wspomagającym budowę kościoła, prezentuje we wciąż panującym systemie kołchozowym wzór gospodarstwa, prowadzonego na zasadach wolnego rynku i stanowiącego przykład dla miejscowych polskich (i nie tylko) rolników. Ponadto parafia Koziatyn, a ściślej ks. Józef Moszkowicz,

partycypuje w pracach, zmierzających do skupienia polskich rolników na Ukrainie w zorganizowaną grupę, działającą na zasadach stowarzyszenia, związku lub federacji. Jeden z dwóch zwołanych dotychczas zjazdów polskich rolników (określających się farmerami) odbył się w Koziatyniu, który w konsekwencji opisanych powyżej przedsięwzięć, stał się pewnego rodzaju pilotażową rolniczą jednostką gospodarczą.

tekst i fot. – Krzysztof Czarnocki

Od red.: Oprócz parafii w Koziatyniu ks. Józef Moszkowicz obsługuje także kościoły filialne: Komsomolskie (dawna Machnówka), Listopadówka (Bogudzięka), Samhorodok (Samgródek) i Lemieszówka, które również wymagają remontów.

Adres: Parafia Rzymskokatolicka Matki Boskiej Dobrej Rady, ul. Komsomolska 28, 287020 Koziatyn, Ukraina, tel. (003804342) 22107

- Konto złotówkowe: BPH S. A. III Oddział Rzeszów, ul. Słowackiego 5, nr konta: 326807–3287805–170–5, nazwa konta: Józef Moszkowicz
- Konto dewizowe: Bank PKO S. A. – Grupa PEKAO S. A. I O/Rzeszów, nr konta: 12401792–00750136–2700– 017872–001–0000, nazwa konta: Józef Moszkowicz

Odpust w Przemyślanach

Niewielka społeczność rzymskokatolicka Przemyślan, ośmiotysięcznego miasteczka położonego o 40 km na południowy wschód od Lwowa, stopniowo odbudowuje swój kościół i powoli się rozwija. Byłoby to niemożliwe bez pomocy ludzi dobrej woli.

Patroni z Rzeszowa

Wyjazd na uroczystość świętych Piotra i Pawła do Przemyślan stał się już tradycją dla członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo–Wschodnich z Rzeszowa oraz niektórych pracowników (w tym dyrektorów) rzeszowskiego PKS–u. W niedzielę 27 czerwca br. do Przemyślan udała się 50–osobowa pielgrzymka autokarowa, zorganizowana pospołu przez rzeszowski PKS i TMLiKPW. Nie zabrakło darów dla przemyślańskiej parafii.

Procesja

– Jest wśród naszych członków kilku dawnych mieszkańców Przemyślan i okolic, postanowiliśmy więc pomagać odrodzonej tam parafii, bo wiemy, że pomoc jest tam bardzo potrzebna. Ze względu na ukraińskie restrykcje celne nasza pomoc charytatywna ma najczęściej formę pieniężną. Mamy satysfakcję, gdy co roku naocznie stwierdzamy, że jest ona dobrze wykorzystywana – mówi prezes rzeszowskiego oddziału Towarzystwa, Bolesław Opałek. Informuje też o pomocy finansowej udzielanej kilku potrzebującym rodzinom we Lwowie oraz dzieciom w Równem na Wołyniu. Jesienią ub. roku Oddział ufundował też dla Rzeszowa tablicę upamiętniającą 80. rocznicę obrony Lwowa.

Rzeszowski PKS nie pozostaje w tyle. W ubiegłym roku ufundował dla kościoła w Przemyślanach dziewięć wielkich okien. Ksiądz proboszcz zawsze też może liczyć na wyjątkowe potraktowanie w autobusach kursowych tak zresztą rzeszowskiego, jak i przemyskiego PKS.

– Mój ojciec chrzestny zaczynał kiedyś swoją pracę zawodową właśnie w Przemyślanach i myślę, że zostawił mi w testamencie trochę obowiązków wobec rodaków na Wschodzie – mówi dyrektor naczelny rzeszowskiego PKS–u, dr Czesław Piela. – Mamy też dwoje "naszych" studentów, z Mościsk i ze Lwowa, na muzykologii w Rzeszowie i polonistyce w Szczecinie, którym pomagamy w różny sposób – dodaje dyrektor techniczny, inż. Jan Lampart.

W drodze do Przemyślan rzeszowscy pielgrzymi nie ominęli Cmentarza Orląt Lwowskich, gdzie złożyli wieńce na wciąż niekompletnej płycie poświęconej Polakom poległym w walkach o to "zawsze wierne" miasto.

Odzyskany kościół

W 1946 roku, po przesiedleniu Polaków, parafia w Przemyślanach przestała istnieć, a w kościele urządzono skład drewna. W latach siedemdziesiątych władze sowieckie urządziły w świątyni i przykościelnych budynkach fabrykę zbrojeniową oraz wytwórnię parasoli. Rozebrano piękną barokową wieżę, a wnętrze XVII–wiecznego kościoła przedzielono w połowie wysokości żelbetowym stropem. W 1990 roku garstka odważniejszych mieszkańców polskiego pochodzenia doprowadziła do odrodzenia parafii rzymskokatolickiej i wraz z przybyłym z Polski księdzem rozpoczęła starania o zwrot świątyni. Po sześciu latach odprawiania nabożeństw na cmentarzu kościół został im formalnie zwrócony.

– Przez kilka lat pisaliśmy prośby do ministrów, premiera oraz prezydenta Ukrainy i we wrześniu 1996 roku otrzymaliśmy dokument, że kościół jest nasz. Zarząd fabryki nie chciał nas jednak wpuścić do środka, argumentując, że jest to obiekt wojskowy i że Ukrainy nie stać na wyniesienie maszyn. W końcu uzależniono zwrot świątyni od wykupienia za 50 tysięcy dolarów jednego z fabrycznych budynków, stojącego na przykościelnym placu. Na szczęście znaleźliśmy poparcie u naszego generała Zakonu Salezjanów we Włoszech i jeden z biskupów holenderskich ofiarował nam pieniądze na ten cel. Uwolniony od maszyn budynek kościoła był jednak kompletnie zrujnowany. Dzięki pomocy naszych przyjaciół z Rzeszowa i kilku innych miast polskich kościół powoli odzyskuje swój dawny wygląd i jest już prawie przygotowany do malowania – opowiada ks. proboszcz Piotr Smolka. Jednym z kolejnych zadań będzie teraz, oprócz malowania, odbudowa wieży kościelnej.

Odzyskiwanie wiernych

Odpustowa Msza św. z arcybiskupem i kilkunastu duchownymi zgromadziła pełen kościół wiernych – kilkaset osób, przybyłych także z sąsiednich miejscowości. A jak jest na co dzień?

Ks. abp M. Jaworski w otoczeniu ks. P. Smolki i ks. F. Rosłana (z prawej)

Kościół pw. świętych Piotra i Pawła w Przemyślanach

– Przychodzi jakieś siedemdziesiąt – osiemdziesiąt osób. W niedziele trochę więcej. Przed wojną w Przemyślanach Polacy stanowili znaczną większość, a Żydzi i Rusini byli mniejszością. Teraz zostało nas może trzysta osób, ale wielu nie chce chodzić do kościoła. Wstydzą się czy boją, nie wiem – opowiada zadziwiająco dobrą polszczyzną 78–letni mieszkaniec, czekający przed wejściem do świątyni wraz z grupką równie wiekowych kobiet.

– Coraz więcej wiernych przychodzi do naszego kościoła, głównie Polaków i z rodzin mieszanych. Na początku było kilkanaście osób, a teraz jest około stu. Gdy po wojnie kościół zamknięto, cerkiew prawosławna funkcjonowała nadal, więc część Polaków zaczęła tam chodzić i tak jest do dzisiaj. I narodowość, i wiara są tu zresztą wymieszane. Na przykład zachodzę po kolędzie do jednego z domów, gdzie ojciec rodziny mówi: "Ano, ja jestem Polak, żona jest prawosławna, a córka grekokatoliczka" – relacjonuje z uśmiechem rówieśnik Papieża, ks. Franciszek Rosłan, który przed dwoma laty przybył tu do pomocy z Białorusi, gdzie przez sześć lat proboszczował w Oszmianie, Krupowie i Ormianach.

– W Przemyślanach jest trochę nacjonalizmu. Jest grupka takich osób, razem, niestety, z miejscowym księdzem greckokatolickim. Zaprosiliśmy go na nasz odpust, ale odmówił i w dodatku ogłosił w cerkwi, żeby do Polaków nie chodzić. Wiem, że nie chce udzielać swoim wiernym komunii, jeśli mu powiedzą, że byli u nas u spowiedzi. Nie chce też oddać krzyża z naszego ołtarza głównego. W innej pobliskiej cerkwi znajduje się dzwon z naszego kościoła z napisem: "Imię moje Zygmunt – Przemyślany". Prosiliśmy o jego zwrot i ustnie, i pisemnie, ale ksiądz greckokatolicki odmawia i pyta: "Gdzie byli Polacy, kiedy ten dzwon wyrzucano? " A przecież każdy wie, co się wtedy z nami działo. Miejscowe władze są do nas dobrze nastawione, ale jest taka atmosfera, że jeden drugiego się boi. Nawet małe dzieci odczuwają tę atmosferę, bo od niektórych nauczycieli dostają gorsze stopnie za to, że chodzą do "polskiego" kościoła i "polskiego" księdza. Tymczasem "Ojcze nasz" odmawiamy w obu językach, a raz w tygodniu odprawiamy Mszę św. całkowicie po ukraińsku, z ukraińskimi modlitwami i pieśniami – tłumaczy ks. proboszcz Piotr Smolka.

Obaj księża salezjanie, poza kościołem w Przemyślanach, sprawują posługę duszpasterską w oddalonym o 15 km Mitulinie, gdzie przed rokiem zwrócono bardzo zresztą zniszczony kościół (trzymano w nim trujące chemikalia i trzeba teraz wymienić posadzkę). Początkowo przychodziło tam kilka osób, a teraz jest ponad 80 wiernych, w tym sporo dzieci i młodzieży. Kapłani opiekują się też wiernymi w Chlibowicach koło Swirża, gdzie rozpoczęli budowę nowego kościółka, ponieważ starym zawładnęli grekokatolicy i nie chcą go oddać.

Wśród parafian przeważają ludzie starsi. W tym roku w Przemyślanach do pierwszej komunii przystąpiło sześcioro dzieci, w ubiegłym – troje. Młodzieży przybywa, w miarę jak wyrastają dzieci posyłane od kilku lat na katechezę. O tym, że jest to młodzież zaangażowana religijnie, świadczy uczestniczący w liturgii kilkunastoosobowy chór, którego członkowie po Mszy św. zamienili się w aktorów, by wystąpić w religijnych inscenizacjach, po polsku i ukraińsku.

Błogosławieni pomagający

– Zawsze ze wzruszeniem przychodzę do tego kościoła, który odrodził się zrządzeniem Bożym i przy pomocy także ludzi władzy, która zrozumiała, że oddanie kościoła jest zabezpieczeniem wspaniałego dziedzictwa kulturowego, które niosą ze sobą te ziemie. Na pewno nie było chlubą, że ta wspaniała świątynia, ta architektura, została zniszczona. Smutno było także, kiedy nie było gdzie się gromadzić i modliliśmy się na cmentarzu. Dzisiaj Pan Bóg pozwolił, że możemy tu odprawiać już kolejny odpust. I cieszymy się z tego, co tutaj zostało zrobione dzięki inicjatywie i ofiarnej pracy ks. Piotra oraz pomocy tylu dobrych ludzi, dobrych serc. Chcę, żebyście wszyscy głęboko w to wierzyli, że ci, którzy przyczynili się do tego, że świątynia jest z powrotem otwarta, ci wszyscy pomagający, gromadzą dla siebie błogosławieństwo Boże – powiedział w swojej homilii metropolita lwowski, ks. abp Marian Jaworski, który przed kilkoma dniami rozpoczął złoty jubileusz swego kapłaństwa. Wyraził też radość z obecności wśród koncelebrujących odpustową Mszę św. księdza greckokatolickiego (przybyłego z Krosna) oraz prawosławnego spod Złoczowa.

Pielgrzymi wracali do Rzeszowa z satysfakcją. Po raz kolejny przekonali się, że ich pamięć i charytatywny wysiłek jest tak potrzebny żyjącym tam rodakom i tak widoczne przynosi rezultaty. Za rok znowu wybiorą się na odpust do Przemyślan.

tekst i fot. – Jacek Borzęcki

Pamięć o bitwie i orderze

Władze obwodowe w Chmielnickim oraz rejonowe w Starokonstantynowie zgodziły się na postawienie obelisku oddającego cześć Polakom poległym w bitwie z wojskami carskiej Rosji, a zarazem upamiętniającego ustanowienie najwyższego polskiego orderu wojskowego. Pomnik stanie prawdopodobnie we wrześniu br.

Obelisk pod Zieleńcami

Ponad trzymetrowej wysokości obelisk z czarnego granitu, z napisami w językach ukraińskim i polskim oraz z wizerunkami orderów "Virtuti Militari" (XVIII–wiecznego pierwowzoru oraz współczesnego), stanie w dawnej wiosce Zieleńce, gdzie 24 czerwca 1792 r. starły się wojska rosyjskie i polskie. Ta jedna z nielicznych zwycięskich bitew, w dramatycznej i nierównej wojnie z Rosją o utrzymanie Konstytucji 3 Maja i niepodległego bytu państwowego Rzeczypospolitej, skłoniła króla Stanisława Augusta Poniatowskiego do ustanowienia orderu "Virtuti Militari". Pierwszymi kawalerami orderu zostali: książę Józef Poniatowski, głównodowodzący wojskami polskimi w czasie bitwy oraz Tadeusz Kościuszko, wówczas w randze generała.

– Ustaliliśmy już lokalizację pomnika z władzami obwodowymi i rejonowymi, które ustosunkowały się do naszego projektu z pełną życzliwością i zrozumieniem – powiedziała Ewa Ziółkowska, przedstawicielka wydziału zagranicznego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie.

Ze względu na trwanie procedur zatwierdzania projektu, jak również niepowodzenie próby znalezienia na miejscu dobrej klasy wykonawcy, nie udało się postawić pomnika w czerwcową rocznicę, ani podczas obchodzonych 24 czerwca br. Dni Kultury Polskiej w Chmielnickim (postawiono jedynie tabliczkę informacyjną w miejscu, gdzie stanie pomnik).

– Strona ukraińska nie była w stanie zapewnić dostatecznej jakości wykonania obelisku. Mają tam wspaniałe kamienie, ale słabą technologię, a nam zależy na dobrej jakości wykonania, bo w jakimś sensie pomnik będzie wizytówką Polski – powiedziała Ewa Ziółkowska, informując, że obelisk wykonywany jest w pracowni artysty–rzeźbiarza Marka Moderała w Warszawie i w ciągu najbliższych miesięcy zostanie przewieziony i postawiony w wyznaczonym miejscu.

Legioniści w Czortkowie

Wśród innych upamiętnień, przygotowywanych przez stronę polską na Ukrainie, znajduje się rekonstrukcja pomnika i kwatery legionistów z lat 1919–1920 na cmentarzu katolickim w Czortkowie (obwód tarnopolski). Pomnik uległ zniszczeniu z powodu upływu czasu i nienajlepszej jakości materiału. Zgodnie z ekspertyzami specjalistów, pomnik zostanie wyburzony, a na jego miejscu stanie dokładna kopia pierwowzoru. Niestety, odtworzona może być jedynie niepełna kwatera żołnierska, jako że jej część została już zabudowana pochówkami ukraińskimi. Aktualnie Rada oczekuje akceptacji projektu rekonstrukcji pomnika przez stosowne władze miejskie, rejonowe i obwodowe. Dodajmy, że z inicjatywy i środków Rady odnawiany jest, na cmentarzu w Krzemieńcu, pomnik na grobie matki Juliusza Słowackiego.

Co z upamiętnieniami Września 1939 roku?

Rada chciałaby też upamiętnić miejsce potyczki (Trzy Kopce koło Janowa) wojsk polskich z Niemcami we wrześniu 1939 roku, jak również szereg mogił polskich żołnierzy poległych 60 lat temu w obronie niepodległości państwa polskiego.

– Złożyliśmy w tym roku w Państwowej Międzyresortowej Komisji Rządu Ukrainy ds. Upamiętnień Ofiar Wojny i Represji Politycznych szereg projektów, związanych z cmentarzami i mogiłami żołnierzy Września, z okazji przypadającej w tym roku 60. rocznicy. Niestety, nie mamy do dzisiaj żadnej odpowiedzi, więc prawdopodobnie te upamiętnienia już nie będą mogły powstać w tym roku – stwierdziła przedstawicielka Rady.

Przypomnijmy, że upamiętnienia miejsc pamięci narodowej – polskich na Ukrainie i ukraińskich w Polsce – odbywają się w oparciu o międzypaństwową polsko–ukraińską umowę z 1994 roku, jak również o zawarte w marcu br. "techniczne" porozumienie uzgadniające harmonogram realizacji owej umowy do 2001 roku. W Polsce odnawiane są, na koszt strony polskiej, m. in. cmentarz internowanych żołnierzy Ukraińskiej Halickiej Armii w Kaliszu–Szczypiornie oraz kwatera żołnierzy UHA na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Jacek Borzęcki

Spotkania młodzieży w Czerniowcach

III Młodzieżowy Rajd Turystyczno–Krajoznawczy na Bukowinie i konferencja "Nowe partnerstwo" – to dwie połączone imprezy, które odbyły się w Czerniowcach na przełomie lipca i sierpnia br. Jeszcze trwała uroczystość poświęcenia Domu Polskiego w Żytomierzu, a już pięcioosobowa grupka organizatorów i uczestników czerniowieckich imprez śpieszyła do autokaru. Gdy zdyszana z pośpiechu młoda dziewczyna podbiegła do kasy, przy której stała spora grupka ludzi, i nie zważając na kolejkę poprosiła o pięć biletów do Czerniowiec, czekający roześmieli się. – Pani chce kupić pięć biletów, a my od trzech godzin czekamy, by kupić po jednym. – Biletów nie sprzedawano w ogóle, a autokar przyjechał opóźniony.

Ranek w Czerniowcach był pogodny i ciepły. Ulokowani w akademiku przybysze "padli" na kilkugodzinny odpoczynek, a w tym czasie zjeżdżali się uczestnicy z Berdiańska, Czortkowa, Dubna, Dowbysza, Doniecka, Charkowa, Borysławia, Kijowa, Kamieńca Podolskiego, Latyczowa, Łucka, Lubaru, Nowogrodu Wołyńskiego, Ostroga, Połupanówki, Rokitna, Sambora, Sądowej Wiszni, Symferopola, Starego Skałatu, Winnicy, Użhorodu, Złoczowa, Żytomierza oraz dziesięcioosobowa grupa młodzieży ukraińskiej z Polski. Razem 80 osób.

Bogaty program krajoznawczy miał na celu zapoznanie młodzieży z historią, zabytkami kultury, z przykładami życia we wspólnocie wielokulturowej, religijnej i obyczajowej, a równocześnie zgodnej, spotykanej tylko na pograniczu kultur. Czerniowce urzekły wszystkich. Muzeum Olgi Kobylańskiej, autorki powieści i nowel z życia wsi ukraińskiej na Bukowinie oraz muzeum malarki Augusty Kochanowskiej, która przyjaźniła się z pisarką i wykonywała ryciny do jej utworów, są tu dowodem twórczej współpracy

artystów, dla których sztuka jest najważniejsza.

Festiwal folklorystyczny "Bukowińskie spotkania '99" cieszył się ogromnym zainteresowaniem i oczarował młodzież. Wieczór spędzony w zacisznej kawiarence na słuchaniu starodawnych pieśni ukraińskich, wykonanych a capella przez miejscowy zespół, pozostanie na pewno w pamięci. Podobnie, jak trzy wyjazdy poza Czerniowce: do Chocimia i Kamieńca Podolskiego na lekcje historii oraz do Winnicy na spotkanie przy ognisku.

Młodzież poznawała się również podczas dyskusji. Trzecia konferencja "Nowe partnerstwo" była kontynuacją poprzednich, przeprowadzonych w 1996 we Lwowie i w 1998 w Warszawie. Każde z tych spotkań było swoistym eksperymentem. Pierwsze dotyczyło historii związków polsko-ukraińskich, drugie – współczesnych stosunków międzypaństwowych w zakresie spraw młodzieży. Właśnie w Warszawie została pokonana pewna bariera psychologiczna, która pozwoliła młodym ludziom popatrzeć na siebie życzliwie, zachęcić do bliższego poznania się i nawiązania współpracy. Dni spędzone na Bukowinie pomogły młodzieży poszerzyć obszar interesujących ich zagadnień oraz były namacalnym przykładem sposobu formowania normalnych stosunków międzyludzkich, dobrosąsiedzkich.

Jak trafnie zauważył Piotr Tyma, sekretarz Zjednoczenia Ukraińców w Polsce, konferencja wskazała dobry kierunek do dalszej współpracy młodzieży polskiej zamieszkałej na Ukrainie z młodzieżą ukraińską mieszkającą w Polsce. Dymitr Kamazin, lider młodzieżowy z Symferopola, przedstawił projekt "Młodzieżowej Szkoły Lidera". Młodzi ludzie opowiadali się za realizacją współpracy w dziedzinie sportu, turystyki, handlu. Wszelka działalność wymaga jednak funduszy. Znając trudności minionych lat, Emilia Chmielowa – prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie – zaznaczyła, iż do pozyskania pieniędzy na inicjatywy młodzieży należałoby włączyć samorządy.

Organizatorem obydwu imprez była Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie, sponsorem Stowarzyszenie "Wspólnota Polska". Umiejętnością dobrej organizacji wykazali się Władysław Strutyński, prezes TKP w Czerniowcach oraz Klub Młodzieży Polskiej przy TKP. Następna konferencja o charakterze szkoleniowym odbędzie się za rok w Polsce.

Teresa Kulikowicz-Dutkiewicz

Rok Słowackiego w Krzemieńcu

We wrześniu br. z okazji 190. rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu, rodzinnym mieście poety, odbyło się kilka uroczystości. 4 września otwarto wystawę malarstwa współczesnego pt. "Tam, gdzie Ikwy srebrne fale" oraz zorganizowano pierwsze spotkanie polskich i ukraińskich pisarzy. W dniach 8–11 września w siedzibie dawnego Liceum Krzemienieckiego (obecnie Szkoła Pedagogiczna im. Tarasa Szewczenki) miała miejsce międzynarodowa konferencja naukowa nt. "Ukraina i Polska doby romantyzmu – obraz sąsiada". Planowane wcześniej na 4 września otwarcie Muzeum Słowackiego w Krzemieńcu nastąpi dopiero w roku 2000. We wrześniu br. w Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie podpisano protokół w sprawie remontu dworku Słowackich w Krzemieńcu i zorganizowania muzeum poety. Wiadomo już, że partnerami strony polskiej są miasto Krzemieniec i obwód tarnopolski, a remont budynku przeprowadzi przedsiębiorstwo wskazane przez stronę polską, która również prace sfinansuje. Równolegle będzie przygotowywana ekspozycja. Muzeum Słowackiego będzie oddziałem lokalnego Muzeum Krajoznawczego, choć strona polska nalega na zmianę statusu na jednostkę samodzielną.

Procedura postępowania w sprawie przekazania pomocy humanitarnej adresowanej na Ukrainę

1. Ofiarodawca pomocy humanitarnej z Polski (osoby prawne, fizyczne) przesyła list zawiadamiający adresata na Ukrainie o przekazaniu pomocy wraz z wykazem artykułów – produktów spożywczych itp., oznaczając termin dostawy "darów" – minimum na trzy tygodnie wcześniej. (Wskazane, by kopię listu przesłać na adres właściwego Konsulatu Generalnego RP na Ukrainie – Lwów, Kijów, Charków – placówki konsularne mogłyby skuteczniej interweniować w przypadku zaistniałych trudności przy przeciąganiu sprawy itp. u władz administracyjnych Ukrainy).

2. Adresat pomocy na Ukrainie niezwłocznie przesyła (akt darowizny) list darczyńcy (patrz pkt 1), wraz z podaniem o zwolnienie z opłat celnych skierowanym do "Komisji ds. koordynacji przyjęcia, dostawy, ochrony i rozdziału pomocy humanitarnej, która jest przekazywana z państw obcych, przy Gabinecie Ministrów Ukrainy", za pośrednictwem administracyjnych władz regionalnych lub bezpośrednio.

3. Po uzyskaniu zezwolenia na przyjęcie daru oraz decyzji co do jego przyjęcia, wydanego przez "Komisję ds. koordynacji przyjęcia, dostawy, ochrony i rozdziału pomocy humanitarnej... " oraz zwolnieniu z opłat celnych, dokument ten "adresat pomocy humanitarnej" przedstawia ukraińskim władzom celnym, po czym następuje stosowna – zwolniona od opłat – odprawa celna i dar trafia do adresata (adres Komisji: 252008 Kijów, bulwar Gruszewskiego 12/2, tel. (044) 254–05–80, 293–73–48).

Uwaga: Nie są zwalniane z opłat celnych artykuły objęte podatkiem akcyzowym (np. wyroby czekoladowe, kawa naturalna w ziarnach itp.), pomimo iż przekazywane są w ramach pomocy humanitarnej.

Podstawa prawna: 1. Dekret Prezydenta Ukrainy o pomocy humanitarnej, którą wwozi się na Ukrainę z dnia 1 lipca 1998, nr 738/98; 2. Ustawa Ukrainy o wprowadzeniu zmian do niektórych aktów ustawodawczych w sprawach opodatkowania z dnia 13 grudnia 1997.

Opracowano w Konsulacie Generalnym RP w Kijowie

List otwarty do Panów Jerzego Giedroyca i Jana Nowaka Jeziorańskiego

Zwracam się do Panów – ludzi szlachetnych, którzy rzuceni przez los daleko od Kraju ojczystego poświęcili się walce o niepodległość i dobre imię Polski i Polaków – w imieniu Zarządu Krajowego Stowarzyszenia "Wspólnota Polska", i własnym w związku z wielce bulwersującą sprawą procesu tzw. "autonomistów" na Litwie, którą obserwujemy z najwyższym zaniepokojeniem i troską. Z tym większym smutkiem przyjęliśmy wiadomość o sygnowaniu przez Panów apelu do Prezydenta Republiki Litewskiej Valdasa Adamkusa o ułaskawienie pięciu oskarżonych w tym trwającym osiem lat, kuriozalnym procesie. Rozumiemy, że działają Panowie w dobrej wierze, zdezorientowani akcją propagandową rozpętaną przez część prasy polskiej. Nie będę polemizował z kąśliwymi uwagami, jakie zamieściła "Trybuna" ani też niewybrednymi atakami na łamach "Gazety Wyborczej", ponieważ uważam, że w sprawach tak poważnych dyskusja nie powinna toczyć się na takim poziomie. Rozumiejąc jednak szlachetne intencje, które kierowały dłońmi podpisującymi apel, uważam za swój obowiązek i moralną powinność zwrócić się do Panów w tej sprawie.

Od dłuższego czasu, mimo poprawnych, a ostatnio bardzo dobrych stosunków międzypaństwowych, obserwujemy niepokojące poczynania władz litewskich w stosunku do mniejszości polskiej na Litwie. Przykładów jest wiele – fatalna kondycja szkół polskich, niedawne perturbacje z polską maturą, powtarzające się zakusy lituanizacji jedynej tego typu na Litwie szkoły rolniczej w Białej Wace z polskim językiem wykładowym, do dziś nierozwiązana, mimo chęci mieszkających na Litwie Polaków, sprawa pisowni imion i nazwisk polskich, administracyjne utrudnienia w związku ze zwrotem ojcowizny polskim rolnikom – po ostatnie, budzące najwyższe zaniepokojenie polskiej społeczności na Wileńszczyźnie, reformy administracyjne, kształtem nowych granic rejonów potwierdzające tezę, iż służyć mają rozbiciu zwartości zamieszkanych przez ludność polską terenów. Wszystkie te poczynania godzą w prawa mniejszości polskiej na Litwie, gwarantowane traktatem zawartym pomiędzy naszymi państwami, a przez Polskę respektowanym. Tymczasem nasi rodacy na Litwie muszą upominać się o swoje prawa, walczyć o nie, narażani często na niezrozumiałe w demokratycznym państwie upokorzenia. W tym kontekście sprawa godności narodowej nabiera szczególnego znaczenia. W naszych oczach – a sądzę, że każdy uczciwy człowiek się z tym zgodzi – upominanie się o prawa człowieka i własnej grupy narodowościowej przestępstwem nie jest. I tak też patrzymy na oskarżonych w procesie, który jest procesem czysto politycznym, sterowanym przez tych, których interesom służy. Nie jest przypadkiem, że oskarżycielem posiłkowym jest skrajnie nacjonalistyczna organizacja "Vilnija". Proces, prowadzony w ostatnich miesiącach dotyczy wydarzeń sprzed dziewięciu lat, i to wydarzeń drugorzędnych w obliczu historycznych przemian zachodzących w tym rejonie świata. W historycznej chwili rozpadu ZSRR i uzyskiwania przez Litwę niepodległości samorząd rejonowy w Solecznikach podjął uchwałę, mającą na celu uzyskanie autonomii przez ten rejon, w 80 proc. zamieszkany przez Polaków, niepewnych swego losu w obliczu zachodzących przemian. Różnie można interpretować taką postawę – fakty pozostają faktami. Ci, którzy rzeczywiście popierali imperium i pucz moskiewski, zostali przez samą Radę solecznicką z jej składu usunięci, od dawna też przebywają za granicą. Pozostali ci, którzy wykonywali uchwałę Rady, działając w imię uchronienia polskości i spokoju na tych terenach. Działali nie z bronią w ręku, ale w imię demokracji, składając odpowiedni wniosek. Teraz, po latach, demokracja zdaje się być gwałcona, bowiem oskarża się o przestępstwo wobec państwa litewskiego ludzi, którzy chcieli zabezpieczyć prawa swej społeczności. Trudno ich za to winić. Tak teraz, jak i w tamtym okresie – samo złożenie wniosku nie jest przestępstwem, można było odrzucić inicjatywę jako sprzeczną z Konstytucją, wystarczyłaby zapewne urzędowa odmowa. Dlatego też w naszych oczach proces ten jest pokazowym i godzącym w dobre imię Republiki Litewskiej jako państwa europejskiego i demokratycznego. Historia, niestety, zna wiele oskarżeń prokurowanych dla zaspokojenia potrzeb chwili lub grupy nacisku. Oskarżeni są obywatelami litewskimi, nie zajmują się działalnością polityczną od czasu rozwiązania Rady solecznickiej, co nota bene nastąpiło nie w odpowiedzi na jej "przestępstwo" wobec państwa, lecz dopiero we wrześniu 1991 roku. Co symptomatyczne, w styczniu tegoż roku Rada Najwyższa parlamentu litewskiego pod przewodnictwem V. Landsbergisa – dziś, jak donosiła prasa, usatysfakcjonowanego zaostrzeniem wyroków w Sądzie Apelacyjnym – przyjęła uchwałę dotyczącą opracowania rządowego statutu nowego obwodu wileńskiego, łączącego rejony wileński i solecznicki, czyli tereny zamieszkane w sposób zwarty przez ludność polską. Uchwała ta nie została zrealizowana, ale dyskutowano ją w parlamencie m. in. za sprawą ówczesnych posłów Frakcji Polskiej, wśród których – obok panów Maciejkiańca i Okińczyca – był też jeden z dzisiejszych oskarżonych, Leon Jankielewicz. Wszyscy pamiętamy tamte burzliwe lata, oskarżanie Polaków o dążenia autonomiczne, chęć polonizacji Wileńszczyzny, brak entuzjazmu dla niepodległości Litwy. Z czasem państwo litewskie umocniło się, nasi rodacy są jego lojalnymi obywatelami, stosunki bilateralne rozwijają się pomyślnie. Ale komuś potrzebny był pokazowy proces, w którym oskarżonymi są ludzie sądzeni za poglądy, za inicjatywę, mającą na celu ochronienie polskości ojcowizny i godne przetrwanie dziejowej zawieruchy. Dzieje się zaś to wszystko w okresie zrozumiałych protestów Polaków z Wileńszczyzny, upatrujących w kolejnych etapach reformy administracyjnej zagrożenie dla tradycyjnej zwartości tej ziemi i jej mieszkańców o polskim rodowodzie. Może więc rację mają ci, którzy w sądowym spektaklu upatrują próbę zastraszenia mniejszości polskiej, oduczenia od upominania się o przynależne jej prawa. Z tym większym smutkiem i zaniepokojeniem przyjęliśmy fakt podpisania przez Panów apelu o ułaskawienie oskarżonych, których wina dla sądów różnych instancji różnie się przedstawia, a którym przysługuje jeszcze odwołanie do Sądu Najwyższego. Wraz z senatorami Rzeczypospolitej braliśmy udział w procesie jako obserwatorzy, zatroskani nie tylko losem oskarżonych. W ich

osobach sądzona jest mniejszość polska i rozstrzygają się jej prawa, a wyrok ostateczny będzie probierzem demokracji na Litwie. Pragniemy, by była państwem europejskim, w którym mniejszość narodowa postrzegana jest jako bogactwo, nie zaś zagrożenie. Polska popiera dążenia Litwy do struktur europejskich, zależy nam na dobrych stosunkach i współpracy. Ale Polsce nie wolno zamykać oczu na nieprzestrzeganie praw rodaków, omijanie postanowień traktatowych, wykorzystywanie zadawnionego, nic nieznaczącego incydentu administracyjnego do ugodzenia w grupę narodową jako taką. Wierzymy, że ta przykra i trudna sprawa zakończy się pomyślnie dla oskarżonych, a godnie dla litewskiego wymiaru sprawiedliwości. Apele o zastosowanie prawa łaski – a więc tym samym przesądzanie o winie oskarżonych i akceptacja wyroku – wydają się przedwczesne w sytuacji, gdy nie orzekał jeszcze Sąd Najwyższy Republiki Litewskiej, do którego oskarżeni mają prawo się odwołać. Dlatego też, rozumiejąc szlachetne intencje Panów, wyrażamy zaniepokojenie podpisaniem apelu o ułaskawienie – proces ten bowiem toczy się o godność narodową Polaków na Litwie, ich prawa, ale także o przyszłe oblicze kraju ich zamieszkania.

Prezes Stowarzyszenia "Wspólnota Polska"
/ – / prof. Andrzej Stelmachowski

Warszawa, 26 sierpnia 1999

Biuro Zarządu Krajowego

Nasze obozy

Stowarzyszenie "Wspólnota Polska", zgodnie z wieloletnią już tradycją, zorganizowało w roku bieżącym kilka interesujących obozów dla dzieci i młodzieży polonijnej. Cieszą się one, podobnie jak kolonie polonijne, dużą popularnością. Organizowane w atrakcyjnych miejscowościach, ze starannie przygotowanym programem oraz wykwalifikowaną, doświadczoną kadrą pedagogiczną stanowią atrakcyjną propozycję dla osób decydujących się spędzić wakacje w Polsce. W tym roku z obozów Stowarzyszenia "Wspólnota Polska" skorzystało około 130 dzieci i młodzieży polonijnej z całego niemalże świata, w wieku od 8 do 19 lat. Były to dzieci ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Wielkiej Brytanii, Francji, Holandii, Niemiec, Austrii, Grecji, Hiszpanii, Portugalii, Albanii, Węgier, Rosji, Ukrainy, Szwecji, Norwegii, Danii, Finlandii, a nawet ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

W trasę po Kołobrzegu wyruszył polonijny pociąg

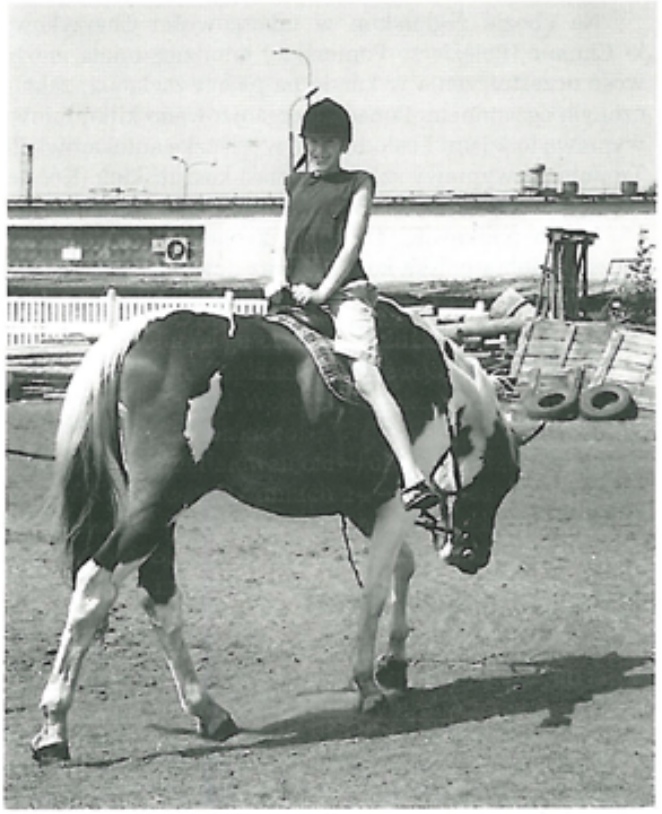

Niektórym mylił się koński łeb z zadem

Młodzież wzięła m. in. udział w "Akademii Filmowej" w Zakopanem w terminach:

2 – 17 lipca (I turnus) i 1 – 16 sierpnia (II turnus). Program tego obozu w udany sposób łączył zajęcia związane z teorią i praktyką filmową (historia gatunków filmowych, historia filmu, sposoby montażu filmowego, tworzenie scenariuszy i scenopisów filmowych, rola muzyki w filmie, komiks a film animowany oraz zajęcia praktyczne, w tym kręcenie etiud filmowych) oraz turystyką górską (wycieczka autokarowa z przewodnikiem do Morskiego Oka, Doliny Kościeliskiej, wycieczki piesze do Doliny Białego, Doliny Strążyskiej, na Halę Kalatówki, Halę Kondratową oraz Gubałówkę, wjazd na Kasprowy Wierch, a także zwiedzanie Zakopanego i okolic).

Odmienną propozycją był obóz konny w Kołobrzegu, którego dwa turnusy odbyły się w terminach

od 17 lipca do 5 sierpnia i od 5 do 24 sierpnia. W programie przewidziano codzienną jazdę konną, zajęcia na basenie, w siłowni i sali ćwiczeń. Urozmaicono go licznymi dyskotekami, wyprawami do kina, wycieczką autokarową w okolice Kołobrzegu oraz przejażdżką bryczkami po ulicach Kołobrzegu. Zaplanowano też rejs statkiem, zwiedzanie Portu Marynarki Wojennej, a także indywidualne lekcje nauki języka polskiego.

Kolejne przedsięwzięcie – obóz dla dzieci w Rogowie k/ Kołobrzegu w dniach 14 – 31 lipca – bogate było w wycieczki po malowniczych zakątkach Pomorza: do Kołobrzegu, Szczecina, Koszalina, Kamienia Pomorskiego. Program imprezy wzbogacono o spacer statkiem po Bałtyku i Jeziorze Resko, Neptunalia, spartakiadę obozową, konkursy, gry terenowe, ognisko, wycieczki rowerowe po okolicy. To tylko niektóre spośród licznych atrakcji oferowanych najmłodszym przedstawicielom Polonii.

Na obozie żeglarskim w miejscowości Charzykowy k/ Chojnic (Pojezierze Pomorskie) młodzież miała możliwość uczestniczenia w kursie na patent żeglarski, zakończonym egzaminem. Ponadto zorganizowano kilkudniową wyprawę łodziami i całodniową wycieczkę autokarową do Trójmiasta, wyprawy szlakiem miast kaszubskich (Kościerzyna, Kartuzy) oraz do Słowińskiego Parku Narodowego.

Warto podkreślić, że każdy z obozów mógł się poszczycić dobrą polską kuchnią oraz dogodną lokalizacją – blisko plaży, bądź szlaków turystycznych – w ośrodkach o podwyższonym standardzie.

Komentarzem do oceny obozów organizowanych przez Stowarzyszenie "Wspólnota Polska" mogą być słowa jednej z uczestniczek: "No i znów przyjechaliśmy, 9 godzin w autokarze to nie przyjemność, ale warto było. Spotkaliśmy wielu znajomych z poprzedniego roku z Zakopanego!"

Anita Nowińska

Oddział Koszaliński

Zgodnym chórem czyli Koszalin '99

W mniemaniu ogółu nie jesteśmy narodem muzykalnym. Wiemy, że Rosjanom coś w duszy gra, że Niemcy śpiewają wspólnie w swych piwiarniach, kołysząc się przy tym zabawnie, a włoskie piosenki trafiły nawet w naszym kraju "pod strzechy". A my, Polacy, gdy już spotkamy się w większym gronie, to jesteśmy w stanie zaśpiewać razem tylko "Szła dzieweczka do laseczka", bo tę piosenkę rzeczywiście znają wszyscy. To jednak, na szczęście, stereotyp, który zwalcza Oddział Koszaliński "Wspólnoty Polskiej". Jego członkowie już od wielu lat propagują polskie pieśni i piosenki, organizując co trzy lata Światowy Festiwal Chórów Polonijnych. Przygotowania do tej imprezy trwają co roku w ramach Lata Polonijnego, na które składają się Światowe Spotkania Chórów Polonijnych, Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych oraz Polonijne Warsztaty Artystyczne dla Dzieci i Młodzieży ze Wschodu i Zachodu. Tegorocznemu Latu Polonijnemu patronowali: wojewoda zachodniopomorski Władysław Lisewski, prezydent Koszalina Henryk Sobolewski i ks. bp Marian Gołębiewski, ordynariusz diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Pomocy finansowej organizatorom udzielili Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Sejmik Zachodniopomorski. Za program poszczególnych imprez lata odpowiadała Rada Muzyczna i kadra w składzie: Mirosław Banach, Violetta Bielecka, Gabriela Cwojdzińska, Andrzej Cwojdziński, Mirosław Gałęski, Zbigniew Kozub, Wiesława Krodkiewska, Jarzy Kurcz, Grażyna Ney, Przemysław Pałka, Paweł Rozbicki, Marian Wiśniewski i Elżbieta Wtorkowska.

Najmłodsi uczestnicy Lata Polonijnego

Koncert galowy

Za kulisami

W Studium Dyrygentów, które odbywało się w dniach 5 – 17 lipca uczestniczyło 60 słuchaczy. To duży sukces, bo nauka wymaga dużej dyscypliny i trwa aż pięć lat. Na początku, osiem lat temu, w Studium uczestniczyło tylko 25 osób, lecz teraz widać już rezultaty pracy – dyrygenci z piętnastu krajów przekażą zdobytą w Koszalinie wiedzę aż na trzech kontynentach. Wedle słów prezeski Oddziału Koszalińskiego Gabrieli Cwojdzińskiej będą oni pełnić rolę ambasadorów polskiej kultury w świecie.

Kolejną z imprez Lata były Polonijne Warsztaty Artystyczne dla Dzieci i Młodzieży ze Wschodu, zorganizowane w dniach 5 – 25 lipca. Spotkania tego typu odbywają się już od ośmiu lat – początkowo pod nazwą Polonijna Kolonia

Artystyczna. Doświadczona kadra koszalińskich specjalistów z zakresu choreografii, muzyki i literatury opiekowała się w tym roku siedmioma zespołami: "Kolorowymi Ptaszkami" z Wołodarska Wołyńskiego na Ukrainie, "Dzwoneczkami" z ukraińskiego Żytomierza, moskiewskimi "Stokrotkami", wileńskimi "Pierwiosnkami" oraz członkami Zespołu Piosenki Katolickiej "Pokój i Dobro" ze Słonimia na Białorusi, dziećmi słuchaczy Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych, które utworzyły zespół "Emilki" i kołobrzeskimi profesjonalistami z Dziecięcego Zespołu Artystycznego "Algi". "Algi", w których tańczy już siódme pokolenie uczniów, po raz drugi były zespołem pomagającym młodym polonijnym gościom w opanowaniu trudnej sztuki polskich tańców narodowych i ludowych. Dzieci uczestniczące w Warsztatach świetnie się bawiły, uczyły muzyki, tańca i śpiewu, ale nie tylko – w programie przewidziano też zajęcia z kultury i języka polskiego.

Jednakże w lipcu w Koszalinie prym wiodły chóry polonijne, które uczestniczyły w dorocznych Spotkaniach w dniach 5 – 25 lipca. Przyjechało ich aż jedenaście, w tym: z Białorusi – "Promień" (Szczuczyn), "Wspomnienie" (Pińsk) i Nowogrodczyzna (Nowogródek), z Czech – "Lutnia" (Lutynia Dolna), z Litwy – "Mejszagolanie" (Mejszagoła) i "Sużanianka" (Sużany), z Łotwy – "Harfa" (Daugavpils), z Kazachstanu – "Skowronki" (Szczuczyńsk), z Ukrainy – "Serafin" (Równe), z Holandii – "Malwa" (Brunssum) oraz z Rosji – "Baśki" (Moskwa). To grono śpiewacze wspomógł chór "Ojczyzna", utworzony przez słuchaczy Studium Dyrygentów, których umiejętności wokalne i doskonałe opanowanie warsztatu sprawiają, że każdy występ "Ojczyzny" jest wydarzeniem artystycznym.

Okazją do zaprezentowania osiągnięć polonijnych śpiewaków i dyrygentów – zarówno starszych jak i młodszych – był koncert galowy, wyreżyserowany przez Mariana Wiśniewskiego, który odbył się 23 lipca w koszalińskim Amfiteatrze im. I. J. Paderewskiego. Ze sceny popłynęły pieśni znane wszystkim, wzbudzając aplauz publiczności gotowej śpiewać je z artystami oraz dźwięki nowych utworów, które miały tu swą prapremierę. W ten sposób organizatorzy Spotkań pragną rozszerzyć repertuar artystów polonijnych. Ten zgodny chór, korzystający ze skarbnicy polskiej kultury, cieszy ogromnie – zastanowienie budzi jedynie to, że śpiewacy, poza "rodzynkami" z Holandii, przyjechali ze Wschodu. To naturalne, że właśnie oni mają wiele do nadrobienia po dziesięcioleciach ograniczonych kontaktów z ojczyzną, ale z pewnością łatwiej by im to szło w towarzystwie doświadczonych kolegów z zespołów o wieloletniej tradycji, działających np. w Niemczech. Pozostaje mieć nadzieję, że był to przypadek, a nie tendencja i że podczas kolejnego Festiwalu zaśpiewają wspólnie Polacy z całego świata.

Koncert galowy był wspaniałym pożegnaniem artystów z miastem i jego mieszkańcami, ale Lato Polonijne bynajmniej się nim nie zakończyło. Na rozstanie z kolegami i organizatorami – szczególnie serdeczne z przewodniczącą Komitetu Organizacyjnego Gabrielą Cwojdzińską, dyrektorem Biura Organizacyjnego Zbigniewem Ciechanowskim oraz kierownikiem muzycznym imprezy Andrzejem Cwojdzińskim – przyszła pora podczas tradycyjnego już ogniska pożegnalnego, zorganizowanego w Manowie nad Jeziorem Rosnowskim. I tu gości Oddziału Koszalińskiego nie opuszczała polska muzyka... wrócą tu za rok.

tekst i fot. – Iwona Borowska

Osieckie malowanie

W dniach 22 sierpnia – 2 września w podkoszalińskich Osiekach zorganizowano Międzynarodowy Plener Malarski, w którym uczestniczyło około 30 artystów i profesorowie historii sztuki. Oprócz plastyków z kraju byli to również artyści polskiego pochodzenia z zagranicy:

Od lewej: Jurym Galm, Kazimierz Rajkowski, Helena Zadrejko, Todor Dimczewski
fot. Z. Ciechanowski

Aleksander Sudar (Białoruś), Todor Dimczewski (Bułgaria), Edward Malinowski i Kazimierz Rajkowski (Niemcy), Helena Zadrejko (Grecja), Ojan Juhani (Finlandia) oraz Ida Ferdynand i Vicky Stemptoe (Dania). Malarze przez dwa tygodnie pracowali, a także uczestniczyli w wykładach poświęconych modom i zjawiskom w sztukach plastycznych.

Plener zorganizował Koszalińsko–Słupski Okręg Związku Polskich Artystów Plastyków przy finansowym wsparciu m. in. ze strony Oddziału Koszalińskiego Stowarzyszenia "Wspólnota Polska", Urzędu Miasta, Urzędu Miasta i Gminy Sianów oraz Sejmiku Zachodniopomorskiego.

Artyści o polskim rodowodzie, tworzący w innych krajach, spotkali się z zarządem Oddziału Koszalińskiego "Wspólnoty Polskiej", by omówić swój udział w wystawie zaplanowanej na rok 2000 przy okazji X Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych i 10–lecia działalności Stowarzyszenia. Zbudowani polską gościnnością zostawili w Koszalinie prace wykonane podczas pleneru, które zostaną zaprezentowane na przyszłorocznej wystawie. *(ZC)*

Oddział Krakowski

Szkoła Letnia dla młodzieży

Na początku sierpnia Oddział Krakowski zorganizował Szkołę Letnią dla młodzieży ze Wschodu i Zachodu. Czterdziestu uczestników w wieku 15–19 lat przyjechało z Francji, Ukrainy, Węgier, Białorusi, Bułgarii, Litwy i Łotwy – zgłosiły ich organizacje polonijne i polskie placówki dyplomatyczne. W programie kursu przewidziano przed południem zajęcia z języka polskiego, wykłady nt. Polski współczesnej, dziejów Krakowa i dziedzictwa kulturowego na Kresach, prowadzone przez wykładowców Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po południu i w weekend zorganizowano interesujący program kulturalny. Uczestnicy zwiedzili zabytki Krakowa (Wawel, Kościół Mariacki, Sukiennice, Collegium Maius) oraz Muzeum Książąt Czartoryskich i Kopalnię Soli w Wieliczce. Niezapomnianych wrażeń dostarczył spływ tratwami przełomem Dunajca oraz zwiedzanie zamku w Nidzicy. W trakcie pieszych wędrówek młodzież dotarła do opactwa benedyktyńskiego w Tyńcu oraz na Kopiec Kościuszki i Kopiec Piłsudskiego. Wszystkim podobał się film J. Hoffmana "Ogniem i mieczem". Były dyskoteki, ognisko i na koniec konkurs wiedzy o Krakowie z nagrodami. Każdy z uczestników otrzymał ładnie wydany albumik o Krakowie. Pogoda dopisywała, było ciepło, a wszyscy z przyjemnością chłodzili się w basenie. *(PZ)*

Kurs języka polskiego

Grupa młodzieży z Kazachstanu, Ukrainy, Uzbekistanu i Rosji, która w ramach Szkoły Letniej zorganizowanej przez Oddział Krakowski Stowarzyszenia uczestniczyła w trzytygodniowych zajęciach z języka polskiego, historii ojczystej oraz dziejów Krakowa, została od koloru teczek z materiałami do nauki nazwana "grupą czerwonych". Dla większości gości, zwłaszcza z Ukrainy (Chmielnicki, Symferopol, Użgorod) i Kazachstanu (Astana, Kokczetaw) była to powtórka przed przyszłorocznymi egzaminami na studia w Polsce. Natomiast sympatyczne dziewczęta z Gimnazjum nr 11 w Odincowie (obwód moskiewski) przygotowywały się na kursie do studiów polonistycznych na Uniwersytecie im. M. Łomonosowa w Moskwie. Na podstawie pisemnego testu młodzież podzielono na dwie grupy o różnej znajomości języka polskiego. Zajęcia językowe poprowadzili wykładowcy z Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod kierunkiem dr Józefa Wróbla, a zagadnienia z historii sztuki przybliżał wicedyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu dr Jerzy Petrus. Z historią i dziejami Krakowa młodzież zapoznawała się na zajęciach dydaktycznych prowadzonych w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa. W ramach kursu na dziedzińcu opactwa benedyktynów w Tyńcu odbył się również plener malarski, który poprzedzono zwiedzaniem kościoła i klasztornych krużganków.

Popołudniami i w weekendy zwiedzano Kraków i okolice. Liczne wycieczki, m. in. szlakami sławnych Polaków (św. Jadwigi, Tadeusza Kościuszki, Jana Matejki, Stanisława Wyspiańskiego, Karola Wojtyły) przybliżyły młodzieży sylwetki wybitnych rodaków i pozwoliły poznać zabytki Krakowa. Goście zwiedzili również kopalnię soli w Wieliczce oraz zamki w Czorsztynie i Niedzicy, uczestniczyli też w spływie Dunajcem. Ogromnym zainteresowaniem cieszyła się także wystawa strojów z filmu "Ogniem i mieczem", prezentowana w Pieskowej Skale.

Kurs zakończyło uroczyste wręczenie dyplomów i koncert pożegnalny, przygotowany przez jego uczestników, podczas którego recytowano wiersze, śpiewano piosenki oraz zaprezentowano utwory fortepianowe Mozarta, Moniuszki i Chopina. Na zakończenie wieczoru w imieniu całej grupy Antonina Kolcowa z Moskwy powiedziała organizatorom: "Były to niezapomniane chwile, które – niestety – bardzo szybko się skończyły. Stare polskie przysłowie powiada, że wszystko co dobre szybko się kończy. Ale wyjedziemy stąd do swoich domów z obrazem pięknego Krakowa w sercu." *(UH)*

Uczestnicy kursu w drodze do Pieskowej Skały
fot. U. Hanc

Oddział Kujawsko–Pomorski

Zaćmienie słońca widziane z Rumunii

Na zaproszenie współpracującego od lat z Oddziałem prezesa Domu Polskiego w Bukareszcie Bogdana Polipczuka, w sierpniu br. do Bukaresztu pojechało dwóch wybitnych profesorów Uniwersytetu im. M. Kopernika w Toruniu, aby zinterpretować zaćmienie słońca. 10 sierpnia

w Muzeum Szekelerów w Sfantu Gheorghe prof. Sławomir Kalembka, historyk, wygłosił wykład o Mikołaju Koperniku i istocie jego rewolucyjnej koncepcji degradacji Ziemi do roli satelity Słońca, a prof. Andrzej Woszczyk, astronom, omówił znaczenie odkrycia Kopernika dla właściwego zrozumienia tego, co dzieje się na niebie oraz osiągnięcia współczesnej polskiej astronomii i radioastronomii. 11 sierpnia obaj profesorowie obserwowali przez przeszło dwie minuty całkowite zaćmienie słońca z tarasu usytuowanego na dachu domu pani Polipczuk, w północnej części Bukaresztu. 12 sierpnia w siedzibie Domu Polskiego w Bukareszcie wykładów profesorów z Torunia wysłuchała miejscowa Polonia. Na spotkanie przybyła z odczytem także p. dr Magda Stavinschi, dyrektorka Instytutu Astronomii Rumuńskiej Akademii Nauk.

Poza wizytą w Ambasadzie RP w Bukareszcie delegacja Oddziału, wraz z prezesem Polipczukiem i innymi działaczami polskimi, udała się do niedawno odzyskanego przez YMCA ośrodka wakacyjnego w Timisul de Sus, położonego w Karpatach południowych, niedaleko Braszowa. Na lesistym zboczu w pobliżu dużej polany znajduje się niedawno odkryty zrujnowany kamienny ołtarz, zbudowany w 1940 roku przez młodzież polską, internowaną w 1939 roku po kampanii wrześniowej. Działacze Polonii bukaresztańskiej wraz z Ambasadą RP zabiegają o odnowienie tej polskiej pamiątki z czasów dramatu wrześniowego. *(SK)*

Oddział Opolski

Turnus rehabilitacyjny w Międzywodziu

Przy współpracy Oddziału Opolskiego z duszpasterzem chorych i niepełnosprawnych diecezji opolskiej już po raz drugi zorganizowano w Międzywodziu na Wyspie Wolin rehabilitacyjny turnus dla rodaków z Litwy i Ukrainy. Od 9 do 22 czerwca br. w Ośrodku Wypoczynkowo-Rehabilitacyjnym "Laguna-Tour" w Międzywodziu przebywali: siedmioosobowa grupa ze Stowarzyszenia Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym "Nadzieja" w Drohobyczu z opiekunką p. Ireną Pawliszyn, 36 osób z Wileńszczyzny i rejonu solecznickiego z p. Krystyną Kolendo, kierowniczką ośrodka dla niepełnosprawnych w Solecznikach oraz 28-osobowa grupa z Ukrainy (z Tarnopola i Gródka Podolskiego) z p. Henrykiem Kaczurowskim, wiceprezesem Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie. Opiekunami turnusu byli ks. dr Henryk Pawluk i Lianna Fyrgut.

Oprócz zabiegów rehabilitacyjnych, spacerów i korzystania z klimatycznych walorów Międzywodzia uczestnicy turnusu wzięli udział w wycieczkach, m. in. do Międzyzdrojów, Kamienia Pomorskiego, Szczecina oraz do Niemiec. Ponadto na terenie ośrodka zorganizowano dwie wystawy: "Podole – mój kraj" – malarstwo Stanisława Gumieniuka z Gródka Podolskiego oraz prace plastyczne dzieci ze Stowarzyszenia Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym "Nadzieja" w Drohobyczu. Wystawy cieszyły się dużym zainteresowaniem, a p. Gumieniuk sprzedał kilka swoich obrazów. Wielu przebywających w ośrodku kuracjuszy, którzy rodzinnie związani są z Kresami, wzięło udział w zorganizowanym przez uczestników turnusu wieczorze pieśni

Na wycieczce w Międzyzdrojach

i prezentacji swoich regionów. Nawiązano nowe znajomości i przyjaźnie oraz wymieniono adresy. *(HP)*

Oddział Rzeszowski

Rzeszowskie polonijne lato

XI Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych – Rzeszów '99, podobnie jak poprzednie, można uznać za udany. Rzeszowska impreza odbyła się pod honorowym patronatem Marszałek Senatu RP prof. Alicji Grześkowiak, zaś komitet honorowy stanowili: prof. Andrzej Stelmachowski – prezes Stowarzyszenia "Wspólnota Polska", senator Janina Sagatowska – przewodnicząca senackiej Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą, Zbigniew Sieczkoś – wojewoda podkarpacki, Bogdan Rzońca – marszałek województwa podkarpackiego i Andrzej Szlachta – prezydent miasta Rzeszowa.

Na festiwal przyjechało 36 zespołów (ponad tysiąc uczestników) z dwunastu krajów: Australia – "Sydney", Belgia – "Krakus", Białoruś – "Karolinka" i "Lechici", Czechy – "Olza" i "Bystrzyca", Francja – "Kalina", "Mazurka" i "Krakowiacy", Kanada – "Orzeł Biały", "Cracovia", "Iskry", "Kujawiacy", "Polanie", "Tatry" i "Wisła", Litwa – "Kotwica" i "Wilia", Szwajcaria – "Piast", Szwecja –

Mariusz Grudzień – Dyrektor Festiwalu
fot. A. Panecka

Marszałek Senatu RP Alicja Grześkowiak wpisuje się do księgi pamiątkowej, obok wojewoda podkarpacki Z. Sieczkoś i W. Radik z Kijowa
fot. M. Misiakiewicz

"Kwiaty Polskie" i "Piastowie", Ukraina – "Jaskółki", "Lwowiacy" i "Krzemienieckie Barwinki", USA – "Dolina", "Echo z Polski", "Lajkonik", "Lechici", "Polanie", "Wawel" i "Wesoły Lud", Wielka Brytania – "Karolinka", "Karpaty", "Orlęta", "Wieśniacy" i "Polonez Manchester". Zespołom towarzyszyło wiele osób, choreografów, działaczy organizacji polonijnych oraz opiekunowie i rodziny.

Festiwal rozpoczął się w niedzielę 18 lipca br. uroczystą Mszą świętą, koncelebrowaną przez bp. Edwarda Białogłowskiego w asyście pięciu księży, w której uczestniczyli członkowie zespołów w regionalnych strojach, a "Lechici" z Chicago, jak na skautów przystało, w mundurkach harcerskich. Chóry "Krzemienieckich Barwinków" i "Lechitów" z Chicago wykonały pieśni. Na ręce zespołu z Krzemieńca przekazano dary dla tamtejszej parafii rzymskokatolickiej.

Poloneza czas zacząć

W godzinach popołudniowych wiodące do rynku ulice Rzeszowa zaroiły się barwnym korowodem zespołów polonijnych, a ich krótkim występom przyglądały się tysięczne rzesze mieszkańców. Na uroczystość otwarcia festiwalu, w której wzięły udział zespoły i społeczność Rzeszowa, przybyli organizatorzy z prezesem Stowarzyszenia "Wspólnota Polska" prof. Andrzejem Stelmachowskim oraz przedstawiciele Parlamentu, duchowieństwa, wojska i policji. Po powitalnym przemówieniu prezesa Rzeszowskiego Oddziału "Wspólnoty Polskiej" prof. Kazimierza Sowy głos zabrali przedstawiciele władz, a prezydent Rzeszowa wręczając symboliczne klucze do bram miasta delegacji festiwalowej ogłosił festiwal za otwarty. Rządy nad festiwalem objął dyrektor XI festiwalu, wiceprezes Oddziału, Mariusz Grudzień. Wieczorem odbył się tradycyjny bal, podczas którego wybrano miss festiwalu, a została nią tancerka zespołu "Biały Orzeł" z Toronto – Ania Wolczak.

Przez osiem dni Rzeszów żył festiwalem

Codziennie na dwóch estradach w rynku i na stadionie "Resovii" od rana do wieczora odbywały się koncerty zespołów polonijnych i rodzimych. Ponadto zespoły wyjeżdżały z koncertami do wielu miejscowości województwa, gdzie cieszyły się wspaniałym przyjęciem i niebywałą frekwencją. W tym samym czasie seniorzy, zaproszeni goście honorowi i zasłużeni działacze polonijnego ruchu folklorystycznego odbywali spotkania m. in. w Krośnie, Głogowie, Łańcucie, Nowej Sarzynie, a więc w tych ośrodkach, gdzie w latach ubiegłych na poprzednich festiwalach występowali jako tancerze. Trzy koncerty przeglądowe i koncert "Tańce i pieśni krajów zamieszkania" odbyły się przy pełnej widowni. Zaś wieńczący festiwal koncert galowy jeszcze raz potwierdził, że widownia stadionu sportowego "Resovia" jest niestety za mała na tego rodzaju imprezy (ok. 7000 osób). Zajęte bowiem były nie tylko wszystkie miejsca siedzące, ale także przejścia pomiędzy sektorami.

Koncert galowy przerósł wszelkie oczekiwania. W gali wieńczącej tygodniowy festiwal wzięła udział sprawująca honorowy patronat nad festiwalem Marszałek Senatu RP prof. Alicja Grześkowiak, która w serdecznym przemówieniu podziękowała zespołom polonijnym za dostarczenie wzruszenia i za trud w krzewieniu kultury polskiej w świecie.

W niedzielę 25 lipca w sali kolumnowej urzędu wojewódzkiego w Rzeszowie spotkały się delegacje 36 zespołów festiwalowych z władzami województwa, miasta i organizatorami na pożegnalnej uroczystości, w czasie której wręczono delegatom okolicznościowe upominki i dyplomy honorowe. W spotkaniu wzięła udział również Marszałek Senatu RP prof. Alicja Grześkowiak.

Inne imprezy polonijnego lata

Mamy więc za sobą 30–lecie festiwali folklorystycznych, które wciąż cieszą się olbrzymim zainteresowaniem Polonii, zgłaszającej co roku nowe zespoły. I tak na X festiwalu w 1996 roku było 10 nowych grup, w tym roku 12. Przyglądając się dużemu zainteresowaniu festiwalem polonijnych zespołów dziecięcych w Iwoniczu–Zdroju, którego kolejna, czwarta edycja odbędzie się w 2000 roku, można się cieszyć, że rosną nowe kadry w polonijnym ruchu folklorystycznym.

Również inne imprezy polonijnego lata na Podkarpaciu przysporzyły sporo satysfakcji organizatorom, w tym Rzeszowskiemu Oddziałowi "Wspólnoty Polskiej" i jego kołom. W Dąbrowie Tarnowskiej odbył się kolejny polonijny festiwal kapel i śpiewaków oraz kolonia letnia dla zainteresowanych folklorem dzieci z Ukrainy. W Krośnieńskim Domu Kultury miał miejsce XX Festiwal Teatrów Dziecięcych pod nazwą "Puchar Uśmiechu" z udziałem 16 zespołów z Polski i Republiki Czeskiej. W Jaśle zorganizowano tradycyjną kolonię letnią dla młodzieży szkolnej z Polski i Ukrainy. Koło w Przemyślu, znane z organizacji turniejów szachowych dla młodych Polaków z obwodu lwowskiego i Przemyśla, tym razem przygotowało kolonię językową dla młodzieży polskiej z Ukrainy. Wiele imprez odbywających się na terenie województwa podkarpackiego zorganizowano z okazji 30–lecia polonijnych festiwali folklorystycznych, m. in. kurs tańców polskich, w którym uczestniczyło kilkadziesiąt osób m. in. z USA, Kanady, Litwy, Ukrainy, Węgier i Szwecji. Od 1998 roku Rzeszów

prowadzi czteroletnie choreograficzne studium dla instruktorów zespołów folklorystycznych, w którym w roku bieżącym uczestniczyły 42 osoby. Ponadto w ramach tzw. Polonijnego Centrum Kształcenia zorganizowano kurs dla wychowawczyń przedszkoli z Białorusi i Ukrainy, w którym wzięło udział kilkanaście osób.

Lubomir Radłowski

Oddział Wielkopolski

Szkoła Letnia

Każdego roku w lipcu Oddział Wielkopolski gości uczestników Letniej Szkoły Kultury i Języka Polskiego. W tym roku przyjechało 46 osób z Białorusi, Brazylii, Bułgarii, Estonii, Łotwy, Macedonii, Mołdawii, Kazachstanu, Rosji, Rumunii, Ukrainy i Węgier. Podczas uroczystej inauguracji, która odbyła się w sali Collegium Novum Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, gości powitali rektor UAM prof. Marek Kręglewski i prezes oddziału dr Alicja Woźniak, a wykład wygłosił prof. Jerzy Sierociuk. Oprócz lektoratów i konsultacji językowych, uczestnicy brali udział w konwersatoriach oraz wykładach poświęconych twórczości Adama Mickiewicza, tradycjom literatury polskiej, historii ojczystej, teatrowi eksperymentalnemu w Polsce, polskiemu malarstwu i zabytkom architektury oraz osobliwościom przyrodniczym i kulturowym naszego kraju, które poprowadzili nauczyciele akademiccy poznańskich uczelni.

Uczestnicy poznańskiej Szkoły Letniej

Podczas zajęć słuchacze samodzielnie przygotowywali reportaż o Szkole Letniej, spektakl teatralny, koncert polskich pieśni oraz specjały polskiej kuchni. Odbyło się także forum dyskusyjne na temat "Cywilizacja barbarzyńców czy kulturowy wkład w cywilizację". Goście Oddziału Wielkopolskiego zwiedzili również najcenniejsze zabytki Poznania i okolic. Podczas wycieczki Szlakiem Piastowskim poznali miejsca związane z początkami państwa polskiego i chrześcijaństwa w naszym kraju. Z kolei trasa wyprawy Szlakiem Mickiewiczowskim wiodła przez Koszuty, Śmiełów, Cichowo ("Soplicowo" w gminie Krzywiń) i Gostyń. W programie Szkoły Letniej przewidziano też zwiedzanie pałacu w Rogalinie i zamku w Kórniku, a ponadto udział w spektaklu poetyckim "Mickiewicz na wesoło", przygotowanym przez aktorów scen poznańskich oraz koncercie organowym w kościele farnym.

Po uroczystości wręczenia dyplomów ukończenia Szkoły słuchacze przedstawili wyniki swej pracy – zaśpiewali polskie pieśni i zaprezentowali fragmenty "Wesela" Wyspiańskiego. Potem nadszedł czas degustacji polskiego bigosu, przy którym wszyscy zapewniali, że pobyt w Poznaniu pozostanie na długo w ich pamięci.

Bożena Zięba

Z KRAJU

KRESY

FUNKCJONOWANIE POJĘCIA I REALIÓW WE WSPÓŁCZESNEJ POLSCE

We współczesnej Polsce (w granicach po 1944 – 45) znalazły się blisko 3 miliony przesiedleńców z terenów wschodnich województw II Rzeczypospolitej. Ogromna większość przybyła na nowe tereny osiedlenia wbrew własnej woli, w warunkach realnego przymusu podyktowanego najpierw, gdy idzie o obszary południowo–wschodnie, terrorem ukraińskich nacjonalistów, realizujących praktykę okrutnych czystek etnicznych, później dyktatem jałtańskim o przesunięciu granic państwa polskiego, z czego wyniknęły umowy najpierw tzw. Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (samozwańczego rządu), a następnie tzw. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zdominowanego przez komunistów, z rządami radzieckich republik Litwy, Białorusi i Ukrainy, a tak naprawdę z władzą moskiewską – ZSRR. Owe wymuszone przyjazdy odbyły się w trzech zmniejszających się liczbowo falach w latach 1945–46, 1947–48 i 1956–58. Odrębną kwestią były przyjazdy do powojennej Polski tych "kresowiaków", których uwięziono, deportowano bądź zesłano w głąb ZSRR w latach 1939–1941 i gdy idzie o rozbrojonych akowców w latach 1944–1945. Ci ludzie w większości nie oglądali już stron rodzinnych, jadąc z miejsc przymusowego pobytu wprost do nowej Polski.

Oficjalnie exodus ten władze tłumaczyły "dziejową sprawiedliwością", co w atmosferze urzędowej przyjaźni z ZSRR i "narodami radzieckimi", a także w sytuacji politycznego totalitaryzmu połączonego z terrorem stwarzało warunki zmuszające do milczenia o sprawie "Kresów". Trwające dziesiątki lat faktyczne uniemożliwienie odwiedzenia stron rodzinnych, blokada cenzorska nie tylko na wspomnienia, ale i naukowe badania problemu, sprzyjały powstawaniu nieoficjalnej legendy kresów – legendy lat dzieciństwa – legendy utraconej szczęśliwości. Dla dzieci wysiedleńców sprawy kresowe stawały się obce, a z czasem niezrozumiałe i przez to odrzucane. Niemal tak odległe i fantazyjne jak lektura dzieł Sienkiewicza czy Orzeszkowej, o jakoby wyłącznie poetyckich fantazjach Mickiewicza nie wspominając. W publicznym odbiorze temat kresów przestał istnieć. Sięgano doń na emigracji, ale ta przecież także była oddzielona od Kraju równie nieprzekraczalną granicą.

Tematyka kresowa ujawniła się w szerszym odbiorze pod koniec lat osiemdziesiątych. Najpierw poprzez napływające do Kraju bezdebitowe wydawnictwa z Zachodu (prace Mackiewicza, Odojewskiego), później na skutek dostrzeżenia samoorganizowania się Polaków w krajach ościennych. Pojawiła się także publicystyka, a nawet cykle reportaży prasowych i telewizyjnych. Te ostatnie, to w szczególności audycje Stanisława Auguścika pt. "Podróże na Kresy". Bo trzeba zaznaczyć, iż lata milczenia, niewiedzy czy zwykłej ignorancji zrobiły swoje. W mniemaniu tzw. szarego obywatela, do czasu rozpadu ZSRR, za obecną wschodnią granicą Polski mieszkali "ruscy". Teraz ze zdziwieniem dowiadywano się, że nie graniczymy z "ruskimi", lecz Litwinami, Białorusinami i Ukraińcami. Jeszcze większe zdziwienie wywoływał fakt nagłego (dla niezorientowanych) pojawienia się wielosettysięcznych grup Polaków na Litwie, Białorusi i innych obszarach państw wyłaniających się z ZSRR. Do takiego zjawiska nie byli przygotowani nawet dziennikarze.

Wyruszając na reportaże polityczne do "ziemi nieznanej", a dziennikarsko atrakcyjnej, jaką była wybijająca się na niepodległość Litwa, ze zdziwieniem konstatowali istnienie całych połaci zamieszkałych przez Polaków. Okazywało się, iż na wielu obszarach stanowili oni większość mieszkańców nadających ciągle swoisty charakter tej ziemi. Kolejnym zaskoczeniem było odkrycie, że ludzie ci znają język polski, a dla wielu był to język ojczysty, czyli ten, w którym się myśli. Jednak i te zjawiska okazały się dla ich krajowych odbiorców czymś epizodycznym. Po częściowej i chwilowej fascynacji, a raczej zaciekawieniu potraktowano je jako sezonową ciekawostkę. Zarówno nowej władzy w Polsce (tzw. ekipie Solidarności), jak i mediom, problem Polaków na Kresach zaczął przeszkadzać. Okazał się zbyt wielki, skomplikowany i nie przystający do jakoby prostych rozwiązań polityczno–systemowych. Nie wiedziano, co z nim począć. Co więcej, wielu politykom w kraju Polacy na Wschodzie zaczęli przeszkadzać, a polskie odrodzenie narodowe poczęto postrzegać w modnym wówczas i teraz pryzmacie rzekomego nacjonalizmu czy kulturowej zaściankowości. Celowały w takich ocenach np. "Gazeta Wyborcza" czy "Tygodnik Powszechny", pisma obdarzone na początku przemian w Polsce niemal nieograniczonym kredytem zaufania. Gdy ponadto okazało się niebawem, iż problematyka kresowa ma szerszy i dalszy wymiar, czego wyrazem stało się ujawnienie dziesiątków tysięcy Polaków w tak egzotycznym Kazachstanie i poznanie, że ludzie ci, Polacy kresowi, garną się szczerze do Macierzy – milczący ogół zbył ich sprawy milczeniem, a politycy poczęli traktować zjawisko w kategorii kłopotu tak materialnego, jak i politycznego, choćby w kontekście stosunków z nowymi władzami litewskimi. I nikomu z tej grupy decydentów nie przeszkadzało, że rządzący Litwą Sajudis miał jednoznacznie antypolskie oblicze w odniesieniu do Polaków Wileńszczyzny.

Tak to zaszłości, odcięcie od wiedzy na tematy kresowe, a następnie swoista "poprawność" polityczna spowodowały, że wołanie z kresów pozostało bez kulturowego i politycznego echa. I nie zmieniły tego wizerunku autentyczne badania naukowe znacznej grupy uczonych publikujących swe spostrzeżenia na łamach literatury fachowej – tej przeciętny obywatel nie czyta, polityk i masowy dziennikarz także.

Tak oto zderzyły się ze sobą literacki mit kresów z kresową rzeczywistością. Bezpośrednie zainteresowanie wyraziły natomiast stosunkowo liczne organizacje społeczne, jakich mnóstwo powstało w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Te jednak miały bardzo środowiskowy charakter i w większości ograniczyły się do aktywnych kręgów byłych mieszkańców poszczególnych regionów dawnych kresów.

W tym miejscu należy zwrócić uwagę na niektóre aspekty terminologiczne. W tej materii istnieje bowiem szczególnie wiele nieporozumień. Pojęcie "kresy" w publicznym odbiorze odnosi się wyłącznie do kresów wschodnich i to tych najbliższych, a więc wschodnich województw II Rzeczypospolitej i to nie wszystkich. W pojęciu tym na czoło wysuwają się w zasadzie tylko dwa ośrodki miejskie: Lwów i Wilno. Gdzie leży Grodno, nie wie niemal nikt, a Nowogródek z uwagi na epopeję mickiewiczowską lokuje się na Litwie etnicznej czyli tej, jaką od niedawna potrafi się wskazać na mapie. Tymczasem "kresy", jako pojęcie geograficzno–polityczno–kulturowe, funkcjonują w świadomej publicystyce i polityce polskiej od co najmniej 150 lat. W momencie jego powstawania nie dotyczyło ono jednak kresów w rozumieniu dzisiejszym. Pierwszym, który owo pojęcie wyartykułował, także zresztą w literaturze pięknej, był lwowski uczony Wincenty Pol, autor m. in. tyle sławnego, co kompletnie zapomnianego poematu "Pieśń o ziemi naszej". Kojarzony dzisiaj z kresami Lwów, dla ówczesnych Polaków z kresami nic wspólnego nie miał. Był stołecznym miastem Galicji, zaliczanej do prowincji polskich w monarchii austro–węgierskiej. Lwowianin Pol kresy umiejscowił bardzo daleko, bo na kresie państwa polskiego, XVIII–wiecznej Rzeczypospolitej w "ukrainnych" stepach, tam gdzie stacjonowały graniczne chorągwie strzegące dostępu do kraju na stanicach – "kresach" przed Tatarami, kozaczyzną czy wreszcie różnym elementem pojawiającym się od multańskiej (tureckiej) strony. I znów dygresja – komu dzisiaj przyjdzie do głowy myśl, iż na kresach graniczyliśmy z Turcją?

Zmiany polskiego myślenia o kresach i kresowości następowały odtąd wraz z kurczeniem się polskiego stanu posiadania na wschodzie tak terytorialnego, jak kulturowo–materialnego na skutek planowej akcji zaborcy rosyjskiego. Na początku XIX wieku, po roku 1815 (Kongres Wiedeński), po utworzeniu kadłubowego Królestwa Polskiego (tzw. Kongresówka) i włączeniu ponownym Galicji do Austrii – prawdziwymi kresami były dla lwowianina z Galicji ziemie za rzeką Zbrucz (tą samą, która w dzisiejszym odbiorze jako przedwojenna – przed II wojną) rzeka graniczna była "kresem" kresów południowo–wschodnich. W ogóle ówczesne pojęcie kresów dotyczyło wyłącznie zaboru rosyjskiego i to raczej na granicy drugiego rozbioru, czyli gdzieś w okolicach Połocka i Kaniowa, a więc daleko za Mińskiem i nieco przed Kijowem. Po 1921 roku, po zawarciu traktatu pokojowego w Rydze, sytuacja uległa odwróceniu i ramy ówczesnych kresów odnoszą się do linii Zbrucza właśnie, a także, na północy Dźwiny oraz górnego biegu Niemna i Wilii. Po wspomnianym roku 1815, gdy Białystok znalazł się poza Królestwem Polskim, do ziem na

wschód od środkowego Bugu i górnego Niemna stosowano pojęcie "ziem zabranych" bądź "utraconych", co sugerowało nadzieje na połączenie ich z ułomną wprawdzie, lecz formalnie istniejącą, formułą państwową Królestwa.

Po klęsce powstań narodowych (1831 i 1863–64) nie tylko o ziemiach zabranych, ale i w ogóle o kresach zapomniano. Przypomniała je znów literatura. Najpierw właśnie Wincenty Pol w dziele "Mohort – rapsod rycerski", później Henryk Sienkiewicz w nieśmiertelnej trylogii, wreszcie Eliza Orzeszkowa. Obszar postrzegania kresów kurczył się zarówno wobec możliwości terytorialno–państwowych, słabnięciu żywiołu ziemiańskiego, którego kresu na "dalszych kresach" dokonały pogromy z lat 1917–1920, a także – nie zauważanych dotąd przez opinię polską w centrum kraju – aspiracji narodowych budzących się do samodzielnego życia Litwinów, Ukraińców, Białorusinów i Łotyszy. W koncepcji Józefa Piłsudskiego przecież nie mówiło się o kresach Polski, lecz o federacji ziem polskich z ziemiami dawnego Księstwa Litewskiego oraz Ukrainy. Wynik pokoju ryskiego z 1921 roku, przyjęty z wielką ulgą przez opinię w centralnej Polsce, był wszakże dramatem dla setek tysięcy Polaków za ryskim kordonem. Na ich tragiczny los odrodzona Rzeczpospolita nie była w stanie wpłynąć. Wraz z ich genocydem skończyło się pojęcie właściwych kresów – tych od Pola i Sienkiewicza. Zaczęły się kresy "węższe", a więc te, o których dzisiaj myśli się machinalnie, gdy pojecie "kresów" pada. I znów historia społecznego myślenia się powtarza. Nierealność jakiegoś wpływu politycznego czy ekonomicznego na "ziemie zabrane", te "węższe kresy" kreuje obojętność wobec ich roli kulturowej w historii państwa i narodu, obojętność wobec polskiego trwania na tych terenach. Co więcej, budzi wspomnianą wyżej irytację polityków, działaczy i dziennikarzy wobec samego faktu. Być może rodzą się w tych wypadkach skojarzenia rewindykacyjne jak owe z roku 1815 czy z lat 1919–1920. Ale przecież zagadnienie ma zupełnie inny charakter.

Jacek Kolbuszewski, autor opracowania "Kresy" (Wrocław 1996), przywołujący poetę i emigranta z lat 1864–65, Józefa Bogdana Zaleskiego, tak wywodzi myśl pojęciową: "kresy są nie tylko obszarem, na którym coś ważnego dla narodu się działo, ile stają się każdą przestrzenią, na której coś istotnego, z ducha rycerskiego, dla obrony narodowej tożsamości, ale obrony narodu, racji stanu, czynić bezwzględnie należy". Można przy tym wskazać niejako ilustracyjnie na łańcuch pracy pokoleń na kresach, z których wyrasta polska tożsamość. Były nimi powstania narodowe, wojna lat 1919–1920, obrona Grodna w 1939 roku, partyzancka epopeja kresowych brygad i batalionów Armii Krajowej. Była praca organiczna ziemian i gospodarzy oraz przemysłowców i rzemieślników. Była wreszcie praca najbardziej trwała – praca twórców takich jak Skarga, Mickiewicz, Słowacki, Sienkiewicz, Orzeszkowa, że wspomnimy tylko najbardziej przemawiających do wyobraźni. To wszystko spuścizna kresów. Wreszcie, jak powiedział francuski marszałek Ferdynand Foch: "Ojczyzna to ziemia i groby" – jak długo trwa pamięć o grobach, tak długo trwa siła związku z ojczyzną.

Tymczasem pamięć, świadomość tych "węższych", jak tutaj powiedziano, kresów jest we współczesnej Polsce znikoma. Można wręcz strawestować zdarzenie ze sceny Salonu Warszawskiego w III części "Dziadów" Mickiewicza, gdy sfrancuziały Kamerjunkier wprost oświadcza "O Litwie (tej wileńsko–nowogródzkiej – Z. J. W.), dalibógże! Mniej wiem niż o Chinach". Warto na ten stan zwrócić uwagę właśnie teraz w okresie wielkich transformacji politycznych, gospodarczych i kulturowych. Z przetrwania polskości na "węższych kresach", przywiązania do imponderabiliów mocno już w dzisiejszej Polsce zapomnianych można czerpać na nowo. Stan świadomości w powyższej materii dotyczy jednak, co trzeba podkreślić, tak zwanej najszerszej populacji. Na pocieszenie można dodać, że, jak to wyżej wskazano, w zasadzie nie jest to nic nowego. Poprawy znaczenia i rozumienia już nie tyle kresów, co polskiego na nich trwania w nowych warunkach geopolitycznych można upatrywać w rozwoju form współpracy tak państwowej, jak i regionalnej, gdzie mniejszości narodowe po obu stronach mogłyby stać się wzajemnie ubogacającym pomostem, przy poszanowaniu stanu politycznego w naszej części Europy. Tak więc świadomość kresów we współczesnej Polsce kultywują, propagują i stymulują wobec organów państwowych oraz opinii publicznej organizacje społeczne. Z drugiej strony starają się o to sami kresowi Polacy z kresów, poprzez swoje organizacje przypominający zarówno o swym istnieniu, jak i kulturowym obowiązku Macierzy. Drugą płaszczyzną są działania grup badaczy problematyki od strony naukowej, choć, jak wyżej wspomniano, nie oddziałuje to wprost na stan ogólniejszej świadomości. Tym niemniej skutki mimo wszystko są widoczne poprzez finansowanie przez stronę polską szkół, ośrodków kulturalnych, festiwali kresowych, stwarzania możliwości nauki w Polsce dla kresowej młodzieży. Określoną rolę spełniają merytoryczne komisje parlamentarne, zwłaszcza senacka.

Wspominanie "kresów" w Polsce, działalność organizacji wspierania Polaków na tamtym terenie, jest niemile odbierane w krajach, których to dotyczy. Samo pojęcie "kresy" wywołuje gniewne niekiedy opinie oraz ma świadczyć o polskich rewindykacjach. Tymczasem, jak się wydaje, kresowość nie jest w Polsce ani w modzie, ani nie przejawia się w szerszej świadomości społecznej. Zainteresowanych tą problematyką badaczy i działaczy w Polsce zjawisko to nieco smuci, zważywszy na tak wielowątkowe znaczenie kresowości dla historii i kultury polskiej oraz z uwagi na fakt istnienia nadal tak znacznej mniejszości polskiej na Białorusi, Ukrainie i Litwie.

Zdzisław J. Winnicki

❒ V FESTIWAL KULTURY KRESOWEJ MRĄGOWO '99

Gdy pięć lat temu po raz pierwszy organizowano w Mrągowie Festiwal Kultury Kresowej chyba nikt nie myślał, że impreza ta będzie cieszyć się tak wielkim zainteresowaniem. Tegoroczny jubileusz skłania do pewnych podsumowań, refleksji i pytań o przyszłość.

Pomysłodawcami imprezy byli członkowie Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, którym z pomocą przyszły władze samorządowe miasta i regionu. Przez pięknie położony nad Jeziorem Czos mrągowski amfiteatr przewinęło się przez te lata prawie sto zespołów, dwa i pół tysiąca wykonawców. W tym roku z okazji jubileuszu zaproszono zespoły, które w ubiegłych latach odnosiły w Mrągowie sukcesy, a zatem najlepszych z najlepszych. W sumie ponad dwadzieścia zespołów i około pięciuset wykonawców. Barwne korowody artystów w strojach ludowych dominowały w sierpniowe dni festiwalu na ulicach Mrągowa. Amfiteatr niemal pękał w szwach. Widzowie bawili się świetnie, a artyści byli szczęśliwi, że mogli do Polski przyjechać i pokazać owoce swojej rocznej pracy.

Festiwal Kultury Kresowej w Mrągowie służy rozwojowi kultury, przypomina obrzędowość i dawne zwyczaje, podtrzymuje na duchu tych, którzy tę kulturę zachowali przez lata, gdy usiłowano pojęcie Kresów wymazać z historii. Jego organizatorzy pielęgnują tradycję, by dokonania przodków nie poszły w zapomnienie, by potomkowie "rycerzy znad kresowych stanic" wyjechali w przekonaniu, że ojczyzna o nich pamięta, kocha ich i troszczy się o nich. Idea, która przyświeca festiwalowi jest wspaniała i piękna, i nikt nie ośmieli się podawać w wątpliwość znaczenia folkloru dla zachowania polskości na Kresach. Codzienna, często prowadzona w bardzo trudnych warunkach, praca zespołów, które w wielu środowiskach rosną jak przysłowiowe grzyby po deszczu, warta jest zauważenia i docenienia. Wszystkim, którzy przyczyniają się do sukcesów zespołów ten festiwal się po prostu należy. Myślę, że potrzebny jest on także byłym kresowiakom, których historia zmusiła do osiedlenia się w powojennych granicach Polski. To przecież ich zasługą jest socjologiczny fenomen, jakim jest znaczenie pojęcia Kresy dla wielu młodych Polaków, którzy nigdy tam nie byli, także dla tych, którzy nie mają kresowych korzeni.

Podczas trwania mrągowskiego festiwalu – masowej przecież imprezy dla amatorów, nie wolnych od potknięć i warsztatowych niedostatków – wyczuwa się niezwykłą atmosferę życzliwości, zaangażowania, ciepła i serdeczności. To bez wątpienia jej kolejny plus.

Po tej długiej liście pozytywów pora przedstawić pytania i wątpliwości, jakie wzbudza festiwal. Jego ideę od początku poparł drugi program TVP i chwała mu za to. Według magicznego, telewizyjnego słowa "oglądalność", które decyduje o ocenie programu, Festiwal Kultury Kresowej jest jednym z najchętniej oglądanych widowisk i najczęściej powtarzanym przy różnych, zwłaszcza narodowo–patriotycznych, okazjach. Także to trudno byłoby uznać za zarzut, gdyby nie fakt, że utrwala on pewien stan przeszły, a nie uwzględnia dnia dzisiejszego, a tym bardziej przyszłości. Bałakający ze sceny artyści w stylu Szczepka i Tońka bawią publiczność, i dobrze, bo przypominają pewien artystyczny fenomen, choć czasem wtórność tego przekazu pozostawia wiele do życzenia. Czy jednak istotnie jest to jedyna i charakterystyczna dla dzisiejszych Polaków we Lwowie forma artystycznej wypowiedzi? Mam wątpliwości. Krótko mówiąc, brakuje mi w mrągowskim festiwalu współczesności. Powie ktoś, że przecież byli w tym roku, podobnie jak w latach ubiegłych, artyści malarze, poeci, dziennikarze. Byli, ale całkowicie zdominowani przez zespoły folklorystyczne. I to właśnie dziennikarze polskojęzycznej prasy na Kresach najostrzej stawiali problem powielania dziewiętnastowiecznego stereotypu szlachcianki z zaścianka i lwowskiego batiara. Na pewno współczesne dokonania Polaków na Litwie, Białorusi, Łotwie czy Ukrainie w dziedzinie kultury nie są tak wspaniałe, jak te z przeszłości, ale przecież są i powstają w trudnych warunkach. Może warto je podtrzymywać, pomagać w ich rozwoju. Pamiętajmy nie tylko o wspaniałej przeszłości i legendzie Kresów, ale myślmy także o przyszłości. Tu właśnie widzę inną niż dotąd rolę patronującej festiwalowi telewizji publicznej. Czas chyba, by przypomniała ona sobie o swych zadaniach kulturotwórczych. Konieczna jest, moim zdaniem, szeroka dyskusja o przyszłości Festiwalu Kultury Kresowej. Warto do niej zaprosić organizacje i instytucje działające na rzecz Polaków na Kresach, a przede wszystkim ich samych. Idea festiwalu jest cenna i szkoda by było, żeby rozwijał się on w kierunku dominującym w tym roku.

Bogna Kaniewska

"WSPÓLNOTA POLSKA" BIULETYN STOWARZYSZENIA
Wydawca: Zarząd Krajowy Stowarzyszenia "Wspólnota Polska",
ul. Krakowskie Przedmieście 64 • 00-322 Warszawa
tel./fax redakcji: (48 22) **826.88.70** •
centr. (48 22) **827.04.40 w. 263** lub (48 22) **826.20.41 (- 44) w. 263**
e-mail: wspolnota@wspolnota-polska.org.pl
lub: panecka@wspolnota-polska.org.pl

ISSN 1429-8457
Redaktor Naczelny: **Agnieszka Panecka**
Zespół: **Iwona Borowska-Poplawska i Jolanta Wroczyńska**
Opracowanie graficzne: **Piotr Mysłakowski**
Druk: "ELIPSA"
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania nadesłanych materiałów. Za poglądy autorów spoza Stowarzyszenia nie odpowiadamy. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.

Towarzystwo Ubezpieczeń i Reasekuracji WARTA S.A. ma za sobą długoletnią - przedwojenną jeszcze - tradycję. Powstało 3 września 1920 r., a intencją jego założycieli było stworzenie polskiej organizacji reasekuracyjnej.

TOWARZYSTWO UBEZPIECZEŃ I REASEKURACJI S.A.
WARTA
ROK ZAŁOŻENIA 1920

Teraźniejszość WARTY to ustabilizowana pozycja na rynku - niekwestionowana druga pozycja wśród firm ubezpieczeniowych w Polsce, to wiarygodność finansowa, utrwalony wizerunek firmy godnej zaufania o długiej i chlubnej tradycji, zatrudniającej najlepszych specjalistów w branży ubezpieczeniowej. Towarzystwo chlubi się tytułami Lidera Polskiego Biznesu, Firmy Roku, Najlepszej Spółki Rynku Podstawowego 98 i wyróżnieniem Prezesa Zarządu Giełdy Papierów Wartościowych za największy wzrost kursu akcji na Giełdzie w 1998 r.

Oferta ubezpieczeniowa WARTY jest wszechstronna i kompleksowa, zaspakaja potrzeby najbardziej wymagających instytucji i klientów indywidualnych. Towarzystwo oferuje pełen wachlarz nowoczesnych ubezpieczeń - stale rozbudowuje ofertę ubezpieczeń komunikacyjnych, turystycznych, mieszkaniowych, wzbogacając je o usługi assistance. Jego produkty: WARTA DOM SERWIS, WARTA BEZ RYZYKA czy uhonorowany przez miesięcznik "Twój Styl" nagrodą Alicja'98 i uznany za najlepszy produkt ubezpieczeniowy roku 1998 WARTA MOTO ASSISTANCE - zapewniają klientom nie tylko ochronę ubezpieczeniową, ale pełną i wszechstronną opiekę. W ofercie WARTY są także ubezpieczenia od następstw nieszczęśliwych wypadków. Dla wiernych klientów Towarzystwo utworzyło Klub Klienta WARTY, zapewniając każdemu posiadaczowi karty liczne zniżki i przywileje.

WARTA ma doskonałą reputację nie tylko w kraju, ale dzięki rozległej i profesjonalnej działalności reasekuracyjnej, także na całym świecie - działa kompleksowo.

WARTA oferuje ubezpieczenia majątkowe i osobowe, siostrzane Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie WARTA VITA S.A. - ubezpieczenia życiowe, a PTE DOM S.A., którego jest udziałowcem wspólnie z CITIBANK - ubezpieczenia emerytalne.

Wszystkie działania Towarzystwa znajdują odbicie w słowach hasła promocyjnego "Jesteś w dobrych rękach", które nie jest tylko reklamowym sloganem, ale zapisem jego rzeczywistych działań i intencji.

OFERTA "DOMU POLSKIEGO" W KIJOWIE PRZY FEDERACJI ORGANIZACJI POLSKICH NA UKRAINIE

- ✔ Agencja wynajmu mieszkań.
- ✔ Świadczenie usług transportowo-samochodowych.
- ✔ Pomoc lekarska.
- ✔ Tanie noclegi.
- ✔ Konsultacje prawników.
- ✔ Informacje na temat firm działających na Ukrainie i w Polsce. Pośrednictwo.
- ✔ Nawiązywanie kontaktów ze wszystkimi instytucjami na Ukrainie od Rządu i Rady Najwyższej Ukrainy do administracji lokalnych.
- ✔ Kontakty ze służbami celnymi i pogranicznymi.
- ✔ Całe spektrum usług związanych z pobytem na terenie Ukrainy.
- ✔ Usługi wydawnicze.
- ✔ Badania naukowe i kontakty z instytucjami naukowymi na Ukrainie i w Polsce.
- ✔ Wymiana informacji i usługi tłumacza.

Prosimy o kontakt: tel./fax 038-044-2209967

Adres: Ludwika Niżyńska - wiceprezes FOPnaU, ul. Saksagańskiego 99 m. 4, "Dom Polski", 252032 Kijów

DOM POLSKI w ŻYTOMIERZU

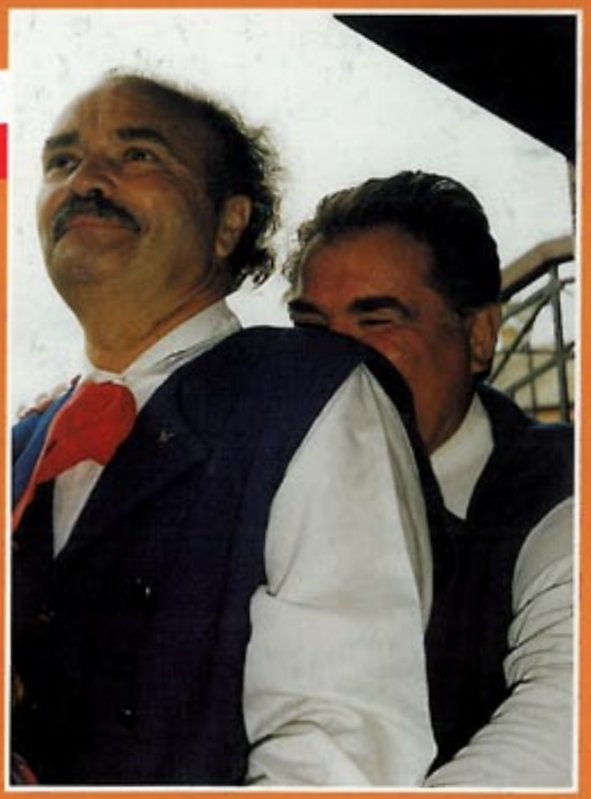

fot. A. Papecka

Bazar w Taszkencie

Krasnokamienka – od prawej: prof. Z. Kolenda, amb. M. Gawęcki, sen. J. Sagatowska

KARTKI Z PODRÓŻY

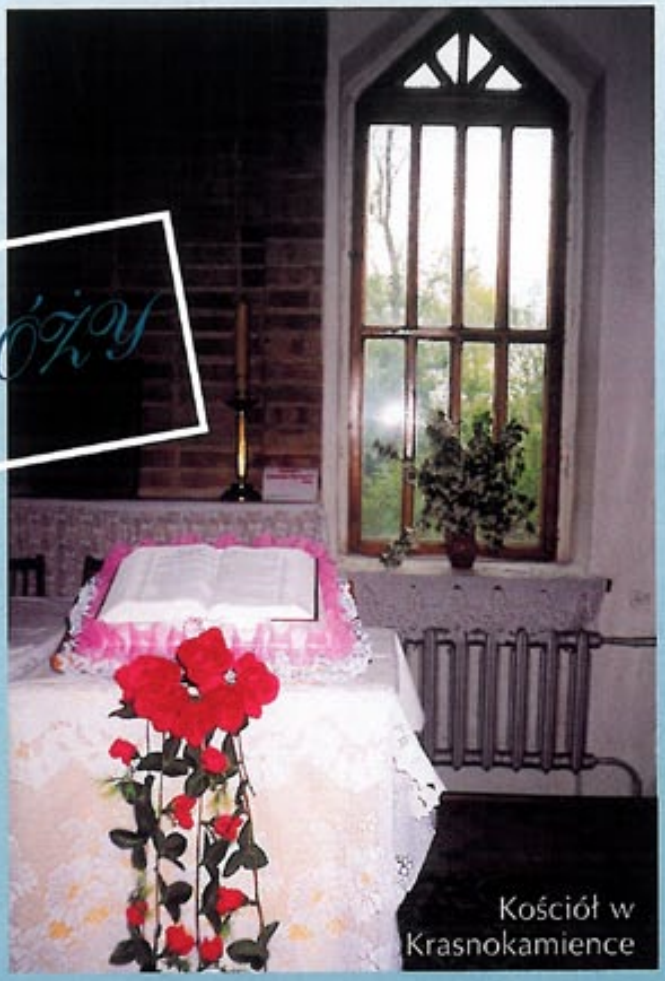

Kościół w Krasnokamience

Występ kazachskich artystów

Polska zagroda w Oziornoje

fot. A. Chodkiewicz

PREZYDENT RZESZOWA ANDRZEJ SZLACHTA
Z KLUCZEM DO BRAM MIASTA *fot. J. Ambrozowicz*

RZESZOWSKI RYNEK PODCZAS OTWARCIA FESTIWALU
fot. M. Misiakiewicz

RZESZÓW SIĘ BAWI

ACH,
TE SZNUROWANE
BUTKI
fot. J. Ambrozowicz

fot. J. Jerzykiewicz

fot. M. Misiakiewicz

ANIA WOLCZAK Z TORONTO – MISS FESTIWALU
fot. M. Misiakiewicz

CHEEK-TO-CHEEK POLKA
fot. M. Misiakiewicz

KTO BĘDZIE MISS FESTIWALU?
fot. J. Ambrozowicz

KONCERT GALOWY
fot. M. Misiakiewicz

"BOHATEROWIE SĄ ZMĘCZENI"
fot. J. Ambrozowicz

fot. A. Panecka

Kokczetaw – powitanie na lotnisku

Taszkent – kościół katolicki

Oziornoje – widok spod krzyża Ofiar Kazachstanu

KARTKI Z PODRÓŻY

Tablica z herbami Warszawy i Krakowa w taszkenckim kościele

Spotkanie z Polakami w Bibliotece Narodowej w Biszkeku

fot. A. Chodkowicz